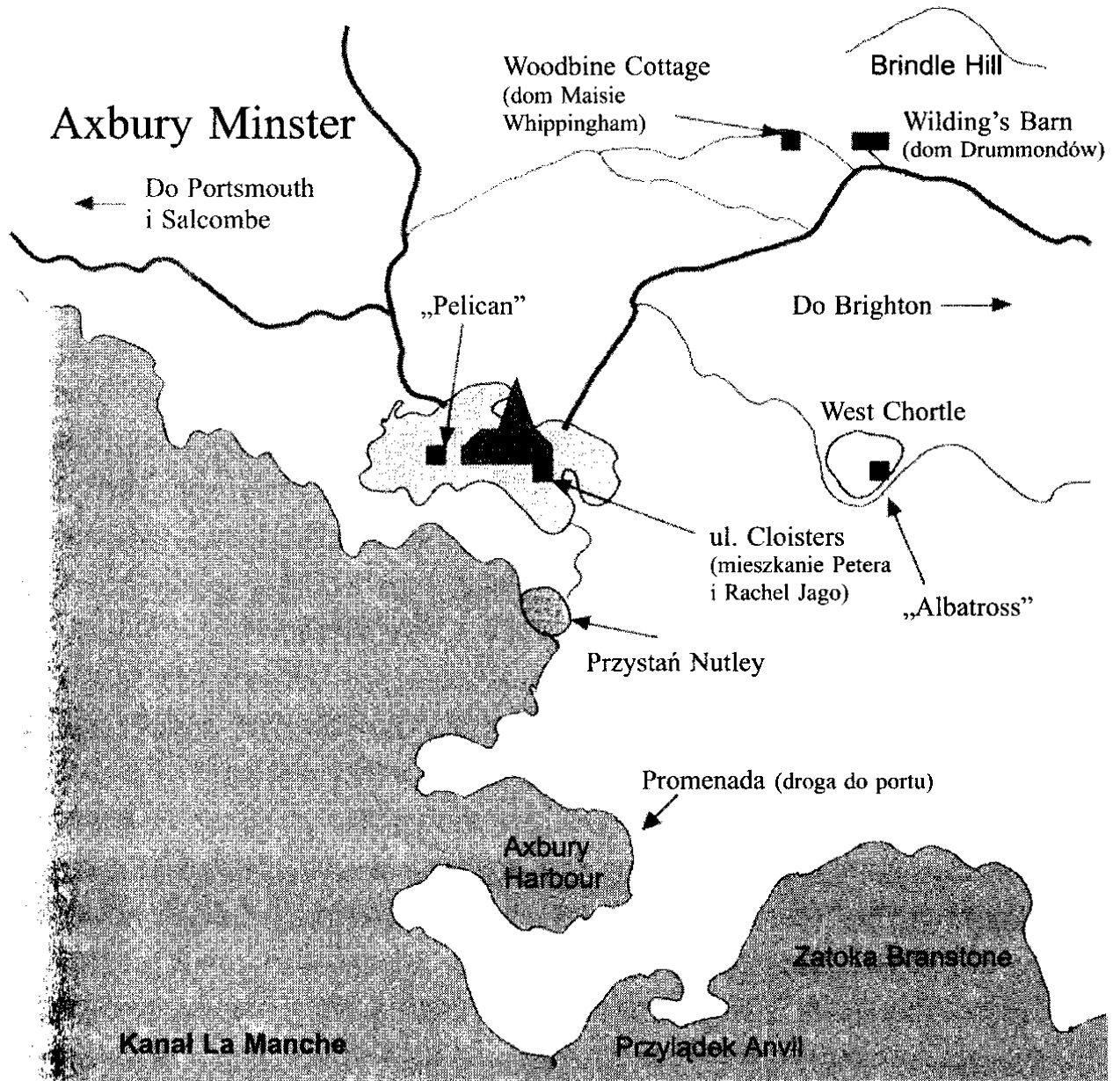


Titchmarsh Alan

Kocham tatę

Życie Drummondów wydaje się idyllą: dom na wsi, szczęśliwe małżeństwo, udana szesnastoletnia córka, stabilna sytuacja zawodowa i finansowa. Wspólne wakacje we Włoszech są jej doskonałym dopełnieniem. Toskania nie zawodzi ich oczekiwań, ale niespodziewanie idylla zamienia się w tragedię, zmieniającą życie ojca i córki. Podstawy ich dotychczasowej egzystencji idą w rozsypkę, stawiając ojca i córkę w sytuacji nie do pozazdroszczenia.



Rozdział 1

Jest kilka *rzeczy*, które powinniście wiedzieć o Tomie Drummondzie. Po pierwsze, nigdy nie miał zamiaru zostać właścicielem restauracji. A właściwie jej połowy. Nie chodzi o to, że jest coś złego w posiadaniu połowy restauracji, byłoby jednak błędem zakładać, że Tom kiedykolwiek interesował się żywieniem zbiorowym lub marzył o zabawianiu gości. Nic podobnego. Stał się właścicielem połowy restauracji przez przypadek. Zamierzał zostać farmerem. A dokładniej mówiąc, jego matka pragnęła, by nim został. Sam Tom miał głęboko skryte marzenia, by zostać pisarzem, ale bardzo trudno wytłumaczyć swojej samotnej matce, że pracujesz, kiedy ograniczasz się jedynie do bezmyślnego wyglądania przez okno. Częściowo więc, by zadowolić matkę, a częściowo dlatego, że nie było innego zajęcia, które by go szczególnie pociągało, Tom został farmerem. Zdziwiło to jego matkę i zdziwiło również samego Toma, ponieważ sprawiało mu osobliwą przyjemność.

Oczywiście pilnowanie owiec w dolinach Susseksu nie jest dokładnie tym samym, co ich wypas na zboczu Cairngorms, gdyż mimo rzekomo łagodnego klimatu panującego na południu kraju faliste wzgórza powyżej Axbury Minster są zimą regularnie nawiedzane przez gwałtowne i ostre wiatry. Tom i stary Bill Wilding często odczuwali na dłoniach

ukłucia zmarzniętego sznura, którym powiązane były pachnące latem bele siana przeznaczonego dla owiec, a lód na stawie łamany wiertłem strzelał jak nabój z pistoletu. Ale w pogodny czerwcowy lub lipcowy dzień łagodne wzgórza otaczał puch soczystej zieleni lasów i czyste błękitne niebo. Wtedy od świtu do zmierzchu Tom wypasał owce, oczyszczał rowy, układał siano i uprawiał ziemię z pieśnią w sercu i wiosenną sprężystością w każdym kroku.

Przyjaciele pytali go, dlaczego to robi. Dlaczego poświęcasz się niewolniczej pracy za grosze, kiedy masz na świadectwie dziewięć szóstek i trzy piątki? On jednak wiedział dlaczego: dlatego że dawało mu to czas na marzenia i pisanie w myślach. Tak więc pomimo długich godzin pracy i nędznej pensji był — używając języka hodowców trzody chlewnej — szczęśliwy jak świnia w błocie.

Ale było to krótkotrwałe szczęście. Stary Bill Wilding zszedł nagle z tego świata w samym środku zimy, a na wiosnę farmę wystawiono na sprzedaż i Tom został bez pracy. W tym samym czasie zachorowała jego matka i zabrano ją do domu opieki. W ciągu najbliższych miesięcy jej stan pogarszał się powoli i następnego lata umarła cicho, pozostawiając Toma z małym domkiem z werandą, jeszcze mniejszym spadkiem, ciężkim sercem i czystym sumieniem.

Nadszedł czas na pisanie. Niestety okazało się jednak, że nie był to czas na publikowanie. Po roku przelewania na papier wyrafinowanej prozy udało mu się wydać zaledwie dwa krótkie opowiadania — jedno w regionalnej gazecie, a drugie w czasopiśmie „Lady”. Był to całkiem dobry i szybki sposób pozbycia się wszelkich marzeń. Tom uznał, że czas się poddać. Ale co dalej? Nad talerzem zupy w miejscowym barze przeglądał kolumnę z ogłoszeniami o pracy. Oferty nie były zbyt atrakcyjne: „Ubezpieczenia: wymagane doświadczenie w kontaktach z klientami” lub „Dynamicznie rozwijająca się agencja nieruchomości poszukuje wykwali-

fikowanych pracowników". Trudno wpaść w euforię, czytając coś takiego. Kiedy Tom zaczął już zastanawiać się, czy mógłby podjąć się roli „zarządcy w pełnym wymiarze godzin”, wdał się z nim w pogawędkę kucharz — jasnowłosy młodzieniec o rumianej twarzy, który nazywał się Peter Jago. Razem poużalali się nad swoimi losami: bezrobotny Tom z resztkami swojego skromnego spadku oraz zdesperowany Peter z pokrzepiającym brakiem skromności, zamierzający się uniezależnić i założyć własny interes. Było to dość nieroztropne i ryzykowne, bo w ogóle się nie znali, ale złożyli do wspólnej kasy swoje pieniądze i otworzyli bistro „Pelican”. Tom obsługiwał klientów, a Peter w białym fartuchu harował przy gorącym piecu.

Ku zdziwieniu wszystkich z wyjątkiem Petera przedsięwzięcie ruszyło z kopyta. Ale przecież Peter znał się na gotowaniu, a uprzejmy i dobroduszny Tom okazał się urodzonym restauratorem.

Tak się właśnie zaczęło i na tym się nie skończyło. Sukces zachęcił wspólników do otworzenia w pobliskiej miejscowości następnego bistra — „Albatrossa”. Była w tej nazwie odrobina ironii gorzkiej niczym niedojrzała pomarańcza, bo wkrótce okazało się, że nie mogli bardziej odpowiednio nazwać swojego nowego lokalu. Chociaż przez pięć lat wyteżali wszystkie siły, by restauracja stała się opłacalna, sezonowość przedsięwzięcia zmusiła ich w końcu do zredukowania strat i wystawienia lokalu na licytację.

„Albatross” nie był jednak całkowitą porażką. Peter mógł popisywać się swoim kulinarnym mistrzostwem tylko w jednym miejscu, więc zatrudnił młodą kucharkę — ciemnowłosą dziewczynę z dużym poczuciem humoru, byстрыm umysłem i uśmiechem, który był w stanie rozbroić nawet niezadowolonego klienta siedzącego trzy stoliki dalej.

Ten uśmiech rozbroił również Toma. Pobrali się jeszcze w tym samym roku, a Pippa z ostrzegawczym błyskiem

w orzechowobrazowych oczach powiedziała mu, że jeśli zeni się z nią tylko po to, by mu gotowała, to niech się za wiele nie spodziewa. Tom nie powziął jednak tej decyzji z powodów gastronomicznych; ożenił się z nią, ponieważ nigdy przedtem w całym swoim życiu nie był tak totalnie, irracjonalnie i głupio zakochany.

Powinniście również wiedzieć, że Tom Drummond nie myślał zbyt wiele o ojcostwie. Był więc trochę zaskoczony, gdy kilka miesięcy po ślubie Pippa powiadomiła go, że wkrótce w ich domu rozlegnie się tupot maleńkich stopek. Przez kolejne miesiące przyzwyczajał się zatem do myśli, że przybycie na świat ich wspólnego potomka jest nieuchronne.

Tomowi nie brakowało inteligencji, nie był również nieświadomy permutacji genetycznych, które mogły się pojawić. Tak więc, gdy piątego maja 1985 roku pojawiła się w jego życiu Natalie Daisy Drummond — w skrócie Tally — wystarczyło mu zaledwie kilka sekund, by uświadomić sobie, że jest ojcem i że od tej pory jego życie nie będzie już należało do niego.

Częściowo dzięki funduszom ze sprzedaży „Albatrossa”, a częściowo dzięki spadkowi po świętej pamięci rodzicach Pippy, rodzina Drummondów mogła wyprowadzić się z maleńkiego domku matki Toma, który znajdował się w centrum miasta, i zamieszkać w przerobionej na dom mieszkalny stodole, wchodzącej w skład zabudowań należących kiedyś do Billa Wildinga. Mieli akr ziemi i to im całkowicie wystarczało. Tally dorastała wśród jaskrów i stokrotek, a jej matka hodowała zioła, które dostarczała do bistra i kilku innych miejscowych lokali.

Gdybyście podsłuchali rozmowy toczącej się w tamtejszych sklepach, dowiedzielibyście się, że według powszechnej opinii Drummondowie wiodą doskonale życie; ta ocena miała w sobie posmak zwyczajnej zazdrości, nie było w niej jednak ani odrobiny złej woli.

Drummondowie mieszkali w stodole Wildinga już od szesnastu lat i ponoć nigdy nawet nie podnieśli na siebie głosu. Nie licząc oczywiście codziennych sprzeczek na temat szkoły, gniewnych narzekań Toma na głośną muzykę Tally, gdy on próbuje pisać swoją legendarną już pierwszą powieść, nieustających skarg Pippy na niskie ceny za świeże zioła i pytań, które Tom zadaje Tally na temat mężczyzn — a raczej chłopców — w jej życiu.

Rozdział 2

Każdy ojciec, który chce wytrwać w swojej roli, szybko uczy się rozpoznawać różne tony głosu u swojego potomstwa. Jest to prawdopodobnie dziedzictwo czasów, gdy chodziliśmy jeszcze na czworakach i potrzebowaliśmy języka o wiele mniej subtelnego i bardziej treściwego niż nasza obecna wyrafinowana *lingua franca*. Tom Drummond nauczył się rozumieć dziecięcy język Tally, rozpoznawał subtelne zmiany tonacji i załamania głosu, zupełnie jakby był taplającą się w kałuży antylopą gnu, która rozumie wszystkie pomruki, westchnienia i bulgotanie swojego potomstwa.

Tego poranka brzmienie głosu Tally — która była już nastolatką — wskazywało na potrzebę wyświadczenia jej jakiejś przysługi, bo wtedy zawsze pojawiała się w nim tonacja, którą Tom nazwał „trójtonowym tatą” — środkowa głoska była o pół tonu niższa niż pierwsza i ostatnia.

— Ta-a-ato?

Tom westchnął i wetknął głowę do sypialni córki.

— Mmm...?

— Jesteś zajęty?

— A czy wyglądam na zajętego?

Tally oceniła sytuację i uznała, że tym razem najlep-

szym rozwiązaniem będzie przepełnione bólem zakłopotanie.

— Chodzi o to, że mama powiedziała, że podrzuci mnie do miasta, a pojechała beze mnie...

Tom przyglądał się, jak córka zapina zamki swoich krótkich brązowych kozaczków na wysokim obcasie, widział szczupłe nogi opięte białymi dzinsami i zastanawiał się — jak niemal zawsze, gdy na nią patrzył — kiedy minęły te wszystkie lata. Chociaż to z pewnością wyświechtany frazes, naprawdę wydawało mu się, że jeszcze wczoraj była maleńką, pulchną kruszynką, która sięgała mu zaledwie do kolan, ścisnęła jego palec w swojej tłusciutkiej łapce i chwyciła go mocno za nogę, gdy tylko pojawił się ktoś obcy. A teraz miała szesnaście lat i była beztrąsko pewna siebie, chociaż prześladowały ją różne wątpliwości co do swojego wyglądu. Była śliczna jak obrazek, ale martwiła się pryszczami, miała doskonałą figurę, ale bała się pomarańczowej skórki, która mogła pojawić się na jej udach.

Teraz przechyliła głowę na jedną stronę i szybkimi ruchami przeciągała szczotką po swoich pięknych jasnych włosach. Popatrzyła na ojca i na jej twarzy pozbawionej makijażu — nie licząc tuszu na rzęsach — i wolnej od pryszczu, jeśli zignorowało się trzy małe krostki na prawej skroni, pojawił się wyraz zaprogramowanego zakłopotania.

— Dlaczego pojechała bez ciebie? — zapytał Tom. Tally wzruszyła ramionami i zrobiła niewinną minę.

— Nie wiem.

— Pewnie dlatego, że jest już wpół do jedenastej. Musiała być w Axbury o dziesiątej, żeby dostarczyć zioła. Powiedziała ci o tym wczoraj. Tally wyglądała na skruszoną.

— Zasnęłam...

— Wcale się nie dziwię. O której wróciłaś wczoraj wieczorem?

— Tuż po jedenastej — odparła Tally lekkim tonem, usiłując nadać tym słowom jak najmniejsze znaczenie.

Tom pochylił głowę i spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi.

— Było piętnaście po dwunastej.

— Tak? — mruknęła Tally, próbując wyglądać na zdziwioną.

Ojciec pokiwał głową.

— Powinieneś już spać...

— Powinienem, ale chciałem wiedzieć, czy wróciłaś do domu.

— Przecież wiedziałeś, że byłam z Emmą.

— Ale mimo to martwiłem się o ciebie...

Podeszła do niego, uśmiechnęła się, a potem położyła mu głowę na piersiach i uściskała go.

— Jesteś słodki.

— Przestań się podlizywać. — Tom pocałował ją w czubek głowy. — Jeśli będziesz gotowa za dwie minuty, zabiorę cię ze sobą. Ale potem odjeżdżam. Umówiłem się z mamą na kawę.

Wyprostowała się i spojrzała w górę. Cieszył się, że nadal jest niższa od niego.

— Dzięki, tato, jesteś skarbem. Ruszył w kierunku schodów.

— Chyba raczej frajerem.

Gdy Tally dokonywała ostatnich poprawek w swoim wyglądzie, Tom zamknął tylne drzwi, a potem zdjął z haczyka kluczyki od samochodu, które wisiały w kuchni. Wyszedł frontowymi drzwiami i przez wybrukowany kamieniami podjazd poszedł w kierunku otwartej części stodoły, gdzie pod omszałym dachem stał jego land-rover. Kiedy czekając na córkę, bawił się kluczykami, znajome „Ooo-oooh” przeszło czyste poranne powietrze.

Tom poczuł, że ogarnia go przygnębienie. Nie tyle z powodu samego głosu Maisie, ile z powodu chwili, w której

się rozległ. Maisie Whippingham była dobrą duszą, ale nigdy nie umiała wybrać właściwego momentu. Do innych jej wad należała również wojowniczość, przy której Alexander McQueen wydawał się powściągliwy i opanowany, oraz bardzo mgliste pojęcie o związku pomiędzy słońcem a ziemią. Wiecznie się spóźniała, bo po prostu nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że czas można mierzyć godzinami. Przyjmowała do wiadomości, że rok składa się z dni, tygodni i miesięcy, ale inne podziały miały dla niej niewielkie znaczenie. Jadła, gdy była głodna, i spała, kiedy robiło się ciemno; jej aktywność w lecie była zadziwiająca, a zimą minimalna. Teraz, w czerwcu, sięgała zenitu.

Pomachała Tomowi znad żywopłotu otaczającego Woodbine Cottage, który znajdował się po drugiej stronie alei prowadzącej do Wilding's Barn, i przywołała go.

— Teraz nie mogę, Maisie. Muszę zabrać Tally do miasta, a potem spotykam się z Pippą. Już jestem spóźniony.

— Tak, oczywiście. Przepraszam. Chciałam ci tylko powiedzieć, że czekam na transport nawozu.

— Kiedy? — zapytał Tom i uświadomił sobie bezsens tego pytania w tym samym momencie, w którym je zadał.

— No... kiedyś.

— Dzisiaj?

— Prawdopodobnie. — Maisie uśmiechnęła się spod burzy włosów w kolorze soli i pieprzu, uwieczonych pod kolorowym turbanem.

Tom położył ręce na biodrach.

— A po co ci ten nawóz, Maisie?

Ogród Maisie był nie tyle ogrodem, co rezerwatem przyrody. Matka natura już dawno wzięła w nim górę, bo oprócz corocznych letnich najazdów z maczetą na jeżyny, mających zrobić miejsce dla starego sosnowego krzesła i sztalug, Maisie troszczyła się tylko o kawałek ogrodu wokół Wood-

bine Cottage. Ten skrawek ziemi był przystanią dla ptaków, jeży oraz innych przedstawicieli dzikiej przyrody. Maisie miała nadzieję, że pewnego dnia przeniesie to wszystko na płótno. Malowanie było jej pasją i chociaż obiekty, które malowała, stawały się nierozpoznawalne w momencie, gdy uwieczniła je na swoich obrazach, bardzo lubiła myśleć o sobie jako o artystce. Wiele czytała o malarstwie, rzeźbie oraz innych formach twórczości zdobniczej — począwszy od origami, a skończywszy na makramach. Robiła to w każdej wolnej chwili, a tych chwil było naprawdę dużo. Zanim skończyła pięćdziesiąt pięć lat, pracowała w banku w Londynie. Potem przeszła na emeryturę, sprzedała swoje londyńskie mieszkanie, pozbyła się wszystkich zegarów, które do tej pory rządziły jej życiem, kupiła Woodbine Cottage i postanowiła zacząć żyć wiejskim życiem, a raczej tym, co w jej mniemaniu nim było.

Jeśli udało jej się trafić na właściwy dzień, brała udział w aukcjach, kupowała dziwaczne *object d'art* i urządzała nimi swój dom. Jej stroje były skrzyżowaniem stylów Edith Sitwell i Vity Sackville-West. Dzisiejszy turban był różnokolorowy i połyskiwał złotą nitką. Miała na sobie również granatową rybacką bluzę ozdobioną purpurowym szalem z kordonką i brązowe sztruksowe spodnie wpuszczone w buty do kolan. Był to w jej mniemaniu bardzo elegancki strój.

— Chcę spróbować z ziołami — oświadczyła.

— Przecież nic o nich nie wiesz — odparł Tom, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt uszczypliwie.

— Jeszcze nie, ale będę wiedziała. Chcę robić zupy i inne rzeczy. Tak jak Pippa.

Tom rzucił okiem na niski żywopłot z głogu otaczający uporządkowany ogródek zielny Pippy, w którym zwarte szeregi kopru i kolendry okalały grządki pietruszki i szczypiorku. Sałata i inne warzywa przepychały się do światła i powietrza pomiędzy pomarańczowymi nagietkami i gąsz-

czem słodkiego groszku. Ogród był pasją i namiętnością Pippy, a Maisie najwyraźniej pozazdrościła go jej.

— To będzie wymagało sporej pracy... — mruknął i popatrzył na wysoką ścianę jeżyn i ostów, buchających z ogrodu Maisie.

— Ktoś mi pomoże. Pan Poling. Niedługo przyjdzie.

— No cóż, wobec tego powodzenia. Daj nam znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Ale może później, bo teraz trochę się spieszę.

Maisie skinęła głową, wyrażając tym gestem wdzięczność i zrozumienie. Było to coś w rodzaju wizualnego dopełnienia jej słów, które wyrzucała z siebie urywanym staccato:

— Powiedz Pippie, że chciałabym z nią porozmawiać. Potrzeba mi paru informacji. O trybulkach i innych rzeczach.

Raz jeszcze pomachała Tomowi, a potem zniknęła we wnętrzu domu, przeciskając się obok sterty starych gazet, która robiła się coraz wyższa i wyglądało na to, że pewnego dnia pochłonie mały ganek razem z winoroślami i kapryfolium. Ale Maisie nigdy niczego nie wyrzucała. Wszystko mogło się przecież pewnego dnia przydać.

Tom spojrział na zegarek. Ani śladu Tally. Otworzył drzwi land-rovera, włączył silnik, nacisnął klakson, a potem wyjechał na brukowany podjazd, by tam zaczekać na córkę. Nadal żadnego znaku.

— Jade! — zawołał w stronę okna jej sypialni i znów nacisnął klakson.

Tally wybiegła przez frontowe drzwi z kurtką przewieszoną przez jedno ramię i torebką przez drugie.

— Przepraszam! Zapomniałam komórki.

Kiedy sadowiła się na sąsiednim fotelu, Tom zapytał:

— Zamknęłaś drzwi?

— Och! Przepraszam! — Skrzywiła się i zaczęła szukać w torebce swoich kluczy.

Tom westchnął, wyłączył silnik i wyjął kluczyki ze stacyjki.

— Ja pójdę — mruknął z rezygnacją, a gdy wrócił, dodał: — Czasami się zastanawiam, czy nie urodziłaś się w stodole.

— Skądże. Po prostu w niej mieszkam.

Spojrzał na córkę, z trudem powstrzymując śmiech, a potem ruszył w stronę Axbury Minster. Jak zawsze, gdy Tally była przy nim, czuł się jak milion dolarów.

Rozdział 3

Axbury Minster należało do tego typu miasteczek, jakie opisywał Anthony Trollope; było czymś w rodzaju małego Oxfordu położonego na błotnistym gruncie. Kiedyś było osadą targową — i nadal takie pozostało, bo w pierwszy poniedziałek każdego miesiąca odbywał się tu jarmark — ale czasy handlowania zwierzętami hodowlanymi minęły już dobre dwadzieścia lat temu, a ówczesne wybiegi dla owiec stały się teraz eleganckimi terenami spacerowymi, po których przechadzały się damy w butach na wysokich obcasach.

Sama katedra nie była najpiękniejszym okazem architektury wczesnego gotyku w hrabstwie Sussex, choć angielski poeta Betjeman wyrażał się o niej dość pochlebnie, mimo że Pevsner, francuski malarz i rzeźbiarz, okazywał jej lekką pogardę. Dla mieszkańców Axbury Minster nadal jednak była sercem miasta, bez względu na to, co myśleli przyjezdni, i integrowała je nie tylko pod względem architektonicznym, ale także duchowym.

„Pelican” zajmował parter i piwnicę w części tarasu z okresu georgiańskiego, dzięki czemu wydawał się bardziej imponujący i okazały niż w rzeczywistości. Budynek był zwrócony w kierunku północno-zachodnim. Powstał w 1730 roku, a architekt, który go zaprojektował, miał chyba wolny

dzień, gdyż proporcje, które mu nadał — chociaż hojne w skali pionowej (pięć pięter) — były oszczędne w poziomie (dwadzieścia stóp) i bardzo skąpe, jeśli chodzi o fundamenty. Ale miał pewien oryginalny wdzięk, a katedra znajdowała się o rzut kamieniem, użyczając mu swojej niepowtarzalnej atmosfery.

Tally wysiadła przy herbaciarni i od razu wpadła w ramiona swojej przyjaciółki Emmy. Towarzyszyły temu dziewczęce piski i mnóstwo uścisków. Tom zaparkował land-rovera na wąskim podejździe na tyłach restauracji i wszedł do środka przez kuchenne drzwi. Typowe sceny towarzyszące porze lunchu — obłoki pary i pełne udreki pomrukiwania personelu odprawiającego swoje czary nad płomieniami i płytami gorącego pieca — miały się dopiero zacząć rozgrywać. Był sobotni poranek, za piętnaście jedenasta, czyli cisza przed burzą, ponieważ otwierali dopiero w południe. Ellen, zażywna staruszka mieszkająca na drugim końcu miasta, zamiatała podłogę, przygotowując się do kolejnej kuchennej bitwy. Jej ręce były intensywnie różowe od ciągłego moczenia w płynach do mycia naczyń.

— Dzień dobry. Dobry i ładny — powiedziała i uśmiechnęła się, ukazując braki w uzębieniu.

— Cudowny.

— Myślałam, że masz wolne.

— Mam. Tylko tutaj zaparkowałem. Jest Peter?

Ellen skinęła głową w kierunku głównej sali restauracyjnej i starła kroplę potu z koniuszka nosa.

Tom pchnął wahadłowe drzwi i wszedł do bistra. Kluczył pomiędzy wyszorowanymi do czysta sosnowymi stolikami i drewnianymi krzesłami, minął oprawione w ramy plakaty operowe i lustra z gipsowymi ramami, a potem skierował się do baru ciągnącego się wzdłuż jednej strony jadalni. „Pelican” składał się z dwóch wąskich sal i kuchni na parterze oraz piwnicy, która biegła przez całą długość budynku i była używana głównie w porach posiłków, zwłaszcza

w piątki i soboty. W niedzielę lokal był zamknięty, by wszyscy mogli trochę odetchnąć.

Peter stał za barem pełnym puszek z piwem. Kiedy otworzyły się kuchenne drzwi, podniósł głowę i zapytał Toma:

— Nie potrafisz trzymać się z dala od tego miejsca?

— Tylko tutaj zaparkowałem. Wszystko w porządku?

— Zabawne, że o to pytasz.

— Co masz na myśli?

— Sam wręczył mi dzisiaj swoje wypowiedzenie.

— Co?

— Mówi, że znalazł nową pracę. W Brighton. Będzie współnikiem, drań jeden.

Tom wzruszył ramionami.

— No cóż, nie możesz go winić. Ty zrobiłeś dokładnie to samo.

— Wiem, ale to nie jest najlepsza pora, prawda? Nadchodzi lato i cały ten ambaras. Wszyscy wariują!

Sam pracował w „Pelicanie” prawie trzy lata. Peter wziął go pod swoją komendę i wszystkiego nauczył. Sam był bardzo bystry; nie tylko szybko się uczył, ale również rozwijał swój indywidualny styl, co oznaczało, że od czasu do czasu Peter mógł mieć wolny weekend. Tom zdołał osiągnąć to samo z Sally, szefową kelnerek. Sam i Sally sprawili, że życie Toma i Petera nabrało pozorów normalności.

Sam przejmował dowodzenie także wówczas, gdy Peter miał jeden z tych swoich „momentów”. Wszyscy kucharze je miewają. Takie „momenty” pojawiają się wówczas, gdy trud włożony w przygotowanie wspaniałych potraw nie znajduje uznania klientów. Innymi słowy, Peter wpadał w chandrę, gdy zdawało mu się, że to, co robi, jest traktowane jako coś oczywistego.

Ale te napady złego humoru szybko mijały i następnego dnia przychodził do pracy, jakby nic się nie stało. Tom nauczył się radzić sobie z artystycznym temperamentem Petera. Czasami zastanawiał się tylko, czy jego własne

zdolności literackie nie zyskałyby na takich sporadycznych napadach złego humoru.

Odejście Sama było naprawdę niedobłą wiadomością. Wyglądało na to, że znowu będą musieli borykać się ze wszystkim sami.

Peter wyciągnął ręce ponad głową, a potem zanurzył je w swoich jasnych kręconych włosach.

— To istna sodoma i gomora. Rachel wpadnie w szal.

Rachel Jago była „siłą kierowniczą” Petera, a przynajmniej tak właśnie lubiła o sobie myśleć, i wcale nie chodziło o to, że to ona najczęściej siadała za kierownicą. Pobrali się zaledwie dwa lata temu i dla niej była to już trzecia próba. Pierwszy mąż Rachel odszedł od niej ze swoją sekretarką, a drugi po prostu uciekł. Przez piętnaście lat, a może dłużej, Peter skutecznie opierał się wszelkim długotrwałym związkom, w końcu jednak ugiął się pod naporem determinacji Rachel. Była jedyną osobą, której siła woli przewyciężyła jego własną i wyglądało na to, że wciąż jej się boi. To, że mąż ma własną restaurację, było z punktu widzenia Rachel bardzo wygodne, jadła więc tam prawie codziennie, przyprowadzając ze sobą jedną albo dwie przyjaciółki. Tom nadal czuł się dość nieswojo, gdy po skończonym posiłku podawał jej rachunek. Nie dawała po sobie poznać, że coś jest nie tak; uśmiechała się tylko szeroko i mruczała do swojego gościa: „Muszą mieć księgi w należyтым porządku. Nic za darmo” — a potem kładła na talerzyku swoją złotą kartę kredytową i poprawiała szkarłatną szminkę na ustach.

Rachel podobałoby się z pewnością, gdyby Peter prowadził sieć restauracji — najlepiej „Le Caprice” i „Ivy”. Pragnęła, by stał się kimś w rodzaju Terence’a Conrana, i robiła, co mogła, żeby przekonać go, że powinien rzucić gotowanie i stać się bardziej przedsiębiorczy. Katastrofa z „Albatrossem” wydarzyła się na długo przed tym, zanim pojawiła się w życiu Petera.

— Teraz jest inny klimat — mówiła. — Ludzie pragną urozmaicenia i nie chcą chodzić co tydzień do tej samej restauracji. Otwórz następną. Ja tam przyjdę i moi przyjaciele również. Jesteś zbyt uzdolniony, by wbijać jajka do omletu.

Słuchając jej wywodów prawie codziennie od dwóch lat, Peter zaczynał myśleć, że w tym, co mówi, musi być jakiś sens. Wszelkie braki swojej argumentacji nadrabiała zawziętym uporem. Tom był jak dotąd nieświadomy jej rzeczywistych zamiarów, odkrył jednak, że w jego obecności Rachel odczuwa pewne napięcie. Prawda była taka, że po raz pierwszy w swoim życiu spotkała godnego siebie przeciwnika. Tom Drummond wydawał się bowiem łagodny i spokojny, ale wiedziała, że pod tą powierzchownością kryje się człowiek ze stali, i to burzyło jej porządek.

Pippa widziała to wszystko; nic nie uchodziło jej uwagi. Żona Petera była dla niej otwartą księgą, więc dokuczała Tomowi, sugerując, że Rachel robi się nerwowa w jego obecności, ponieważ ma na niego ochotę. Tom wzdrygał się i dawał jej uspokajającego kuksańca. Rachel — ze swoimi wygórowanymi ambicjami, krótkimi kasztanowymi włosami, ostrymi rysami twarzy i garderobą, na którą wydawała niemal tyle, ile wynosiły rachunki Watykanu za stroje — zdecydowanie nie była w jego typie.

A jaki był jego typ? Ożenił się siedemnaście lat temu, gdy miał dwadzieścia dwa lata, a Pippa dwadzieścia, i od pierwszego spotkania wiedział, że nigdy nie będzie w jego życiu innej kobiety. Było to dość dziwne, ponieważ do tamtej pory nie potrafił nawet zdecydować, czy powinien słodzić herbatę.

Opuścił „Pelicana” i zrzedzającego Petera, po czym poszedł w dół ulicy w stronę katedry. Zobaczył żonę przez okno sklepu „Parson's Pantry”, jak czekała cierpliwie, podczas gdy pedantyczna właścicielka owijała chleb w papier, a potem wkładała go do koszyka. Gdy wyszła na

zewnątrz i ujrzała go, jej twarz rozjaśniła się w promiennym uśmiechu.

— Myślałam, że piszesz.

— Robiłem za kierowcę.

— Powinna pojechać autobusem.

— No tak...

— Jesteś taki miękki. Tom uśmiechnął się.

— Masz ochotę na kawę? Nic nie przychodziło mi dzisiaj do głowy.

— Chodźmy więc, mój ty literacki geniuszu. Książka Toma stała się czymś w rodzaju rodzinnego żartu.

Nikt nie spodziewał się, że ją kiedykolwiek skończy, a przynajmniej nie spodziewał się tego on sam, ale wszyscy traktowali ją tak poważnie, jakby była arrasem przedstawiającym podbój Anglii przez Normanów. Pisanie książki jest czymś, co trzeba robić stopniowo, i ta myśl pozwalała Tomowi zachować zdrowe zmysły.

Pippa ujęła męża pod ramię i ruszyli w stronę przeszklonej kawiarni z metalowymi krzesłami i stolikami ustawionymi na chodniku. Kawiarnia znajdowała się naprzeciwko herbaciarni odwiedzanej przez Tally i jej rówieśników. Pippa zajrzała do mrocznego wnętrza pomalowanego na brązowo lokalu.

— Ona tam jest? — zapytała Toma.

— Tak. Pewnie rozmawiają o jakichś głupotach. Zabawne, prawda? Kto by pomyślał, że my będziemy tutaj, a ona tam. To miejsce jest bardziej odpowiednie dla ludzi w jej wieku.

Pippa roześmiała się.

— Nie, oni uwielbiają tę herbaciarnię z tymi wszystkimi staruszkami. Nikt się nie przejmuje podsłuchiwaniami. A poza tym podają tam dobrze wypieczone bułeczki.

Gdy usiedli i zaczęli popijać kawę, Peter opowiedział żonie o Samie i reakcji Petera.

— Cóż, musisz zrozumieć jego punkt widzenia — zauważyła rozsądnie Pippa. — Ale to niedobrze. Co zamierzasz zrobić?

— Chyba dam ogłoszenie.

— A kiedy Sam chce odejść?

— Pod koniec następnego miesiąca.

— Szkoda, chyba jednak już jest za późno, by wszystko zmieniać.

— Co zmieniać? — zapytał Tom.

— Plany.

— Jakie plany?

— Wakacyjne.

— Czyje plany wakacyjne?

— Nasze.

— Przecież nie mamy żadnych planów.

— Teraz mamy.

Tom spojrział na nią podejrzliwie.

— Nie patrz na mnie w ten sposób. Kiedy ostatni raz mieliśmy wakacje? Rodzinne wakacje?

— W zeszłym roku.

Pippa westchnęła i oparła głowę na dłoniach.

— Długi weekend w Bath to nie są prawdziwe wakacje.

— A więc?

— Potrzebujesz wakacji. Wszyscy ich potrzebujemy. Sam powiedziałeś, że nie idzie ci pisanie. Potrzebujesz przerwy, żeby odzyskać natchnienie.

— Poczekaj chwilę...

— Żadnych ale. Wszystko jest zarezerwowane. Dwa tygodnie w Toskanii, mały domek z winnicą.

— Kiedy?

— Pod koniec miesiąca. Tally skończy egzaminy, a Peter na pewno sobie poradzi. — Tom patrzył na nią z otwartymi ustami. — Wiesz, że nie jesteś niezastąpiony. To tylko podawanie jedzenia — powiedziała łagodnie.

— A co z Samem?

— Daj ogłoszenie i poszukaj kogoś na jego miejsce. Możesz je napisać, zanim stąd pójdziemy. A poza tym nie gotujesz, więc kuchnia to nie twoje podwórko. To problem Petera.

Tom potrząsnął głową.

— Nie. To Rachel jest problemem Petera.

— Biedaczek.

— Ale jeśli...

Pippa wypila kawę z filiżanki i uśmiechnęła się.

— Więc nie chcesz pojechać na wakacje z dwiema atrakcyjnymi dziewczynami?

— No tak, ale... — Usiłował wytłumaczyć, że to nie jest najlepszy czas, zdołał jednak tylko jęknąć w żartobliwej udreće.

W drzwiach kawiarni podejrzenie szybko pojawiła się jasnowłosa głowa nastolatki.

— Jak to przyjął? — zapytała.

Jej matka odwróciła się i mrugnęła.

— Jak baranek.

Jej ojciec wypił łyk letniej kawy.

— Nie wiem, dlaczego się tym wszystkim przejmuję. Ale przejmował się. Naprawdę.

Rozdział 4

— Uważasz, że jestem zbyt wygodny i za mało wymagający?

Pippa wynurzyła się z głębokiego snu i odwróciła twarz w stronę Toma. Miała jeszcze mocno zamknięte oczy. Jedną ręką naciągnęła kołdrę na ramiona, by zatrzymać ciepło.

— Mmm... Co?

— Przepraszam. Myślałem, że już nie śpisz. Tak sobie właśnie pomyślałem...

— To niebezpieczne — mruknęła. Wyciągnęła jedną rękę spod kołdry i pogłaskała go po głowie. — O czym pomyślałeś?

— Czy nie jestem przegrany. Pippa otworzyła jedno oko.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Nie wiem. — Tom leżał na plecach i wpatrywał się w sufit. — To chyba kryzys wieku średniego.

— Trochę wcześniej, nie sądzisz?

— Mam trzydzieści dziewięć lat. Pippa otworzyła drugie oko.

— Cóż, ja mam trzydzieści siedem i przez następne dziesięć nie mam zamiaru przechodzić przez coś podobnego.

— Chodzi o to, że czasami robię mały rachunek sumienia

i zastanawiam się, co osiągnąłem. Dokąd to wszystko odeszło?

Leżeli w łóżku w niedzielny poranek, słońce padało ukośnie przez szparę w zasłonach. W domu panowała cisza, a z zewnątrz dochodził śpiew ptaków i odgłosy wsi — dalekie beczenie owiec, szum poruszanych lekkim wiatrem liści jaworu i warczenie traktora.

— Dlaczego sądzisz, że niczego nie osiągnąłeś?

— Po prostu zastanawiam się, czy nie powinienem był wziąć na siebie większej odpowiedzialności, zamiast dawać tak sobą sterować... no wiesz...

— Zamiast przyjmować w pokorze zrzędzenia niegodziwej fortuny?

— Pippa stłumiła ziewnięcie.

— Coś w tym rodzaju.

— Ty? Sterowany? To absurdalne. — Przytuliła się do niego i objęła go w pasie.

— Dlatego to właśnie ty musiałaś zorganizować wakacje, na które pojedziemy.

— Tylko dlatego, że ty nie miałeś czasu.

— Czasami zastanawiam się po prostu, jak to się stało, że skończyłem tam, gdzie skończyłem.

— Dziękuję bardzo...

— Nie mam na myśli nas obojga. Chodzi o moje życie. O pracę i sprawy tego rodzaju. Dlaczego, u diabła, prowadzę restaurację? To śmieszne.

— To sukces.

— Tak, ale... nie tego chciałem.

— A czego chciałeś?

— Nie wiem, naprawdę. I nie sądzę, żebym kiedykolwiek wiedział. Mam swoje pisanie, chyba jednak za mało pracuję. Wydaje mi się, że kiedyś miałem jakieś marzenia, ale nie jestem pewien, co to było.

— A to nie jest to?

Tom oparł się na rękę i popatrzył na nią.

— Cóż, nie... to znaczy tak. Mam na myśli ciebie i mnie.

Pragnąłem tego i pragnę, ale nie jestem pewien co do reszty.

— No, ulżyło mi w związku z tą pierwszą częścią.

— Ale rozumiesz, co chcę powiedzieć?

— Rozumiem — odparła. — Wszyscy jesteśmy od urodzenia zdeterminowani, mamy określony plan życia oraz drogę kariery, którą niewolniczo podążamy aż do emerytury. A potem znajdujemy wreszcie czas, by robić wszystkie te rzeczy, z których musieliśmy zrezygnować między osiemnastym i sześćdziesiątym piątym rokiem życia. I uspokaja nas świadomość, że zrealizowaliśmy swoje cele. — Pippa pocałowała męża w policzek. — Nie możesz zrozumieć, dlaczego w wieku trzydziestu dziewięciu lat nie jesteś panem siebie i dlaczego nie wiesz, dokąd zmierzasz? Prawda jest taka, że nikt tego nie wie. Naprawdę.

— Chyba tak.

— Daj spokój, kochanie. A kto twoim zdaniem panuje nad swoim życiem?

— Peter i Rachel.

Pippa podparła się na rękę.

— I tych dwoje to według ciebie wzór do naśladowania, tak? Wybuchowy, humorzasty kucharz i jego jędzowata żona.

— Och, wiesz przecież, o co mi chodzi!

— W ogóle nie wiem, o co ci chodzi — odparła z przekornym uśmiechem. — Chyba że chcesz co chwila wpadać w zły humor i doprowadzić do tego, by żona zmuszała cię do robienia rzeczy, na które nie masz ochoty.

— Cóż, w końcu i tak to robisz.

— Ty! — Pippa uszczypnęła go mocno, aż krzyknął /, bólu.

— Nie rób tego albo...

— Co? Co mi zrobisz? — zapytała, nie przestając go szczypać.

— To — powiedział i nakrył ją swoim nagim ciałem. Objął ją i zaczął całować. Gdy usłyszał pukanie do drzwi

sypialni, położył się szybko na swoim miejscu i naciągnął kołdrę aż po szyję. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich potargana nastolatka.

— Czy mogę wejść do łazienki? — zapytała.

— Oczywiście.

— Dzięki. — Zaspana Tally w za dużej koszulce z napisem „Jestem naturalną blondynką, proszę mówić wolniej” wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

— Niewiele brakowało! — zachichotała Pippa.

— Prawdopodobnie nie sądzi, że w ogóle to robimy. — Tom wykrzywił twarz. — „Fuj! Jakie to obrzydliwe! Ludzie w waszym wieku!”.

— „To nie powinno być dozwolone!”.

— Nie jest... bardzo często — mruknął Tom.

— Narzekasz?

Tom milczał przez chwilę.

— Tak, chyba tak.

— No dobrze, ona się teraz kąpie. Jak szybko możesz to zrobić?

— Och, znasz mnie... Tak szybko, jak sobie życzysz.

— Ciiii! Usłyszysz cię — powiedziała Pippa i roześmiała się.

Leżeli w swoich objęciach, spoceni i wyczerpani. Po chwili rozległo się wołanie:

— Łazienka jest wolna!

— Dziękuję! — odkrzyknęła Pippa, głaszcząc czoło Toma. — Jesteś cały spocony — zauważyła.

— Nie chciałbym, żebyś pomyślała, że wysiadam po półgodzinie.

— Nigdy się nie skarżyłam. Uśmiechnął się.

— Bardzo się cieszę.

— Chyba lepiej będzie, jak wstaniemy.

- Masz rację. A co porabia dzisiaj nasza szanowna panienska?
- Idzie na imprezę. Przypuszczam, że z jednym ze swoich chłopaków.
- Jednym ze swoich chłopaków? A ilu ich ma?
- Tylko dwóch.
- Nie może się zdecydować? — zapytał z przekąsem Tom.
- Nie chce. To ją bawi.
- Tak postępują faceci. A kobiety powinny być wierne i monogamiczne.
- Tom! Witaj w dwudziestym pierwszym wieku.
- A czy jeszcze chodzi z tym... jak mu tam... Blobem?
- Blipem — poprawiła go Pippa.
- Co to za imię?
- To jego przezwisko. Tom uniósł brwi.
- Jak chłopak może nosić takie przezwisko?
- Kiedy się urodził, jego rodzice mieli już czworo dzieci. Nie zamierzali mieć więcej i on był niedopatrzaniem w ich planowaniu rodziny.
- Biedny mały drań. Ale to brzmi trochę niebezpiecznie.
- Wcale nie. Jest słodki i trochę nieśmiały, zwłaszcza w twojej obecności.
- Mam nadzieję, że to nic poważnego.
- Och, myślę, że Blip chciałby, żeby było poważne, Tally jednak twierdzi, że on jest tylko jej przyjacielem.
- Tom zamyślił się.
- Czy zastanawiasz się czasem, jak by to było, gdybyśmy... mieli więcej dzieci?
- Czasami. Byłoby miło, gdyby Tally miała towarzystwo. Ale wydaje mi się, że dobrze sobie radzi. A poza tym nie da się walczyć z naturą, prawda?
- Tom nachylił się i pocałował ją.
- Jest wspaniale. — Zauważył, że jej oczy błyszczą

od łez, więc zmienił temat. — A kto jest tym drugim szczęśliwcem?
— Sam ją o to zapytaj.
— Nie lubię się wtrącać — odparł Tom.
— Przecież umierasz z ciekawości!
— Tak. Ale nie chcę być jednym z tych wścibskich ojców, którzy oceniają chłopaków swojej córki.
— Wkrótce będziesz.
Tom uśmiechnął się z przymusem.
— Wiem.
— Nie musisz się tak zamartwiać. Powiedziałam ci, że to raczej przyjaźń niż romans. Tally nie chce się wiązać.
— To nie potrwa długo.
— Nie, ale powinniśmy się cieszyć, dopóki jest, jak jest. Pippa wyslizgnęła się z łóżka i podeszła do okna, by odsunąć zasłony i wpuścić do pokoju światło niedzielnego poranka.
— Ładny dzień — stwierdziła, odwracając się do męża. Tom spojrzał na nią. Stała w świetle porannego słońca, jej ciemne brązowe włosy delikatnie muskały ramiona. Miała okrągłe jędrne piersi, jej talia nadal była talią, a nogi, chociaż niezbyt długie, były zgrabne, szczupłe i lekko opalone.
— Wyglądasz cudownie — powiedział.
— Chciałabym powiedzieć to samo o tobie.
Tom zrzucił kołdrę i wstał z łóżka. Był wyższy i mocniej zbudowany niż Pippa. Spojrzał na nią, uśmiechając się figlarnie.
— Doskonale! To jest to! — zawołał i zaczął się powoli do niej zbliżać.
— Tom! Przestań! Obudzisz Tally!
— Ona wcale nie śpi.
— Wiesz, o co mi chodzi.
Pippa uciekła za łóżko, a on tropił ją niczym wilk swoją ofiarę.

— Ostrzegam cię! Będę krzyczeć!

— Krzyki nic ci nie pomogą, mała! Kiedy z tobą skończę, nie będziesz już w stanie krzyczeć.

— Tato, znowu się wygłupiasz? — usłyszeli głos Tally. — Ubierz się i zachowuj stosownie do swojego wieku. Zrobiłam wam herbatę.

Zamarli i spojrzeli na siebie, a potem zaczęli zwijać się ze śmiechu.

— Więc co dzisiaj porabiasz? — zapytał Tom przy śniadaniu, patrząc na Tally. Starał się, by zabrzmiało to dość obojętnie.

Tak jak oczekiwał, odpowiedź córki była wymijająca.

— Wychodzę.

— Z kimś, kogo znam?

— Tato! Nie bądź śmieszny.

Tom zakaszał, bo okruch chleba dostał się w niewłaściwe miejsce, i wypił łyk kawy, żeby przepłukać gardło.

— Jestem tylko ciekawy.

Pippa usiadła przy kuchennym stole naprzeciw niego i zwróciła się do Tally:

— Wiesz, że ojcowie już tacy są. Niepokoją się o swoje dzieci.

Tally wzniosła oczy do nieba.

— A ty wiesz, jakie są córki — odparła. — Nieodpowiedzialne i kapryśne. Zwłaszcza po egzaminach, kiedy wszyscy oczekują od nich tylko tego, by się... odprężyły! — Uśmiechnęła się do ojca. — Nie martw się, tato. Nie dam się obmacywać.

Tom zakrztusił się kawą.

— Mam nadzieję, że nie — mruknął, gdy doszedł do siebie.

— Jestem całkowicie bezpieczna — dodała Tally. —

Z tego, co wiem, chłopcy interesują się tylko spaniem, piciem i pierdzeniem.

Tom przestał jeść, zdziwiony szczerością córki i celnością jej spostrzeżeń.

Tally najwyraźniej nabrała ochoty do rozmowy.

— To prawda. Oni są dziećmi, a ja nie jestem jeszcze przygotowana na dzieci.

— To doskonale.

— Myślę, że ona próbuje cię uspokoić — wtrąciła się Pippa.

— Przez cały czas próbuję być spokojny. — Tom wypił kawę. — Dokąd cię dzisiaj podwieźć?

— Ktoś po mnie przyjedzie.

— Wspaniale. Twój nowy kolega ma przynajmniej swój samochód.

Po chwili na twarzy Toma pojawiła się troska.

— A czy on jest dobrym kierowcą?

— Tato! Przestań się martwić. — Tally położyła dłoń na jego rękę. — Jest bardzo ostrożny i wie, że nie wsiądę do jego samochodu, jeśli coś wypije. W porządku? — Spojrzała na zmarszczone czoło ojca.

— Przepraszam — westchnął Tom.

— Och, naprawdę podoba mi się taki troskliwy tata, ale tylko do pewnego stopnia.

— I ani odrobiny więcej?

Tally uśmiechnęła się. Chrzęst kół na żwirze i dwa krótkie dźwięki klaksonu zapowiedziały przybycie dzisiejszego adoratora. Obiekt jego uczuć wstał od stołu i zaczął zbierać się do wyjścia.

— Nie wrócę późno. Alex musi wyjść wieczorem z rodzicami, więc powinnam być z powrotem około szóstej. OK? Cześć.

Pocałowała matkę w policzek, poklepała ojca po głowie, jakby był jej ulubionym psem, i wybiegła przez frontowe drzwi, pozostawiając po sobie smugę jakiegoś intensywnego

zapachu. Tom pomyślał, że chciałby być na tyle młody, by móc go rozpoznać.

— Cóż, tak to jest — stwierdziła Pippa i zaczęła sprzątać ze stołu.

Tom wyjrzał przez okno, a potem zapytał obojętnym tonem:

— Kim jest ten Alex?

Rachel i Peter również mieli wolny dzień, ale nie spędzali go tak jak Drummondowie. Życie przy ulicy Cloisters numer 1, w eleganckiej, pomalowanej na biało kamienicy znajdującej się w pobliżu katedry, było zaplanowane w najdrobniejszym szczególe. Niedziele rozpoczynały się późnym śniadaniem przygotowywanym przez Petera, a kończyły kolacją wydawaną dla przyjaciół — głównie przyjaciół Rachel — które przygotowywali wspólnie. W rzeczywistości oznaczało to, że Peter gotuje, a Rachel nakrywa do stołu. W międzyczasie Peter mógłby wyrwać się na pół godziny i pójść na spacer, ale przeważnie był zajęty realizowaniem projektów Rachel. Dzisiaj wybierali się do agencji nieruchomości Payne'a, Warda i Hartherleya, która była otwarta przez całą niedzielę.

Rachel znalazła miejsce na nową restaurację Petera — inną georgiańską kamienicę, o wiele bardziej elegancką niż wałaca się rudera, w której mieścił się „Pelican”. Opór Petera powoli kruszał; potrzebny był jedynie ostatni bodziec. Rachel postanowiła, że urobi go później, ponieważ umowa i tak została już sfinalizowana. Ale nie wiedziała, czy Peter zdoła utrzymać w tajemnicy przed swoim partnerem fakt istnienia drugiej restauracji i czy w ogóle będzie chciał to zrobić. Miała jednak swoją misję do wypełnienia i nic nie mogło jej powstrzymać przed realizacją planów, nawet Tom Drummond. Perspektywa konieczności przekonywania go przyprawiała ją o dreszcz emocji. A co z Pippą? Z nią trzeba

będzie postępować bardzo ostrożnie, Rachel wiedziała jednak, że i z tym sobie poradzi. Potrzebne było jedynie właściwe podejście.

Każdy popełnia w życiu błędy i dokonuje złych kalkulacji — i Rachel miała się właśnie o tym przekonać. Po raz kolejny.

Rozdział 5

— Podoba ci się mój samochód?

— Jest w porządku, ale ma za mało miejsca, żeby przewozić nim bele siana.

Alex Blane-Pfitzer spojrział na Tally ze zdziwieniem. Po chwili jednak pojął, że to żart.

— Och, bardzo zabawne... Jest jednak trochę szybszy niż furgon do przewozu koni.

— Mmm. — Tally postanowiła, że nie da po sobie poznać, jakie wrażenie zrobiła na niej czarna mazda MX5. Jej zdaniem ludzie nie powinni dostawać takich samochodów na osiemnaste urodziny. Nawet jeśli są używane.

— Więc dokąd jedziemy?

— Myślałam, że już coś wybrałaś. Chłopak nie dał się zbić z tropu.

— Może Marina albo Old Harbour?

— Old Harbour. Jest ładniejszy.

— W porządku.

Alex wdusił pedał gazu i ruszył z warkotem silnika. Tally w milczeniu wskazała na znak ograniczenia prędkości do trzydziestu mil na godzinę. Gdyby zrobił to ktoś inny, Alex jeszcze dodałby gazu, lecz tym razem zwolnił.

Tally cieszył pęd wiatru, który nawet przy niewielkiej szybkości rozwiewał jej włosy, i świeży zapach wczesnego

lata. Alex wciąż na nią zerkał, mając nadzieję, że dziewczyna tego nie zauważy, bo jego oczy zasłaniały gogle.

— Podoba ci się tutaj? — zapytał. Skinęła głową.

— Jest wspaniale.

— Lepiej niż w Londynie?

— O wiele. Nie mogę znieść tamtego zapachu ani ludzi. Chodzą z takimi smutnymi minami. Wydaje się, że przez cały czas są strasznie nieszczęśliwi.

— Ale Londyn jest na luzie.

— A kogo to obchodzi?

Alex spojrział na nią i roześmiał się.

— Jesteś zabawna.

Tally wzruszyła ramionami i spojrzała na pobocze, gdzie stał żywopłot, obrośnięty naparstnicami, gwiazdnicami, trybulkami i firletkami.

— Możliwe — mruknęła.

Alex zatrzymał samochód na parkingu przy Old Harbour, wysiadł i obszedł samochód, by otworzyć drzwi od strony Tally. Podał jej rękę i pomógł wysiąść. Stali przez chwilę naprzeciw siebie. Alex przesunął gogle na czubek głowy, a Tally uśmiechnęła się i powiedziała:

— Lepiej zamknij samochód. Nie chcesz chyba, żeby ktoś go buchnął?

— Nie.

Chwila minęła bezpowrotnie. Alex podszedł do auta, naciągnął dach, a potem zamknął drzwi.

— Do takiego samochodu najłatwiej się włamać — stwierdziła Tally.

— Słucham?

— Do sportowego. Czytałam gdzieś o tym. Włamywacz potrzebuje tylko trzech sekund, żeby dostać się do środka.

Alex spojrział na nią zaintrygowany.

— Tak?

— Pomyślałam tylko, że chciałbyś o tym wiedzieć.

— Dzięki.

Wyciągnął rękę, a ona ujęła ją i zaczęli iść ścieżką prowadzącą od portu do ujścia rzeki. Tally była dziwną dziewczyną. Próbował zrobić na niej wrażenie, ale za każdym razem wydawało mu się, że ponosi klęskę. Inne dziewczyny byłyby zachwycone jego stylem życia i wdzięczne, że mogą w nim uczestniczyć, ale nie Tally Drummond. Nie było jednak innej dziewczyny, z którą wolałby teraz przebywać. Ona stanowiła... wyzwanie.

Był przepiękny czerwcowy poranek; słońce grzało łagodnie, a powietrze było spokojne, bo ucichła nawet poranna bryza. Z krętej ścieżki — zaschniętego i rozdeptanego błota obrzeżonego gęstymi kępami trawy — widzieli łodzie wpływające do kanału. Ominęli mały zagajnik w ciemnozielonej letniej szacie. Z gęstwiny jeżyn zerwał się kos i podniósł alarm. Usiedli na zniszczonej ławce, by popatrzeć na krajobraz. Alex objął Tally ramieniem i oparł się wygodnie.

Tally odezwała się pierwsza:

— Wolisz być w Londynie niż tutaj?

— Och, lubię spędzać tu weekendy, ale brakuje mi ruchu i towarzystwa. Tutaj naprawdę nie ma fajnych ludzi. No, może z wyjątkiem jednej czy dwóch osób.

Zdawało się, że Tally go nie słucha. Nie dlatego, że nie była zainteresowana tym, co mówi, lecz zaabsorbował ją widok, który miała przed sobą. Słońce połyskiwało w falującej wodzie, a z oddali dochodziły nawoływania załóg jachtów, które podnosiły żagle i odbijały od brzegu. Mewy i ostrygojady przeszywały powietrze swoimi wrzaskami, a Tally zastanawiała się, jak ktoś może woleć gwar miasta.

Alex wiedział, że nic nie wskóra, ale bardzo się starał.

— Może dlatego, że się tutaj urodziłaś.

Tally poczuła się zakłopotana powodu swojej nieuprzejmości.

— Chyba tak. Po prostu kocham te dźwięki i zapachy — odparła i spojrzała na niego. — Od jak dawna tutaj przyjeżdżasz? — zapytała.

— Od kilku lat, od kiedy moi rodzice kupili tu dom. Tata pracuje przez cały boży dzień. Mieszkamy w Holland Park, ale on chciał znaleźć jakieś miejsce, w którym mógłby odetchnąć podczas weekendów. Taką dziurę, do której mógłby uciec. I dlatego kupił tę posiadłość.

— Pewnie dobrze mu się powodzi.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie widuję go zbyt często z wyjątkiem weekendów.

Szturchał nogą gładkie kamyczki, szukając takich, które nadawałyby się do puszczania kaczek.

— A co robi twój tata?

— Prowadzi restaurację. Widuję go codziennie.

— Masz szczęście.

— Tak — przyznała.

— Pewnie znasz go lepiej niż ja swojego.

— Nigdy tak naprawdę o tym nie myślałam. On po prostu jest.

— Dogadujecie się?

Tally milczała przez chwilę.

— Tak, chyba się dogadujemy — odparła w końcu. — Jest wkurzający i czasami trochę niejasno się wyraża, jakby był zupełnie gdzie indziej, chociaż zawsze jest z nami... jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— A możesz z nim porozmawiać? — zapytał Alex, patrząc na wodę.

Tally pokiwała głową.

— Zawsze. Czasami nie chcę, ale wiem, że mogę to zrobić, jeśli będę chciała. On jest po prostu... no, tatą. A u ciebie?

— Och, no wiesz.

— Nie, nie wiem.

Alex zawahał się. Nie chciał być nielojalny wobec ojca.

— Nie widzimy się zbyt często, bo ja chodzę do szkoły, a tata pracuje w City.

— Kupił ci samochód?

— Tak.

— Ubezpieczenie musi być ogromne. Jej praktyczne podejście zdziwiło Alexa.

— Przypuszczam, że tak.

— Ale tak naprawdę nie znasz swojego ojca? Wzruszył ramionami.

— Czasami wydaje mi się, że chciałby częściej ze mną rozmawiać, ale to trochę trudne, bo przez większość czasu się rozmijamy. Widujemy się właściwie tylko podczas wakacji. Co roku w sierpniu jeździmy do Salcombe, czasem wcześniej spędzamy tam jakiś weekend. Mamy domek nad wodą, a tata lubi żeglować.

— A ty?

— Tak, ja też. Dopóki tata nie zaczyna krzyczeć. — Alex uśmiechnął się. — Mama już z nim nie żegluje. On trochę za bardzo się tym podnieca.

Tally uśmiechnęła się współczująco.

— Ja nie pamiętam, żeby mój tata na mnie krzyczał. Jest bardzo spokojny. — Wstała i podeszła do brzegu, a potem odwróciła się i spojrzała na Alexa. — A ty? Co zamierzasz zrobić ze swoim życiem?

— To zależy od moich stopni. Jeśli będą dobre, pójdę na uniwersytet w Edynburgu.

— I co tam będziesz robić?

— Studiować ekonomię.

— O kurczę!

Alex podniósł kamień i puścił kaczkę po zmarszczonej powierzchni wody.

— A ty?

— Och, też chcę studiować, tak jak wszyscy. Biologia morska. Ale zrobiłam dopiero ogólny certyfikat, więc jestem dwa lata za tobą.

— To doskonała różnica wieku... — stwierdził Alex i dostrzegł pojawiający się na jej twarzy rumieniec.

Taify również podniosła kamyk i wrzuciła go do kryształowo czystej wody.

Spoglądała na odbicie Alexa w połyskującej wodzie, obserwowała, jak jego ramiona zginają się i naprężają, gdy wrzuca kolejne kamienie. Podeszła bliżej do brzegu i usiadła na porośniętej trawą krawędzi ścieżki. Podciągnęła kolana pod brodę, pogładziła rękami miękkie drelich spodni i nadal patrzyła, jak Alex rzuca kamienie. Emma miała rację, on naprawdę jest odpowiedni, pomyślała. Nie był zepsutym dzieciakiem, jak zakładała. Szczerze mówiąc, umówiła się z nim tylko dlatego, że gdy poznali się w herbaciarni, poprosił o spotkanie ją, a nie Emmę. Był wysoki — dobre sześć stóp, z krótkimi jasnymi włosami zakręconymi z przodu w zalotny loczek, jaki mieli teraz chyba wszyscy chłopcy. Nosił eleganckie buty, dzinsy opinające zgrabne pośladki i wypuszczoną na wierzch luźną blad różową koszulę. Miał kwadratową szczękę, jasnoniebieskie oczy, nachmurzoną minę i ładne dłonie. Natychmiast to wszystko zauważyła. Było jednak oczywiste, że rodzice mu pobłazają. Jej też pobłazali, ale w inny sposób.

Alex odwrócił się i podszedł do miejsca, w którym siedziała. Uśmiechnęła się do niego niemal przepraszająco. Usiadł obok i pochylił się, a ona zwróciła ku niemu twarz w tak naturalny sposób, że aż ją to zdziwiło. Zamknęła oczy, kiedy jego ciepłe usta przywarły do jej warg. Były bardziej miękkie, niż sobie wyobrażała. I pachniał mydłem. To był naprawdę miły pocałunek.

Odsunęła się od niego i znowu popatrzyła na wodę. Poczwała dziwny niepokój, którego do tej pory nie знаła.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, a potem Alex zapytał:

— Chodzisz z kimś?

— Właściwie nie.

— Czy możemy się jeszcze spotkać?

— Jeśli chcesz... — odparła i uśmiechnęła się nieśmiało. Wstali i ruszyli dalej ścieżką. Alex obejmował ją ramieniem, a ona trzymała ręce w kieszeniach.

— Mamy problem. — Tom stał w drzwiach kuchni, pobrzękiwał kluczykami od samochodu i wyglądał na lekko zirytowanego.

— Jakiego rodzaju? — Pippa spojrzała na niego znad koszyka, do którego wkładała właśnie kanapki, frytki, butelkę wina i dwa kieliszki.

— Dokąd chcesz jechać na ten piknik?

— Wszystko jedno, a dlaczego pytasz?

— A co powiesz na tył stodoły?

— No cóż, myślałam, że moglibyśmy pojechać gdzieś dalej. Na wybrzeże? A może na wzgórze?

— To byłoby trudne.

— Dlaczego?

— Bo do Maisie przywieźli nawóz.

— A co my mamy z tym wspólnego? — zapytała zdziwiona Pippa.

— Wyładowali go na środku drogi. Wiem, że land-rover ma napęd na cztery koła, ale naprawdę nie uśmiecha mi się jazda przez górę gnoju.

Pippa uśmiechnęła się.

— Więc pozostaje nam tył stodoły.

— Co za cholerstwo! — Tom powiesił kluczyki na haczyku. — Nie wiem, czy możemy wyjechać na dwutygodniowe wakacje. Wygląda na to, że nie możemy ruszyć się stąd nawet na pół dnia.

Pippa obejrzała się, żeby zobaczyć, co się dzieje za drzwiami.

— Nie mam pojęcia, dlaczego Maisie uważa, że do uprawy ziół będzie jej potrzebna aż taka ilość nawozu. Wyrosną na sześć stóp i w ogóle nie będą miały smaku. Czy ona ma zamiar to stąd zabrać?

— Och, wzięła pana Polinga, by wywiózł nawóz taczka, ale to mu zajmie kilka godzin i zmarnujemy najlepszą część dnia.

— Czy nie trzeba panu Polingowi pomóc?

— Nawet nie chce o tym słyszeć. Mówi, że nie zamierza psuć nam niedzieli. Nie czułem się na siłach, by mu powiedzieć, że już to zrobił.

— A co z Maisie?

— Jeszcze nie wstała. Najwyraźniej myśli, że jest środek nocy.

— Wobec tego chodźmy.

— Dokąd?

— Wygląda na to, że czeka nas mała przechadzka. Wyśitek dobrze nam zrobi. Kto wejdzie na Brindle Hill ostatni, jest starą babą.

Tom uniósł brwi.

— Na Brindle Hill? Z tym całym bagażem? Dobrze się czujesz?

— Nigdy nie czułam się lepiej. Przypuszczam, że jesteś trochę zmęczony po tych porannych wyczynach. — Pippa uśmiechnęła się. — Facet w twoim wieku... no i w ogóle.

Tom wziął ze stołu koszyk z jedzeniem, wyprężył się, napiął mięśnie i powiedział niskim głosem:

— Zrobię to jeszcze raz, gdy zaprowadzę cię na tę górę, szanowna pani.

— Co się z tobą dzisiaj dzieje? Pewnie coś w powietrzu tak na ciebie działa.

— Nie, to nie to.

— A co?

Tom uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Jadę na wakacje.

Przemykali właśnie obok sterty z nawozem, schylając głowy poniżej poziomu rozrośniętego żywopłotu z głogu, gdy z okna sypialni zagrzmiął donośny głos Maisie:

— Zaraz będę na dole, panie Poling. Chyba zasnęłam. Wie pan, te okropne sny...

Zachichotali niczym uczniowie na wagarach i poszli dalej. Przeszli na prawą stronę jezdni, a potem zaczęli wspinać się na Brindle Hill, mijając łąki, na których pasły się owce.

Wkrótce stodoła Wildinga była nie większa od pudełka zapalek, a niebo nad nimi stawało się coraz potężniejsze. Było jasnoniebieskie, obramowane chmurami zabarwionymi na bladożółty kolor. Tom wspinał się szybko po trawiastym zboczu, wciągając w płuca czyste orzeźwiające powietrze, i w regularnych odstępach czasu zmieniał rękę, w której niósł koszyk z jedzeniem. Pippa usiłowała dotrzymać mu kroku, w końcu jednak zatrzymała się, by złapać oddech, i chwyciła się za bok.

— Już w porządku, poddaję się. Może jesteś stary, ale w dobrej formie.

Tom odwrócił się i spojrzał na żonę.

— Dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową. Nie mogła złapać tchu, a jej policzki płonęły czerwienią.

Gdy na nią patrzył, jego serce przepelniała miłość: kochał jej włosy związane w koński ogon, opalone nogi w ciemnoniebieskich szortach i zarys ciała pod luźną różowo-zieloną sportową koszulką. Postawił koszyk na trawie i podszedł bliżej, żeby jej pomóc. Objął ją ramionami, a ona — z trudem chwytając powietrze — położyła głowę na jego piersiach.

— Jesteś pewna? Roześmiała się mimo zadyszki.

— To tylko kolka.

Po chwili klepnęła go i lekko pchnęła do przodu.

— Już blisko.

— Nie. Zatrzymajmy się tutaj. Nie musimy iść dalej.

Usiedli na trawie i napawali się widokiem. Za nimi roztaczał się wielki amfiteatr łagodnie pofałdowanych wzgórz, na których pasły się owce; ich płaczące beczenie rozcho-

dziło się falami w ciepłym powietrzu, a potem zamierało. Pod nimi płynęła rzeka Axe. Wiła się przed nimi od portu, w którym cumowała flotylla łodzi, aż do rozszerzającego się zamulonego ujścia i dalej, do połyskującego srebrem morza. Małe białe trójkąty żagli trzepotały na wietrze i sunęły po wodzie niczym łyżwiarze po zamrożonym stawie. Wokół nich falowały jaskry kołysane lekką bryzą, a z góry dochodził śpiew skowronków.

Pippa ściągnęła wstążkę z włosów i odrzuciła głowę do tyłu. Potem położyła się z westchnieniem na trawie.

— Och, to dopiero jest życie...

Tom patrzył, jak przymyka oczy, przyglądał się rumieńcom na jej twarzy i ciemnym włosom połyskującym na tle jasnozielonej darni. Zerwał jaskier z długą łodyżką i połaskotał nim jej brodę i policzek. Uśmiechnęła się i zamruczała:

— Co robisz?

— Sprawdzam tylko, czy lubisz pochlebstwa.

— Jesteś paskudny.

— Przypuszczam, że wszystko, co miłe, jest dla ciebie paskudne.

Otworzyła jedno oko.

— Nie wszystko.

Odrzucił kwiat, uniósł rękę do jej czoła, pogłaskał je delikatnie, a potem zanurzył palce w jej włosach.

— Przepraszam, ostatnio byłem trochę nieprzyjemny. Znowu przymknęła oczy, a on wsunął dłoń pod jej koszulę

i głaskał nagie ciało. Czuł delikatny zarys żeber i miękkość piersi. Westchnęła i oddała pocałunek, który złożył na jej ustach.

Położył się obok na trawie, z twarzą tuż przy jej twarzy, i słuchał, jak oddycha — teraz już bardziej miarowo i głęboko. Spojrzał na nią ponownie, a potem zaczął rozpinąć szorty. Otworzyła oczy.

— Tom?

— Mmm...

- Co robisz?
- A jak myślisz?
- Tutaj?

Zamknął jej usta następnym pocałunkiem, tym razem długim i namiętym, a ona odpowiedziała mu takim samym. Wciągnęła w nozdrza zapach rozgniatanej trawy i poczuła, jak ręka Toma wślizguje się w jej szorty. Włożyła ręce pod jego koszulę, zdziwiona własną ochotą do kochania się na szczycie wzgórza. Czowała, że powinna przynajmniej upewnić się, czy są sami, ale w ogóle jej to nie obchodziło. Odpięła pasek jego spodni i poczuła twardość ciała męża przyciśniętego do jej ciała. Jej oddech stawał się coraz szybszy. Tom objął ją ramionami i zacisnął palce na trawie, by nie stoczyć się w dół. Kilka sekund później kochali się na zboczu wzgórza niczym para niecierpliwych nastolatków.

- W porządku?
- Mmm...

Minęło kilka chwil, zanim znowu przerwał ciszę.

- Bardzo cię kocham — powiedział.

Leżeli tak jeszcze przez pół godziny, zanim zabrali się do jedzenia. Potem Tom znowu położył się na trawie, poczuł na twarzy ciepło słońca i oddał się rozmyślaniom o wakacjach, o Pippie, o pracy. I o Tally — o tym, co jego ukochana córeczka robi w tej chwili.

Rozdział 6

Każdy mężczyzna, który mieszka z samymi kobietami, dowiaduje się prędzej czy później, że zawsze wisi w powietrzu jakaś konspiracja. Może być jawna albo podświadoma, ale zawsze jest.

Tally i jej matka przez lata nauczyły się porozumiewać ze sobą niemal bez słów. Wiele razy łączyły swoje siły, by przeprowadzić Toma przez szczególnie trudne terytorium, innym razem — by zablokować jego działania; zdarzały się również momenty, chociaż trzeba przyznać, że raczej rzadko, gdy przypuszczały na niego zmasowany atak. Czasem przypuszczały też szturm na jego portfel, ale zawsze były gotowe stanąć w jego obronie, gdy zagrażał mu jakiś obcy oddział.

Był wtorkowy poranek. Wakacje zaczynały się za cztery dni, egzaminy już się skończyły. Tally miała wolny dzień i nie musiała iść do szkoły, zdecydowała więc, że to odpowiedni dzień, by pójść z matką na zakupy. Pippa uwielbiała takie wypadki, mimo że córka zawsze namawiała ją, by kupowała ubrania, na które była za stara. Kiedy przymierzyła bawełnianą spódnicę do kostek, Tally wybrała do niej mikroskopijną bluzeczkę na ramiączkach, bo uważała, że doskonale pasuje do zgrabnej figury matki. Potem kupiły kilka ciuszków nie bardzo pasujących do szczupłej sylwetki Tally, ale ponieważ była to wyprzedaż, wymieniły jeden ze swoich

niefortunnych nabytków na coś sensownego i w końcu wyczerpane, lecz bardzo podekscytowane perspektywą spędzenia dwóch tygodni w Toskanii, wylądowały w ulubionej herbaciarni Tally i zamówiły lunch.

— Myślisz, że mu się spodobają? — zapytała Pippa.

— Oczywiście, że tak. Wyglądasz cudownie.

— Nie jestem przekonana do tej bluzki...

— Jest świetna. Pippa zmarszczyła brwi.

— A nie jestem na nią przypadkiem za stara?

— Och, mammo!

— Cóż, trudno...

— Nie jesteś taka stara... Tata jest, ale ty nie.

— Nie bądź złośliwa!

— Wszystko z nim w porządku?

— Tak. A dlaczego pytasz?

— Och, nie wiem. Wydaje mi się po prostu, że ciągle jest taki zajęty.

— Ma mnóstwo na głowie. Odejdźcie Sama i całą resztę.

— I nic więcej?

— Nie sądzę. — Pippa zamilkła na moment. — Ostatnio jest po prostu trochę bardziej milczący. Myślę, że czuje się trochę zaniepokojony.

— To ma prawdopodobnie związek z jego wiekiem. Pippa zamierzała zaprotestować, ale Tally dodała szybko:

— Nie, nie chodzi mi o to... cóż... nie chcę być niegrzeczna... Przypuszczam, że tata tak naprawdę nigdy nie robił tego, o czym marzył. Mam rację?

Pippa westchnęła.

— Częściowo.

— Dlaczego?

— Z naszego powodu.

— Co masz na myśli?

— Uważam, że byłby bardziej odważny, gdyby nie musiał się troszczyć o nas.

— Ale przecież my same potrafimy się o siebie zatroszczyć.

Pippa uśmiechnęła się.

— Wiem, ale twój tata widzi to inaczej.

— Szkoda.

— Nieprawda. Myślę, że lubi swoje życie, nie uważa jednak, że dużo osiągnął.

— A co ty o tym myślisz, mamo?

— Według mnie osiągnął bardzo wiele, ale prawdopodobnie czuje, że nie wykorzystał całego swojego potencjału. Myślę również, że jest bardzo dobrym człowiekiem.

Tally usiadła wygodniej na krześle.

— Pięknie to powiedziałaś.

— Zbyt sentymentalnie — mruknęła Pippa. Rozmowę przerwała im kelnerka o bezbarwnym, ponurym głosie:

— Dwie kawy, jeden wędzony łosoś, bułka z serem śmietankowym i tost z pomidorami?

Kiedy poznała Tally, kiwnęła głową na powitanie, a potem wetknęła rachunek pod talerzyk. Tally zamieszała kawę.

— Czy mogę cię o coś zapytać?

Pippa spojrzała na nią znad swojej bułki.

— Chodzi o ciebie i tatę. Nadal się kochacie?

— To bardzo osobiste pytanie.

— Przepraszam...

— Dlaczego pytasz?

— Ponieważ Emma mówi, że jej rodzice są ze sobą tylko ze względu na nią i jej brata.

— O Boże...

— Myślisz, że to słuszne?

— Nie wiem. Myślę, że to smutne.

— Masz rację.

— Pewnie robią to, ponieważ uważają, że tak trzeba.

— A ty i tata zostalibyście razem ze względu na mnie?

— Co to za pytanie?

— Zostalibyście?

Pippa zastanawiała się przez chwilę.

— Myślę, że tak, ale nie dlatego jesteśmy razem.

— Och, to wspaniale: — Tally rozpromieniła się i ugryzła kawałek kanapki, a potem wymamrotała z pełnymi ustami: — Mam nadzieję, że będzie padać.

— Co? — zdziwiła się Pippa.

— No tak. Nie ma sensu wyjeżdżać gdzieś, gdzie jest gorąco, jeśli tutaj też jest gorąco. To bez sensu.

Pippa uśmiechnęła się.

— Nie martw się. Zapowiadają burze. Słyszałam w porannych wiadomościach.

W tym momencie otworzyły się drzwi herbaciarni i stanęła w nich Rachel Jago z dwiema przyjaciółkami. Wpadła do środka, wskazała na stół, przy którym dwie starszuszki ledwie zdążyły opróżnić filiżanki, i przywołała kelnerkę, by sprzątnęła naczynia. Kiedy oszołomione kobiety wyszły, Rachel ulokowała przy zwolnionym stoliku swoje towarzystwo, robiąc przy tym mnóstwo hałasu ku niezadowoleniu innych klientów, którzy zamierzali spokojnie zjeść lunch.

Po chwili zauważyła Pippę i Tally. Wstała od stołu, przeprosiła swoje elegancko ubrane znajome i podeszła do ich stolika.

— Pippa! Tally! Jak miło was widzieć! — Pocałowała powietrze na wysokości ich policzków i trajkotała dalej: — Pewnie szykujecie się do wyjazdu? Wspaniale! Mam nadzieję, że sobie poradzimy. Chłopcy wybierają dzisiaj nowego kucharza czy kogoś w tym rodzaju, i sądzę, że Sally zapanuje nad resztą spraw. Zazwyczaj jej się to udaje.

Tally poszukała pod stołem ręki matki i ścisnęła ją. Na policzkach Pippy pojawiły się wypieki. Zamierzały coś odpowiedzieć, ale Rachel nie dopuściła ich do głosu.

— Widzę, że byliście na zakupach. W Axbury? Boże! Mam nadzieję, że coś sensownego znalazłyście. Według

mnie kupowanie tutaj jest wprost niemożliwe. Ale Peter jest taki słodki i pozwala mi raz w miesiącu jeździć do Londynu. Chwała mu za to! Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym musiała zaopatrywać się tutaj w ubrania. Przypuszczam jednak, że zakupy wakacyjne to zupełnie coś innego. Przecież nie ma znaczenia, kto widzi cię w wakacyjnym stroju, prawda? No, ale muszę już pędzić. Zaprosiłam na kawę dwie przyjaciółki, a potem idziemy zobaczyć... — urwała nagle, jakby zabrakło jej słów, co w jej przypadku było dość dziwne. Przez chwilę wydawało się, że zupełnie nie wie, co powiedzieć, ale zaraz odzyskała równowagę i wróciła do swoich przyjaciółek. Pippa spojrzała szybko na Tally i mruknęła:

— Nic nie mów.

Tally również miała wypieki na policzkach.

— Jak ty to znosisz?

— Myślę o czymś przyjemnym.

— Biedny tata. Jak on sobie z tym radzi?

— Myśli o czymś nieprzyjemnym.

— Ale z niej suka!

— Ciii! Mów ciszej.

Nie musiały się jednak obawiać, że Rachel je usłyszy. Wraz ze swoimi przyjaciółkami śmiała się hałaśliwie, nie pamiętając już, że Pippa i Tally siedzą przy sąsiednim stoliku.

Dawniej Peter Jago i Drummondowie często spotykali się na gruncie towarzyskim. Zanim na scenie pojawiła się Rachel, Peter chętnie wpadał do Wilding's Barn na kolację lub drinka. On i Tom byli dobrymi przyjaciółmi i lubili przebywać w swoim towarzystwie. Gdy Peter związał się z Rachel, jego wizyty stały się sporadyczne. Rachel miała swoich własnych znajomych i czuła się nieswojo w obecności przyjaciół Petera. Zawsze uwielbiała znajdować się w centrum uwagi i marniała w oczach, gdy inne osoby z towarzystwa miały coś do powiedzenia.

Dotyczyło to również Toma i Pippy, którzy po pewnym czasie doszli do wniosku, że lepiej nie stawiać Petera w sytuacjach, w których będzie zmuszony odrzucać ich zaproszenia. Obserwowali z niepokojem, jak zmienia się równowaga sił: Peter — zawsze impulsywny, pełen fantazji, dusza każdego towarzystwa — zaczął usuwać się w cień swojej dominującej żony. Rachel wprawiała go w zakłopotanie, opowiadając obcym ludziom o intymnych szczegółach ich prywatnego życia, więc Pippa szybko nauczyła się trzymać od niej z daleka podczas tych nieczęstych okazji, kiedy znajdowały się w jednym pomieszczeniu.

Stosunki między Tomem i Peterem również uległy zmianie i ograniczały się teraz jedynie do służbowych rozmów. Tom ubolewał nad tym, lecz robił wszystko, żeby zbyt wiele się nad tym nie zastanawiać.

Dzisiaj w „Pelicanie” kuchnia pulsowała życiem. Pobrząkiwały patelnie, Ellen miała ręce po łokcie zanurzone w mydlinach, a Peter wyciągnął z kociołka olbrzymiego łososia i właśnie układał kawałki ryby na talerzach.

— Stolik dwadzieścia trzy! — Uderzył dłonią w gorący blat, by przyciągnąć uwagę młodej kelnerki. — Szybko! Szybko! Dwadzieścia trzy!

Rumiana dziewczyna położyła talerze na tacy, zaczęła kluczyć pomiędzy piecami i wyszła przez wahadłowe drzwi do sali jadalnej.

— Do cholery z tym wszystkim! — zrzędził Peter. — Na co te wszystkie świeże składniki, jeśli jedzenie stoi tu przez pół tygodnia i zdąży się zestarzeć, zanim je zjedzą?

Sam pracował w pocie czoła nad czterema porcjami małży. Stał z pochyloną głową i polewał je jakimś sosem. Potem przełożył małże na gorącą płytę.

— Siedem — powiedział cicho, podając numer stolika. Peter popatrzył na niego z ukosa.

— Musisz mówić głośniej, jeśli chcesz, żeby kelnerka cię słyszała.

W tym momencie pojawiła się Sally i zabrała talerze z małżami.

— Siedem? — upewniła się. Sam kiwnął głową.

— Wszystko w porządku, szefie? — zapytała.

Był to zwyczajny dzień w kuchni „Pelicana”. Tymczasem na froncie Tom w czystej koszuli i krawacie witał gości. Sadzał ich przy stołach, zbierał zamówienia, proponował odpowiednie wina, gdy ktoś go o to poprosił, i sprzątał naczynia. Robił to z taką zręcznością, że talerze znikwały jak namagnesowane, i miał jeszcze czas, by pogawędzić ze stałymi bywalcami i nowymi klientami. Ale według niego nie była to odpowiednia praca dla mężczyzny. Najważniejszy był Peter, bo przygotowywał jedzenie. Restauracja zyskiwała lub traciła w oczach gości tylko ze względu na jego umiejętności kulinarne. Natomiast praca Toma była jedynie sztuką bycia uprzejmym i przyjacielskim, lecz starał się nie przekraczać granicy zbytnej poufałości.

Prawdę mówiąc, sukces „Pelicana” był w równej mierze zasługą starań Toma, jak i osiągnięć kulinarnych Petera. I właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, sprawiało, że Tom się nie poddawał.

Był zaskoczony, że po tych wszystkich latach polubił towarzystwo innych ludzi. Zupełnie się tego nie spodziewał. Samotność farmera czy pisarza nadal bardziej do niego przemawiała, teraz jednak naprawdę doceniał wartość swojej pracy w restauracji. Przekonywał sam siebie, że to wszystko jest po prostu częścią układanki, jaką stanowiło życie. Niektórym ludziom pisane było zostać przywódcami, lekarzami, pielęgniarzami, nauczycielami czy pilotami, a jemu przypadła praca w dziale przyjemności życia. Bo przecież jedzenie na mieście było przyjemnością, a on spełniał w tym ważną rolę, ponieważ pomagał ludziom prowadzić weselsze życie. Czasami prawie w to wierzył.

Ten lunch był podobny do wszystkich innych lunchów.

Wciąż przybywali jacyś niespodziewani goście, którzy przysięgali, że zamawiali stolik, a na miejsca zarezerwowane dla czterech osób zjawiało się sześć. Przychodziły zakochane pary i biznesmeni, którzy za głośno mówili i za dużo pili. Jak zwykle doszło do jednego czy dwóch spięć, kiedy zamiast zamówionego steku na stole pojawił się łosoś. Zbiły się dwie szklanki, ktoś zostawił torebkę, a ktoś inny zaplamił obrus czerwonym winem. Gdy wyszedł ostatni biesiadnik, a na drzwi opadła zasłona, Toma ogarnęło to samo CO ZAWSZE uczucie cichej, lecz obojętnej satysfakcji.

Zostawił Sally i dwie pozostałe młode kelnerki, by posprzątały, i poszedł do kuchni. Po drodze rozluźnił krawat i podwinął rękawy.

Peter mył właśnie ręce.

— W porządku, stary? — zapytał.

Towarzyszące zawsze porze lunchu napięcie opadło i teraz temperatura czoła Petera stygła do spółki z kuchennym skwarem.

— Jasne — odparł Tom. — Jest jedna torebka, której nie było, gdy otwieraliśmy, ale Sally sprawdziła jej zawartość i już to załatwiła. A my za chwilę będziemy mieli gości.

Peter wytarł ręce i rozpiął fartuch.

— Kiedy zjawi się ta nasza wielka nadzieja? Tom spojrzał na zegarek.

— O czwartej.

— Mamy więc niecałą godzinę, żeby coś wspólnie ustalić. Tom wzruszył ramionami.

— To już twoja działka. On będzie podlegał tobie. Peter zwrócił się do Ellen, która wycierała suszarkę do naczyń.

— Czy jest jakaś szansa na herbatę?

— Czajnik jest włączony — odparła, nie podnosząc wzroku. — Jak każdego dnia — dodała po chwili.

— Wobec tego wynośmy się z tego piekła.

Wyszli z kuchni i usiedli przy świeżo wytartym narożnym

stoliku na tyłach restauracji. Gdy dziewczyny sprzątały resztki po lunchu, przeczytali list od jedyne go kandydata, który odpowiedział na ich ogłoszenie w „Axbury Gazette”.

Nie zajęło im to zbyt wiele czasu. List był krótki i napisano go na tanim papierze listowym.

Szanowny Panie,

piszę w odpowiedzi na ogłoszenie w „Axbury Gazette ”. Mam kilkuletnie doświadczenie w pracy w restauracjach i pragnę ubiegać się o stanowisko kucharza. Załączam swoje CV i czekam na odpowiedź.

Z poważaniem K. Lundy

— Keith czy Kevin? — zapytał Peter, szukając w liście jakichś wskazówek.

— Nie wiadomo. Może Karen.

— Więc chyba powinna to napisać.

— Nie, jeśli sądzi, że nie będzie miała szansy na pracę z powodu nieodpowiedniej płci.

— Przecież dyskryminacja kobiet jest wbrew prawu.

— Może i jest, ale nadal funkcjonuje.

— Nawet w kuchni? — zapytał Peter, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

— Zwłaszcza w kuchni.

— A gdzie jest to CV? Tu jest napisane „Załączam swoje CV”... — Peter zajrzał jeszcze raz do środka koperty.

— Pewnie zapomniała włożyć.

— Żałosne.

— Och, daj spokój. Wszyscy popełniamy błędy. Peter potrząsnął głową.

— Zawsze widzisz w każdym to, co najlepsze...

— Dopóki nie poznam najgorszego.
Ellen chrząknęła głośno i postawiła przed nimi dwie filiżanki herbaty.
— Dzięki — powiedzieli zgodnym chórem.
— Cukier? — zapytała. Pokiwali twierdząco głowami.
Ellen popatrzyła na filiżanki i wsypała do nich cukier.
— Zamieszajcie sobie sami — oświadczyła i wróciła do kuchni.

Rozdział 7

Po jednym fałszywym alarmie, gdy okazało się, że to tylko roztargniona klientka przyszła odzyskać swoją torebkę, Tom i Peter zaczęli się denerwować. Spotkania z kandydatami na kelnerów lub kelnerki, które odbywali w przeszłości, nie sprawiały im żadnych trudności, ale kucharz to zupełnie inna sprawa. Peter obgryzał paznokcie, a Tom bębnił palcami po stole. Czwarta piętnaście. Nadal żadnego znaku życia od K. Lundy. O czwartej dwadzieścia rozległo się pukanie do drzwi, na które tak czekali. Byli sami w restauracji — pracownicy mieli przerwę między lunchem a obiadem. Tom spojrzał na Petera i poszedł otworzyć drzwi.

Stała przed nim drobna kobieta z krótkimi jasnymi włosami w wieku około trzydziestu pięciu, czterdziestu lat. Jej jasne zielone oczy błyszczały, a w ręce ścisnęła kurczowo pasek płóciennej torby, która wisiała na jej ramieniu.

— Pan Jago? — zapytała drżącym od tłumionych emocji głosem.

— Drummond — przedstawił się Tom. Wyciągnęła rękę na przywitanie. Jej uścisk był mocny, ale spojrzenie bardzo niepewne.

— Kate Lundy. Przepraszam za spóźnienie. To chyba niezbyt dobry początek. Przyszłam w sprawie pracy — powiedziała, próbując się uśmiechnąć.

Tom zaprosił ją skinieniem głowy do środka. Był ciekaw, dlaczego jest taka zdenerwowana, ale nie miał odwagi o to zapytać.

— Proszę wejść. Kawy? Herbaty?

— Poproszę o wodę. Z kranu.

Tom wskazał na stolik, przy którym Peter już odsuwał krzesło.

— Dobrze się pani czuje? — zapytał z niepokojem.

— Tak. Przepraszam. Po prostu nienawidzę się spóźniać. — Zsunęła torbę z ramienia, przywitała się z Peterem i usiadła.

Tom napełnił szklanekę wodą z kranu, który znajdował się na tyłach baru.

— To naprawdę nie ma znaczenia. Tylko piętnaście minut, żaden problem. I tak nie mieliśmy nic do roboty.

Kobieta uśmiechnęła się z wdzięcznością i napiła się wody. Peter spojrzał na swojego współnika i uniósł brwi. Tom próbował przełamać pierwsze lody.

— Nie byliśmy pewni, czy będzie pani Kevinem czy Keithem — powiedział.

— Przepraszam... — Kate Lundy odstawiła szklanekę. — Niektórzy szefowie kuchni nie zaproszą cię nawet na rozmowę, jeśli jesteś kobietą.

Peter popatrzył na nią uważnie.

— Miała pani dużo takich rozmów w sprawie pracy?

— Ostatnio nie, ale w przeszłości miałam z tym problemy.

— Dlaczego? Jak pani sądzi? Kate wzruszyła ramionami.

— Niektórzy szefowie kuchni wolą obrzucać wyzwiskami mężczyznę niż kobietę — odparła.

Peter rozsiadł się wygodnie na krześle.

— A pani nie ma nic przeciwko temu?

— Przyzwyczaiałam się.

Tom wtrącił się do rozmowy, próbując skierować ją na mniej drażliwy temat:

— Jakie ma pani doświadczenia? Nie załączyła pani CV. Spuściła głowę i popatrzyła na swoje ręce.

— Boże! Tak mi przykro. Byłam pewna, że włożyłam je do koperty.

— Każdemu zdarza się zapomnieć — mruknął uspokajająco Tom.

Kate sięgnęła do swojej płóciennej torby i zaczęła przetrząsać jej zawartość.

— Jedna restauracja rybna...

— Dorsz z frytkami? — zapytał uszczypliwie Peter.

— Ryby morskie.

Peter usiłował zachować obojętną minę, a Tom z trudem powstrzymał uśmiech.

— Proszę bardzo. — Kate podała Peterowi złożony arkusz papieru i mówiła dalej: — Przez dwanaście miesięcy pracowałam w restauracji Briana Turnera w Kensington...

Peter przejrzał życiorys.

— To było pięć lat temu.

— A potem sześć miesięcy u Claridge'a. Peter nadal usiłował utrzymać przewagę.

— Niezbyt długo — stwierdził.

— Na tyle długo, by dowiedzieć się, że wolę mniejsze restauracje, w których praca jest o wiele bardziej satysfakcjonująca.

Peter chrząknął.

— Odnoszę wrażenie, że nie pracowała pani przez kilka ostatnich lat.

— Zgadza się.

Popatrzyli na nią, oczekując wyjaśnienia.

— Problemy rodzinne — powiedziała. Peter skrzyżował nogi i rozparł się na krześle.

— Jakiego rodzaju?

— Czy mogłaby pani pracować sześć dni w tygodniu? — wtrącił Tom.

— Wydajemy około stu porcji w porze lunchu i tyle samo obiadów.

— To żaden problem.

Peter wbił wzrok w podłogę i założył ręce.

— Właśnie tracę faceta, z którym pracowałem przez ostatnie trzy lata i który znał wszystkie moje zabawne przyzwyczajenia...

— Zrobię wszystko, żeby je sobie przyswoić.

Peter utkwił spojrzenie w Kate, a Tom przygryzł wargę, próbując się nie uśmiechnąć.

— Jeszcze nie proponujemy pani pracy — mruknął Peter. — A to, co usłyszałem do tej pory, nie jest zbyt zachęcające.

— Peter... — zaczął Tom, czując, że zanosi się na jakąś nieprzyjemną sytuację, ale Kate przerwała mu w pół słowa:

— Nie. Ma pan rację. Spóźniłam się, wyglądam koszmarnie, zapomniałam życiorysu i próbuję zrobić na was wrażenie kilkoma nazwami znanych restauracji. Poza tym nie mam referencji i przyznaję, że od kilku lat nie pracuję. Dlaczego mielibyście mnie przyjąć?

— Właśnie...

— Powiem wam dlaczego. Dlatego, że jestem cholernie dobra. — Kate podniosła głos, co wprawiło obu mężczyzn w osłupienie. — Sprawdzam się w stresujących sytuacjach i mimo że pewnie nie sprawiłam dobrego wrażenia, jestem godna zaufania i można na mnie polegać. Potrafię być głucha na wyzwiska i szybko się uczę, zwłaszcza jeśli chodzi o zabawne przyzwyczajenia szefa.

Peter otworzył usta ze zdziwienia.

— Jeśli szukacie jakiejś twórczej primadonny, to nie jestem dla was. Jeśli chcecie kogoś, na kim można jeździć jak na łysej kobyle, to też nie ja. Ale jeśli szukacie solidnego kucharza, który zna swój fach i potrafi zachować spokój w stresujących sytuacjach, to macie przed sobą odpowiednią osobę. Nie będę gotować z kiepskich składników i nie mogę obiecać, że nie będę pyskować, gdy ktoś na mnie nakrzyczy, ale na pewno was nie zawiodę.

Dwaj mężczyźni siedzieli w całkowitym milczeniu.

Kate podniosła torbę z podłogi.

— Przepraszam. Prawdopodobnie spotkaliście się już z wieloma osobami, a ja się spóźniłam, więc nie macie więcej czasu. Mój adres jest na kopercie. — Wstała, a oni poszli w jej ślady. — Wyciągnęła rękę na pożegnanie i uśmiechnęła się niepewnie. — Zadzwońcie do mnie i poinformujcie o swojej decyzji. Nie będę czekać z zapartym tchem — dodała z rezygnacją, lecz i odrobiną humoru.

Kiedy wyszła, Tom i Peter stali w milczeniu, patrząc na kołyszącą się na drzwiach tabliczkę z napisem „Zamknięte”.

— Bylibyśmy szaleni, gdybyśmy ją przyjęli — stwierdził Peter, otwierając butelkę z piwem.

— Dlaczego?

— Ponieważ bez względu na to, co mówi, jest kompletnie nieodpowiedzialna.

— Skąd wiesz?

Peter pociągnął łyk z oszronionej butelki, a potem odstawił ją na ladę.

— Wystarczy na nią spojrzeć. Jeśli potrafi doprowadzić się do takiego stanu z powodu fatalnej podróży i spóźnia się piętnaście minut, to co u diabła z nią będzie, gdy znajdzie się w kuchni? Płacz co pięć minut.

— Nie wiesz tego.

— Och, daj spokój, Tom. Mieliśmy już w przeszłości kilku takich kucharzy jak ona. Wiesz, jakim potrafię być parszywcem, gdy pracuję. Jak ona sobie z tym poradzi?

— Myślę, że całkiem dobrze.

— Nic sobą nie przedstawia...

— Spotkała cię po raz pierwszy i nie dała się zastraszyć. A ty potraktowałeś ją trochę za ostro.

— Trochę za ostro?

— Tak, ty żalosny palancie. Nie dałeś jej żadnej szansy.

— Nie. Ale sama ją sobie dała.

- No właśnie.
- A co z referencjami? — zapytał Peter.
- Możemy ją o nie poprosić.
- O co ci chodzi?
- Chcesz powiedzieć, że nie będziesz z nią pracował? — zapytał Tom.
- Chcę powiedzieć, że powinniśmy spotkać się z innymi kandydatami, zanim podejmiemy decyzję.
- Nie ma innych. Ona jest jedyną osobą, która się zgłosiła — przypomniał mu Tom.
- A więc weźmiemy ją z braku laku?
- Nie o to chodzi. Uważam, że jest lepsza, niż się wydaje.
- Jak możesz być tego taki pewien? Tom wzruszył ramionami.
- Intuicja. Jest w niej coś, jakaś wewnętrzna siła.
- Chryste! To już chyba freudowska analiza.
- To nie ma nic wspólnego z Freudem. Nie analizuję jej zachowań, po prostu opieram się na przeczuciach.
- To niebezpieczne.
- A jaką mamy alternatywę?
- Cóż, przyjmę ją na twoją odpowiedzialność. Ale za pierwszym razem, kiedy się tam popłacze — Peter wskazał na kuchnię — wylatuje stąd.
- To zależy od ciebie. Myślę jednak, że będziesz mile zaskoczony. Peter opróżnił butelkę i wrzucił ją do skrzynki.
- Czasami zupełnie cię nie rozumiem. Zrobiłeś się taki miękki. Kiedyś byłeś dynamiczny, szedłeś do przodu, a popatrz na siebie teraz.
- Co masz na myśli?
- Gdzie się podziała twoja awanturnicza żyłka?
- To przecież ja uważam, że powinniśmy ją przyjąć, a ty jesteś przesadnie ostrożny.
- Och, nie chodzi mi o nią. Mam na myśli „Pelicana”.

Dlaczego nie chcesz rozwinąć działalności i otworzyć następnej restauracji? Tom spojrział na niego.

— Już próbowaliśmy i wiemy, że nic z tego nie wyjdzie.

— Nie wyszło. Ale teraz jest inna sytuacja, a my tkwimy ciągle w tym samym miejscu.

Tom pomyślał, że powinien przewidzieć taki obrót spraw. Czuł, że Peter coś kombinuje, ale sądził, że ma to jakiś związek ze zbliżającym się odejściem Sama.

— Więc?

— Rachel uważa, że powinniśmy otworzyć jeszcze jedną restaurację.

— Aha — mruknął Tom i pokiwał głową. — Rozumiem.

— Chciałbym jak jasna cholera, żebyś się zgodził.

— A jaki jest plan?

Peter poczuł, że posunął się za daleko, i próbował się wycofać.

— Plan? Nie ma żadnego planu. Myślę po prostu, że powinniśmy jeszcze raz przemyśleć tę sprawę. To wszystko.

Tom nie miał ochoty wdawać się w rozmowę na temat następnej restauracji, który powracał regularnie od kilku lat, a dokładnie od chwili, gdy na scenie pojawiła się Rachel, zmienił więc przedmiot dyskusji.

— No to co, damy szansę pani Lundy?

— Jasne. Dlaczego nie? Pod warunkiem, że przyniesie jakieś referencje. Długo nie wytrzyma, ale nie mamy nic do stracenia.

— Z wyjątkiem twarzy, prawda? — Tom spojrział na Petera, lekko przechylając głowę.

— *Touche*, ty stary draniu. *Touche*.

Tom zadzwonił do Kate Lundy jeszcze tego samego wieczoru, korzystając z telefonu znajdującego się na tyłach

baru. Był bardzo duży ruch, nie chciał jednak przedłużyć niepewności tej kobiety. Pragnął również, żeby się uśmiechnęła. Wykręcił numer. Odpowiedział mu cichy, łagodny głos, zupełnie nie przypominający tego, który słyszał dzisiaj po południu. W tle grała muzyka — Sheryl Crow albo Reba Macintyre.

— Czy mogę rozmawiać z Kate Lundy?

— Przy telefonie.

— Mówi Tom Drummond.

— Och, tak...

— Chcę tylko powiedzieć, że będziemy bardzo szczęśliwi, mając panią w naszej kuchni, o ile nadal chce pani u nas pracować.

Cisza.

— Halo? Nadal cisza.

— Jest tam pani?

— Tak. To dlatego... myślałam... cóż...

— To nie był prawdopodobnie zbyt dobry początek — powiedział Tom przyjacielskim tonem. — Mieliliśmy trochę ciężki dzień i domyślałam się, że pani również.

— Tak.

— Cóż, w każdym razie załatwione. Byłoby jednak dobrze, gdybyśmy dostali jakieś referencje.

— Naturalnie, przygotuję je.

— Czy może pani zacząć w poniedziałek?

— Oczywiście. — W jej głosie pobrzmiwało niedowierzanie.

— A zatem o dziesiątej?

— Świetnie, o dziesiątej. — Kate doszła w końcu do siebie. — Dziękuję, panie Drummond.

— Tom.

— Tak. Dziękuję. A więc zobaczymy się w poniedziałek. W tym momencie Tom przypomniał sobie o Toskanii.

— Obawiam się, że nie. Wyjeżdżam na kilka tygodni na

wakacje. Będziesz musiała sama poradzić sobie z szefem. Jesteś pewna, że podołasz?

— Prawdopodobnie nie obędzie się bez spięć.

— Tego się właśnie obawiam. Ale będzie tam jeszcze Sam, ten facet, którego masz zastąpić, więc będziesz miała wsparcie.

— Dziękuję.

— Powodzenia, zobaczymy się po moim powrocie. Tom odłożył słuchawkę i wrócił do zatłoczonej restauracji.

Najmniej odpowiedni czas na urlop, ale już nic nie był w stanie na to poradzić. A co poza moralnym wsparciem mógłby zaoferować Kate Lundy, gdyby został? To na Peterze musiała przecież zrobić wrażenie. Było to odrobinę ryzykowne przedsięwzięcie, ale w końcu wszystko było kwestią szczęścia, nawet dalsze sukcesy „Pelicana”. W dzisiejszych czasach niczego nie można być pewnym, a już najmniej sukcesu.

Kate Lundy odłożyła słuchawkę i usiadła na sofie, ściskając poduszkę. Zamknęła oczy i szeptem podziękowała temu, kto nad nią czuwał, bez względu na to, kim był. Potem wstała i popatrzyła na dokument, który leżał przed nią na szklanym niskim stoliku. Po chwili złożyła go i dołączyła do teczki z napisem „Bank — Ubezpieczenia — Sprawy osobiste”.

Nalała sobie kieliszek schłodzonego białego wina, a potem podeszła do okna i wyjrzała na ulicę.

— Na zdrowie — mruknęła. — Za nowy początek.

Wino smakowało o wiele bardziej niż kilka minut temu i możliwe, że za kilka dni uspokoją się również motyle, fruujące w jej żołądku. To zupełnie normalne, powtarzała sobie. W końcu nie rozwodzisz się codziennie.

Rozdział 8

Pippa ledwo zauważyła, jak wślizgnął się do łóżka. Wiedział, że z konieczności przyzwyczała się już do jego późnych powrotów z restauracji i nauczyła się witać go niemal podświadomie. Przytulił się do niej, a ona zadrżała lekko od chłodu jego skóry i z powrotem zapadła w głęboki sen. Opowie jej o wszystkim rano, gdy będzie na tyle przytomna, by przyswoić sobie wszystkie niuanse rozmowy z Kate Lundy oraz ponowne zainteresowanie Petera rozszerzeniem działalności.

Zastanawiał się, czy Kate będzie dobrym nabytkiem, czy też okaże się, że Peter miał rację. Pocałował żonę w kark, odwrócił się i zasnął.

Kiedy się obudził, łóżko było jak zwykle puste. On był sową, a ona skowronkiem. Poczłapał ciężko przez pokój, włożył szlafrok, podszedł do okna i podniósł żaluzje. Na zachodzie zbierały się czarne chmury i po chwili ciszę przerwał głuchy łoskot grzmotu. Rośliny w ogrodzie były skąpane w dziwnym, przerażającym świetle. Zdawało się, że niebiesko-zielona kapusta promieniuje jakimś niesamowitym blaskiem. Zobaczył Pippę: klęczała wśród grządek pietruszki, odcinała łądźki i wkładała je do małych foliowych woreczków.

— Chyba musisz się pospieszyć! — zawołał. Podniosła głowę i spojrzała na niego.

— Wiem.

— Kończysz już?

— Muszę jeszcze zerwać miętę i kolendrę.

Za chwilę razem ze swoimi ziołami przemoknie do suchej nitki, pomyślał Tom.

— Schodzę na dół — oświadczył.

— Dzięki — odparła.

Nie chciała, żeby wstawał wcześniej, kiedy tak późno kładł się spać, ale dzisiaj była zadowolona z jego pomocy.

Zszedł na dół ubrany w dżinsy i podkoszulek. Podniosła się i musnęła ustami jego policzek.

— Mój zbawca...

— To brzmi trochę dramatycznie.

— Bo pogoda jest dramatyczna.

Pracował tuż obok niej pomiędzy grządkami ziół i wsypywał do woreczków te, które już zerwała. Wdychał świeży zapach mięty oraz ostry aromat pieprzowej kolendry.

— Masz coś do wysiania?

— Tak, ale to musi poczekać. Najpierw muszę zawieźć te zioła do miasta.

— Chcesz, żebym pojechał z tobą?

— Nie. Zjedz śniadanie. — Uśmiechnęła się i ułożyła woreczki na wielkiej drewnianej tacy. — Najważniejsze, że wygraliśmy z pogodą.

Krople deszczu na liściach rabarbaru obwieściły początek ulewy. Gdy niebo otworzyło się, uciekli i stanęli pod okapem. Deszcz zaczął bębnić głośno o dach. Poczuli zapach mokrej ziemi.

Tom objął żonę ramieniem i głęboko wciągnął powietrze.

— Cudownie pachnie.

— Wspaniale. Można prawie usłyszeć, jak wszystko rośnie.

Odwrócił się, a potem pochylił i pocałował ją. Spojrzała

na niego ze zdziwieniem, ale zarzuciła mu ręce na szyję i oddała pocałunek. Wsunął dłonie pod jej bluzkę, pogłaskał piersi i przyciągnął ją do siebie.

— Muszę jechać — wymruczała.

— Mmm...? — Obsypywał jej usta pocałunkami, a ona uśmiechała się i odwzajemniała je.

— Do sklepów.

— Och, do diabła ze sklepami. — Wsunął rękę pod jej szorty, ale się wywinęła.

— Tom!

— Mmm...?

— Spóźnię się.

Wyjął rękę i zmierzwił jej włosy.

— Nie masz dla mnie czasu?

— Mam dla ciebie mnóstwo czasu, ale nie teraz. Westchnął.

— Zawsze to samo.

— Kłamca.

— Ale warto było spróbować — powiedział i uśmiechnął się.

Wróciła po godzinie, gdy skończyła swoją codzienną rundę. Wyszedł jej na spotkanie, pocałował w czubek głowy i objął ramieniem, a potem pobiegli do stodoły, żeby się schronić przed deszczem. Oparli się starą kamienną ścianę, a krople deszczu uderzały w zioła, uwalniając mieszaninę zapachów: pikantny aromat bazylii, anyżowy zapach kopru i słodką letnią woń rozmarynu.

— Będziemy mogli to wszystko wachać w przyszłym szalonym tygodniu, ale w ciepłe słońca — powiedziała Pippa.

— Tak. — Tom próbował myśleć o dwóch tygodniach wakacji we Włoszech, ale jego umysł ciągle był pochłonięty wydarzeniami poprzedniego dnia. Opowiedział o nich żonie.

— A co o tym sądzi Peter? — zapytała.

— Myślę, że umiera z chęci udowodnienia swojej racji. Jest przekonany, że ta kobieta kompletnie nie nadaje się do tej pracy.

— Głuptas. Cóż, mam nadzieję, że się myli.

— Uważasz, że dobrze zrobiłem, stawiając na nią?

— Tak sądzę.

— Była trochę wytrącona z równowagi.

— Prawdopodobnie była jakaś przyczyna.

— Nie powiedziała nam, o co chodziło. Pippa spojrzała na niego.

— Powinieneś być z tego zadowolony.

— Dlaczego?

— Gdyby zaczęła wyjaśniać, dlaczego jest w takim stanie, pomyślelibyście, że macie do czynienia z żalostną malkontentką.

— Ale my mówimy sobie o swoich problemach.

— Bo jesteśmy małżeństwem. To przychodzi wraz z dobrodziejstwem inwentarza.

— Chyba tak. — Zaśmiał się i zmierzwił jej włosy. — Chcesz zrzucić jeszcze jakiś ciężar z piersi?

— Nie, chciałabym tylko, żebyśmy spędzali ze sobą więcej czasu.

— Już trochę za dużo tego wszystkiego, prawda?

— Ostatnie dni były takie cudowne... i zdałam sobie sprawę... no wiesz... — urwała i Tom zorientował się, że z trudem powstrzymuje łzy.

— Hej! — Objął ją ramionami. — O co chodzi?

— Chyba jestem po prostu trochę zmęczona. Potrzebuję wakacji. Tak samo jak ty. Przepraszam.

Starł wierzchem dłoni łzy z jej policzków, a potem utulił ją w ramionach i zaczął nucić. Uśmiechnęła się, kiedy rozpoznała melodię. Było to *Night and day... you are the one... Only you beneath the moon and under the sun.*

— Już w porządku? — zapytał i wyciągnął z kieszeni

czystą chusteczkę. — Otrzyj łzy i pokaż mi, co kupiłyście na wyjazd. Wytarła głośno nos i popatrzyła na niego z ukosa.

— Co masz na myśli?

— Te zakupy, na których byliście wczoraj w Axbury.

— A skąd...

— Potrafię wywachać torbę na zakupy z odległości pół mili. Mam wprawę, taki kulinarny nawyk.

Zanim dotarli do domu, śmiała się, a po łzach nie było już ani śladu. Przez następne pół godziny przymierzała ciuszki, które wybrała dla niej Tally. Tom uniósł brwi, gdy włożyła kusą bluzeczkę, ale powiedziała, że to pomysł córki, i zapewniła go, że będzie ją nosić tylko w obrębie willi, nigdy publicznie.

Gdy wypili kawę, wiedział już, że wróciła ta Pippa, którą tak dobrze znał: pełna energii i pogody ducha, zirytowana tylko wtedy, kiedy według niej dawał się wykorzystywać lub pozwalał chodzić sobie po głowie. Pomachał na pożegnanie, gdy po raz drugi wyjeżdżała do Axbury swoim starym volvo, z którym za nic w świecie nie chciała się rozstać, i poczuł, że ogarnia go fala czulej miłości do żony.

Kiedyś Pippa zaproponowała, że wróci do gotowania, gdy tylko Tally zacznie chodzić do szkoły, ale Tom wyperswadował jej ten pomysł. Uznali zgodnie, że wspólna praca nie jest dobrym pomysłem, a praca dla konkurencyjnej restauracji byłaby jeszcze gorsza.

Mieli nadzieję, że będą mieli więcej dzieci, ale nic z tego nie wyszło. Badania wykazały, że Pippa nie zajdzie już w ciążę. Byli tym głęboko rozczarowani, wynagrodziło im to jednak wesołe usposobienie Tally i jej nieograniczona zdolność do ciągłego zaskakiwania rodziców. Kiedy skończyła trzynaście lat, zdali sobie sprawę, że ich problemy prawdopodobnie dopiero się zaczną. Powodem nie był charakter Tally — nadal tak samo pogodny i nieskomplikowany jak zawsze — lecz jej atrakcyjność i wrażenie, jakie wywierała na płci przeciwnej.

Deszcz przestał padać i ptaki znowu zaczęły śpiewać. Tom wszedł po schodach i zatrzymał się przed swoim gabinetem. Otworzył drzwi i podszedł do stołu stojącego przy oknie. Po jednej stronie laptopa leżała czerwona teczka z czarnym napisem *Wywołując fale*. Otworzył okładkę i przebiegł wzrokiem pierwszy akapit: „Nigdy nie zamierzałem zakochać się w Eleanor Norwich. Powiedziałem sobie, że byłoby to zupełnie bezcelowe. Nie miałem przecież dość wytrwałości ani nie byłem na tyle przystojny, by mogło to doprowadzić do trwałego związku. I żałuję, że nie posłuchałem głosu rozsądku”.

Eleanor Norwich... Miał wrażenie, że dojrzewa razem z nią. Cóż, wymyślił to nazwisko tak dawno temu. Zbadał grubość rękopisu. Miał około cala. Sto czterdzieści dziewięć stron. Pierwotnie zamierzał napisać powieść sensacyjną, ale z czasem zamieniła się w subtelny romans. Sztuka jest odbiciem życia. Westchnął i poszedł pod prysznic.

Tally z trudnością koncentrowała się na Szekspirze. To był pomysł nauczyciela, by po egzaminach zorganizować jeszcze tę zabawę z angielskim, więc dzwonek, który rozległ się po półtoragodzinnych zajęciach, był niczym gorąco wyczekiwane uwolnienie z więzienia. Z większą niż zazwyczaj ulgą upchnęła książki w torbie i poszła z Emmą do ulubionej herbaciarni na colę i ciastka.

— Spotkasz się z nim znowu?

Tally powoli sączyła swój napój, zmuszając przyjaciółkę, by czekała na jej odpowiedź.

— Możliwe.

— Czy ty... tego... — Emma najwyraźniej nie mogła doczekać się jakichś rewelacji.

— Emma!

— Jestem po prostu ciekawa.

Tally była zdegustowana, ale w końcu ulitowała się nad przyjaciółką.
— Świetnie całuje.

— W ogóle jest w porządku — dodała Emma.

Tally zmarszczyła brwi i ułamała kawałek ciastka, a potem wepchnęła go do ust.

— Mmm... — mruknęła i przełknęła kęs. — Ale co z Blipem?

— Jak to co? Alex jest o wiele przystojniejszy — stwierdziła Emma.

— Nie spotykam się z Alexem z powodu jego wyglądu.

— Och! A więc jednak się z nim spotykasz, tak?

— Nie, a właściwie tak, ale nie w ten sposób, jak myślisz.

— A więc jak?

— Jest po prostu moim przyjacielem.

— To samo mówiłaś o Blipie.

— Wiem, ale Alex jest zabawny.

— A Blip nie?

— Oczywiście, że tak. Cóż... to zupełnie coś innego. Och, sama nie wiem. Alex jest o wiele bardziej zepsuty. Mam na myśli ten jego samochód. I ma za dużo pieniędzy.

— Daj mu szansę.

— Jest w nim wszystko, czego nienawidzę w facetach: pewność siebie, przekonanie o własnej wyższości... Tylko że on tak naprawdę wcale taki nie jest. Myślałam, że będzie, ale jest naprawdę słodki. I lubię z nim być.

— I jego pocałunki.

— Ciii! — Tally rozejrzała się wokół z niepokojem, na wypadek gdyby ktoś podsłuchiwał, lecz starsze panie zachowywały absolutną obojętność na wszystko z wyjątkiem własnych chorób i pogody.

Emma spojrzała badawczo na przyjaciółkę.

— Jest w tobie coś dziwnego... Tally przestała gryźć ciastko.

— O co ci chodzi?

Emma rozsiadła się wygodniej na krześle.

— Wyglądasz jakoś inaczej. Zwłaszcza wtedy, gdy o nim mówisz.

Tally zarumieniała się.

— Nie pleć głupstw.

— Ale tak jest. Robisz się czerwona.

— Jeśli masz zamiar rozmawiać ze mną w ten sposób, to wychodzę — oświadczyła Tally i schyliła się, by podnieść torbę.

Emma złapała ją za nadgarstek.

— Nie wygłupiaj się. Tylko żartowałam. Ale...

— Co?

— Zakochałaś się?

— Oczywiście, że nie. Widziałam się z nim tylko raz. Emma popatrzyła na nią uważnie.

— Nie chcę po prostu się spieszyć — dodała Tally.

— Miss Samokontroli.

— Wiesz, co mam na myśli.

— Możesz sobie nie poradzić.

— Czytałaś ostatnio „Sugar”? Albo „Dziewiętnaście”?

— Nie, „Cosmopolitan”.

— Tak myślałam. Zawsze poznaję. Emma uśmiechnęła się.

— Myślisz, że... — zaczęła, ale nie dokończyła. Tally przyglądała jej się przez chwilę.

— Co myślę? — zapytała i ugryzła następny kawałek ciastka.

— Myślisz, że to będzie w porządku? Jeśli to coś poważnego oczywiście.

— Ale co?

— Kochanie się. No wiesz... seks. Tally znieruchomiała.

— Dlaczego pytasz?

— Po prostu chciałam wiedzieć, co o tym myślisz.

— Dlaczego?

Emma poruszyła się niespokojnie na krześle.

— No, jak ktoś na ciebie naciska.

— Ale kto?

— Och... wiesz.

Tally spojrzała twardo na Emmę.

— To zależy od ciebie.

— A ty byś to zrobiła?

— Nie. To znaczy... nie sędzę. Na pewno nie seks.

— Tak właśnie myślałam. A pieszczoty? Tally milczała przez chwilę.

— Nie wiem. Jeszcze nie.

Emma zainteresowała się nagle okruszkami na swoim talerzu.

— A Tobie tego chciał? — zapytała Tally. Emma pokiwała głową.

— I... zrobiłaś to?

— Wczoraj było już całkiem blisko. Tally chwyciła ją za rękę.

— Nie musisz tego robić.

— Wiem. Ale chodzi o to, że połowa mnie tego chce, a druga połowa się boi. Nie chcę być łatwa, rozumiesz?

— Nie wiedziałam, że to coś poważnego.

— Ja też nie.

— Jak długo jesteście razem?

— Miesiąc.

— To niedługo.

— Nie.

— Więc poczekaj i przekonaj się, czy to jest właśnie to. Ale jeśli chcesz... musisz... cóż...

— Zabezpieczyć się?

— Tak.

— Och, nie martw się. Ostatniej nocy Toby już to założył, ale się wycofałam.

Patrzyły na siebie przez chwilę, a potem parsknęły śmiechem. Ich wesołość była jednak krótkotrwała.

— Cześć!

Tally i Emma spojrzały w górę i ujrzały szczupłego chłopaka o krótkich ciemnych włosach. Miał na sobie granatową szkolną bluzę, ale jego krawat był rozwiązany, a biała koszula wisiała luźno na spodniach. Na ramieniu miał przewieszoną torbę z napisem „Manchester United”. Tally zarumieniła się.

— Cześć, Blip!

— Napijesz się jeszcze coli? — zapytał chłopak.

— Nie, dziękuję. Już wystarczy.

— A ty, Emma?

Dziewczyna potrząsnęła głową i pociągnęła przez słomkę swój napój. Ale puszka była już pusta i jedynym efektem był bulgoczący odgłos.

Tally odzyskała zimną krew.

— Siadaj. Co słychać?

— W porządku. — Blip wyglądał na zażenowanego, usiadł jednak naprzeciw dziewcząt i rzucił torbę na podłogę. — Zastanawiałem się, czy nie poszłabyś wieczorem na ten nowy film z Bradem Pittem. Ma dobre recenzje. Pomyślałem, że potem moglibyśmy zjeść pizzę.

Emma przeniosła spojrzenie z Blipa na Tally, a poteni z Tally na Blipa, niczym widz na Wimbledonie podczas szybkiej wymiany piłek.

— Och! — zmieszła się Tally. — Dzisiaj nie mogę. Muszę się pakować.

— Myślałem, że nie wyjeżdżasz przed sobotą?

— Nie, ale... no wiesz... mam mnóstwo do roboty.

— Rozumiem. — Blip sprawiał wrażenie przygnębionego i zbitego z tropu. — A może spotkamy się, kiedy wrócisz?

— Dobrze.

— Szukałem na mapie tej miejscowości w Toskanii, do której wyjeżdżasz, ale nie mogłem jej znaleźć.

— Jest bardzo mała.

— Aha.

Tally poczuła ukłucie wyrzutów sumienia.

— To bardzo blisko Florencji — dodała.

— Rozumiem.

Posłała mu uśmiech, ale rozmowa się skończyła i zapadło niezręczne milczenie. Blip uśmiechnął się słabo i wstał. Przejechał dłonią po krótkich, ściętych na jeża włosach i podniósł torbę.

— Może spotkamy się przed twoim wyjazdem?

— Może — odparła Tally i pomyślała, że chyba zachowuje się zbyt chłodno. — Byłoby bardzo miło.

Blip skinął głową Emmie, pomachał do Tally i wyszedł z herbaciarni, nie oglądając się za siebie.

— Biedny Blip — mruknęła Emma.

— Biedny Blip — powtórzyła jak echo Tally.

Rozdział 9

Nie spotkała się jednak z Blipem przed wakacjami. Nie widziała również Alexa, ponieważ pojechał do Londynu i nie wrócił do Sussexu przed jej wyjazdem.

Pippa uprzedziła klientów, że przez najbliższe dwa tygodnie nie będzie dostarczać ziół, i powiedziała Maisie, że o tej porze roku rośliny potrzebują mniej wody, bo są na Jałowym biegu". Dodała również, że nie musi martwić się o zbiory, z wyjątkiem oczywiście swoich własnych potrzeb. „Własne potrzeby. Tak. Świetnie. Nie za dużo wody" — powtórzyła Maisie.

Tom opuścił „Pelicana", pozostawiając Petera w stanie umiarkowanej irytacji; Sally pożegnała go mrugnięciem, a Ellen obdarzyła skąpym uśmiechem, ukazując braki w uzębieniu.

W piątkowy wieczór Drummondowie przygotowywali ostatnią kolację przed wyjazdem.

— Ciągle myślę, że mogliśmy spędzić ten wieczór sami — powiedział Tom, nakrywając do stołu.

— Ale przecież nie widzieliśmy jej od wieków. A ona nie widziała Tally jeszcze dłużej.

— No właśnie.

— Nie bądź zrzędą. — Pippa odwróciła się od zlewu, strząsnęła wodę z pęczka zieleniny i podała go Tomowi. —

Mam zamiar doprowadzić cię do porządku na tych wakacjach. Nawet twoja córka uważa, że coś z tobą nie tak.

— Wcale nie.

— Jesteś po prostu trochę najeżony.

— Nie jestem najeżony — burknął Tom. Pippa uniosła jedną brew.

— No dobrze, jestem — przyznał i uśmiechnął się. potulnie. — A kiedy ona przyjedzie?

— Lada chwila.

Na schodach rozległ się tupot stóp Tally.

— Już jest! Przyjechała!

Pippa wytarła ręce, a Tom postawił ostatni kieliszek na starym sosnowym stole i w trójkę podeszli do drzwi, by przywitać gościa.

Na żwirowym podjeździe zatrzymał się brudny golf GTi, a siedząca w środku postać zaczęła machać do nich jak szalona. Po chwili z wnętrza samochodu wyłoniła się Janie Giorgioni z szerokim uśmiechem na ustach i rozpostartymi ramionami.

— Cześć, moje małe skarbeńki! Jak się macie, do diabła? Minęły całe cholerne wieki!

Pippa posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

— No przecież minęły! — zawołała Janie i roześmiała się, a Tally rzuciła się, by ją uściskać.

— Jak dobrze, że przyjechałaś. Janie uściskała swoją chrześniaczkę.

— Och, nie mogłam cię nie zobaczyć, moja kochana. Co słychać? Jacyś chłopcy? A porządni przynajmniej?

— Jeden lub dwóch. Janie zwróciła się do Pippy:

— Cudownie cię widzieć, kochanie — powiedziała i ucałowała ją w oba policzki. Potem przysła kolej na Toma. — A ty, panie Drummond? Opiekujesz się moimi dziewczynkami?

Tom popatrzył na nią spode łba.

— Ależ skąd. Biję je codziennie. To jedyny sposób, żeby utrzymać je w ryzach.

— Drań! — Janie uśmiechnęła się i pocałowała go prosto w usta. — Nie zasługujesz na nie.

— Wiem. To zabawne, ale one i tak ciągle wracają po więcej. To chyba mój wrodzony urok osobisty tak działa. — Tom pocałował Janie w policzek. — Miło, że przyjechałaś... ale wiesz, jutro wyjeżdżamy na wakacje...

— Nie martwcie się, mam tylko jeden wolny dzień, zanim znowu wrócę na tę moją lodowatą północ. A skoro wyjeżdżacie do kraju moich przodków, chciałam wysłać tam z wami moją miłość.

Ojciec Janie Giorgioni był Włochem, a matka Szkotką. Była wysoka po matce, ciemnowłosa po ojcu i pomimo wspaniałej urody wciąż pozostawała sama. Twierdziła, że małżeństwo jest szaleństwem i że o wiele łatwiej można podporządkować sobie mężczyzn, jeśli nigdy nie daje im się wszystkiego, czego pragną. Uważała, że szczęśliwe małżeństwo Toma i Pippy jest rzadkim odstępstwem od reguły i mimo skrywanego podziwu dla ich wytrwałości powtarzała bez przerwy, iż są szczęśliwi tylko „na razie”, ponieważ wszystko może się zmienić.

Poznały się z Pippą w szkole gastronomicznej, gdzie Janie — wbrew swym włoskim korzeniom — poznawała tajniki angielskiej kuchni. Ale Janie zawsze była przewrotna i przekorna. Od tamtej pory już kilkanaście razy zdążyła zmienić rodzaj pracy i teraz zajmowała się turystyką. Mężczyzn również zmieniała jak rękawiczki i, poza nielicznymi łzawymi rozmowami telefonicznymi z Pippą, zazwyczaj kończyła kolejne związki z uśmiechem, nazywając swojego ostatniego byłego „takim samym draniem jak cała reszta”.

Tom przyglądał jej się przez chwilę. Jej gęste kruczoczarne włosy sięgały do ramion i była ubrana w czarne spodnie i sweter, a na ramionach miała niedbale zarzucony aksamitny szal z lamparcim wzorem. Zastanawiał się, jak do tej pory

zdołała przejść przez życie, nie wiążąc się z nikim, chociaż za nic w świecie nie potrafił wyobrazić sobie mężczyzny, który mógłby zostać jej drugą połową. Od czasu do czasu wydawało mu się jednak, że dostrzega w Janie jakiś cień tęsknoty, choć tak naprawdę nigdy tego nie okazywała. Przynajmniej w obecności innych.

Janie otworzyła bagażnik i zaczęła szaleńczo przerzucać stosy pakunków i toreb.

— To musi być gdzieś tutaj...

— Co takiego? — zapytała Tally.

— Wino. Nie mogłabym pozwolić, żebyście wyjechali bez pożegnania ze mną. Ach! Proszę bardzo. — Wyjęła dwie butelki i rzuciła je Tomowi. — Otwórz je szybko, bo ledwie żyję!

Tom przeczytał napisy na etykietach.

— Brunello di Montalcini, rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt. Dobry Boże! Niezła jesteś!

— Oczywiście. Jak długo się nie widzieliśmy? Prawie rok. Czego się spodziewałeś? Valpolicelli?

— A więc chodź, ty stary opoju — uśmiechnął się Tom. — Należę ci kieliszek.

— Coraz gorzej z tobą, staruszkę — powiedziała Janie i klepnęła go w tyłek. — Daję ci jeszcze trzy dobre lata.

Odwróciła się do samochodu.

— Chwileczkę. Mam coś jeszcze. Jest! — Wyszarpnęła purpurową torbę ze stosu pozostałych pakunków i wręczyła ją Tally. — To dla ciebie, kochanie. Coś na wakacje. Ale nie pozwól, żeby ojciec to zobaczył, bo dostanie szału.

Tally przyjęła prezent i zajrzała do środka.

— Jejku! O rety! — zawołała i wyciągnęła trójkącik czarnej jedwabnej tkaniny.

— Co to? — zapytał Tom, wbijając wzrok w materiał. — Chusteczka do nosa? A może na głowę?

Tally wzniosła oczy ku niebu.

— To bluzka!

Pocałowała swoją matkę chrzestną i szepnęła:

— *Stupendo! Grazie!*

Janie zmarszczyła nos i mruknęła:

— *Prego*. Będzie świetnie wyglądać, jak się opalisz.

— Co? — zapytał Tom, próbując zrozumieć, o co chodzi.

— Powiedziałam, że nie mam nic przeciwko pewnemu facetowi, chociaż nie udało mi się dostać od niego nawet kieliszka wina.

Tom rzucił jej gniewne spojrzenie.

— W porządku. Zrozumiałem aluzję.

Towarzystwo Janie bardzo dobrze wszystkim zrobiło. Pippa pozbyła się na chwilę strachu przed podróżą samolotem, Tom zapomniał o pracy, a Tally odkryła, że kieliszek wspaniałego czerwonego włoskiego wina sprawił, że nagle dostała kolorów na policzkach i zaczęła bardzo dużo mówić. Dopiero gdy wygadała się, że Alex Blane-Pfitzer wspaniale całuje, zdała sobie sprawę, że zmiana tematu i zawartości kieliszka byłaby dobrym pomysłem.

Janie była tak szczęśliwa, że uraczyła ich opowieścią o swoim ostatnim porzuconym mężczyźnie, Jasonie.

— To było całkowicie bez sensu. Oczekiwał, że będę wszystko za niego robić. Dokładnie wszystko — pranie, prasowanie, gotowanie. Nie potrafił nawet sam oddać samochodu do naprawy, zawsze prosił mnie, żebym zadzwoniła do warsztatu.

— Więc co cię przy nim trzymało? — zapytał Tom.

— Był niezrównany w łóżku. Miał niewiarygodną potencję.

Tom zakrztusił się winem.

— Żartowałam tylko. Och, nie wiem, sprawiał wrażenie całkiem porządnego faceta i był dość przystojny. Przypuszczam, że po prostu mi się znudził. Lubie, jak moi mężczyźni

mają w sobie choć odrobinę życia. A ja po sześciu miesiącach wycisnęłam Jasona do ostatniej kropli.

Tally nabijała na widelec kawałki sałatki i z szeroko otwartymi oczami przysłuchiwała się opowieściom o wyczynach swojej chrzestnej matki.

— Mówię poważnie, Pippa, spójrz na siebie. Dlaczego nie pozbyłaś się jeszcze tego trutnia? — zapytała Janie, wskazując głową Toma.

— Naprawdę nie mam pojęcia. Jeszcze do tego nie doszłam. Ale on potrafi oddać samochód do naprawy bez mojej pomocy, więc chyba coś w tym jest.

Tom poczęstował się jeszcze jednym plackiem rybnym Pippy.

— Nie możesz po prostu dać sobie z tym spokoju, Janie? — zapytał.
— Byłabyś szczęśliwa, gdybyśmy bez przerwy skakali sobie do gardeł.

— Jasne, że mogę. Ale wtedy nie lubiłabym tak bardzo tu przyjeżdżać. Gdybyście się od czasu do czasu posprzecziali, czułabym się dużo lepiej.

Desperacja na twarzach gospodarzy dopełniła miary jej rozdrażnienia.

— Czy wy nigdy się nie kłóćcie?

Pippa obrzuciła Toma szybkim spojrzeniem.

— Czasami.

— A o co? — zapytała Janie.

— O głupstwa — odparł Tom.

— Na przykład o to, czyja kolej, by wystawić na drogę pojemniki ze śmieciami — wyjaśniła z lekką pogardą Tally.

— Tylko dlatego, że twoja mama zawsze o tym zapomina.

— Nie zapominam — burknęła Pippa. — Po prostu nie wystawiam ich tak wcześnie jak ty.

— Ale jeśli zwlekasz z tym zbyt długo, śmieciarka zdąży przejechać i potem musisz czekać na nią do przyszłego tygodnia.

— A kiedy ostatnio czekałam? — zapytała Pippa i spojrzała na Janie, która promieniała radością.

— Jak cudownie! — zawołała. — W końcu widzę jakieś oznaki rozpadającego się małżeństwa.

Deser składał się z przedwakacyjnych resztek.

— Przepraszam — usprawiedliwiała się Pippa. — Ale wszystko musi zostać zjedzone — oświadczyła i wyjęła z lodówki kawałki sera, jogurty balansujące na krawędzi przydatności do spożycia i kilka jabłek.

— O Boże! — zawołała Janie. — Przypomnijcie mi, żebym znowu tu przyjechała, kiedy będę musiała wzmocnić swoje przeciwciała.

Wbiła nóż w szczególnie oporny kawałek sera Cheshire, a potem wykroiła środek z połowy pomarszczonego jabłka, które pozostawiła Tally.

— W każdym razie — powiedziała po chwili, wznosząc kieliszek wina — za was i wasze wakacje. *Alla Salute!*

O jedenastej zaczęła zbierać się do wyjścia. Tom zapytał, czy czuje się na tyle dobrze, by prowadzić, ale zapewniła go, że jej limit wynosi pięć kieliszków, a wypila tylko trzy. Tom jednak mocno w to wątpił. Janie ucałowała Pippę i Tally, a potem zwróciła się do Toma:

— Wiesz co, ty stary koźle, czasami całkiem mi się podobasz — oświadczyła i pocałowała go w policzek.

Tom zmarszczył brwi.

— I co my mamy z tobą zrobić?

— Znajdźcie mi porządnego faceta. Nie. Lepiej nieporządnego, tacy są zazwyczaj o wiele bardziej zabawni — odparła Janie i spojrzała na niego z powagą.

Gdy Pippa i Tally sprzątały ze stołu, Tom odprowadził Janie do samochodu. Zatrzymała się na chwilę, zanim wsiadła do środka, i powiedziała z nietypową dla siebie czułością:

— Dbaj o nie, Tom. Są bardzo cenne.

— Na pewno będę.

— I powiedz Pippie, że skontaktuję się z nią, kiedy tylko

wróćcie. Nie powinniśmy robić takiej długiej przerwy, zanim znowu się zobaczymy.

— OK. Uważaj na siebie, staruszko.

— Drań! — Posłała mu przekorny uśmiech, włączyła silnik i popędziła żwirową drogą w pogoni za kolejnym nieodpowiednim mężczyzną.

Tom patrzył, jak odjeżdża. Zastanawiał się, czego Janie tak naprawdę szuka w życiu, i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie nie znajdzie na to pytanie odpowiedzi, zwłaszcza że sam nie potrafił zdecydować, czego chce. Poszedł w stronę okratowanej bramy, która zamykała podjazd. W nozdrza uderzył go zapach zmoczonej deszczem łąki. Nocną ciszę zakłócały jedynie dobiegające z kuchni głosy Pippy i Tally, pbrzękiwanie szklanek i szczęk sztućców. Na dębie nad żywopłotem zahukała sowa. Tom oparł się o bramę, spoglądając poprzez zalane światłem podwórko w kierunku kuchni. Obserwował, jak żona i córka krzątają się razem po kuchni — spokojne i zrelaksowane. Uświadomił sobie, że uczucie pustki, które mu ostatnio towarzyszyło, było spowodowane — tak jak sugerowała Pippa — wyłącznie zmęczeniem i niczym więcej. Nie mógł wyobrazić sobie innego miejsca, w którym by mógł teraz być. I nie było na świecie nikogo innego, z kim wolałby być oprócz tych dwóch kobiet, z którymi przez ostatnie szesnaście lat dzielił życie. Poklepał gładki słupek bramy i wszedł do środka.

Wczesny sobotni poranek zastał Drummondów na pakowaniu walizek. Właściwie pakował się tylko Tom, ponieważ Pippa i Tally uporały się z większością swoich rzeczy jeszcze przed przyjazdem Janie. Tom jak zwykle miotał się pośród swoich ubrań, usiłując w ostatniej chwili wybrać coś odpowiedniego. Pippa zaoferowała mu swoją pomoc, ale podziękował jej uprzejmie i powiedział, że sam sobie poradzi. Teraz żałował, że był taki przekorny.

Ze zmarszczonymi brwiami przekopywał się przez szuflady ze skarpetkami, gdy w drzwiach sypialni pojawiły się głowy dwóch kobiet.

— Możemy wejść? — zapytała Tally.

— Mmm...

— W co chcesz się ubrać na podróż?

— Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym.

Matka i córka popatrzyły na siebie, a potem w drzwiach pojawiła się ręka Pippy z wieszakiem, na którym wisiała biała bawełniana koszula z krótkimi rękawami oraz para granatowych spodni. Na obu rzeczach były jeszcze metki.

— Co to jest? — zapytał zaskoczony Tom.

— Przecież nie mogliśmy pozwolić, żebyś jechał w starym ubraniu, prawda? — uśmiechnęła się Pippa.

— Albo w starych butach. — Tally pokazała parę nowych zamszowych mokasynów.

— Aleja myślałem, że...

— Że zrobiliśmy zakupy tylko dla siebie? Och, nie. Nie chcieliśmy, żebyś przyniósł nam wstyd.

Tally rzuciła buty w jego stronę, a on złapał każdy z nich w jedną rękę. Potem weszła do pokoju i usadowiła się na łóżku.

Pippa została przy drzwiach.

— Myślisz, że moglibyśmy tam chodzić do jakichś eleganckich restauracji? — zapytała.

— Cóż, mam nadzieję. Nie jesteśmy przecież aż tak źle wychowani, żeby nie móc się nigdzie pokazywać — mruknął Tom. Siedział na łóżku i przymierzał nowe buty.

— Wobec tego to też powinno ci się przydać. — Pippa wyciągnęła drugą rękę z następnym wieszakiem. Tym razem był to jasnoniebieski lniany garnitur.

— Co? To jakaś okropność!

— Nie przekonasz się, dopóki nie przymierzysz.

— Ale...

— Daj spokój, tato. Zrób nam pokaz mody.

— O Boże... Zostawiam was same na jeden dzień i co się dzieje? Wydajecie wszystkie moje pieniądze na niebieskie garnitury.

— Nie wszystkie. — Oczy Tally błyszczały radością. — Zostawiłyśmy trochę na przyjemności.

Pięć minut później stanął przed nimi ubrany w jasnoniebieski garnitur, kremową koszulę polo i nowe mokasyny.

— I jak wyglądam? — zapytał.

Obejrzał się w lustrze ze wszystkich stron i przeczesał ręką ciemne włosy.

— Szalowo. — Tally siedziała na łóżku z podwiniętymi nogami, ubrana w luźną, workowatą koszulę, która zakrywała ją niemal w całości.

Pippa spojrzała na Toma krytycznym okiem.

— Bardzo elegancko. Naprawdę fantastycznie. — Podeszła do niego, strzepnęła białą nitkę z jasnoniebieskiego garnituru i musnęła wargami policzek męża. — Wyjątkowo fantastycznie.

— Wychodzę stąd — oświadczyła Tally i pobiegła do drzwi. — Kiedy wyjeżdżamy? — zawołała, zbiegając ze schodów.

— Za godzinę! — krzyknęła Pippa, a potem spojrzała na męża. — Zawsze lubiłam cię w niebieskim.

Toma bolała już ręka od uścisku Pippy. Nigdy nie lubiła latać, a start i lądowanie były dla niej szczególnie denerwujące. Uwolnił dłoń od paznokci, które wbijała w jego skórę, a ona spojrzała na niego przepraszająco.

Siedząca w drugim rzędzie Tally kiwała się w rytm muzyki, której słuchała ze swojego walkmana, spoglądała przez okno na mokry pas startowy lotniska Gatwick i trzymała matkę za rękę.

Gdy maszyna wyrównała lot, Pippa zwolniła uścisk.

— Czy to nie śmieszne? Powinnam wypić przedtem kilka szklanek dżinu.

— Zawsze tak mówisz.

— Wiem. Chciałabym to polubić. Tom spojrzał na nią ze współczuciem.

— W porządku? Pokiwała głową.

— O wiele lepiej.

Lot z Gatwick do Pizy trwał dwie godziny i dziesięć minut. Pippa próbowała zainteresować się jedzeniem, a Tom wmusił w nią kieliszek szampana. Jednak dopiero gdy samolot wylądował na włoskim lotnisku, usiadła swobodnie, uśmiechnęła się do Toma i mruknęła:

— Szczęśliwych wakacji!

Tom odebrał z lotniska w Pizie wynajęty samochód — purpurowego seata — i drogą A12 pojechali na północ. Tally wyłączyła wreszcie walkmana i wyglądała przez okno.

— To wygląda jak chwiejący się tort ślubny — stwierdziła.

Tom i Pippa popatrzyli na siebie, a potem na pochyłą wieżę. Była to pierwsza wizyta Tally we Włoszech, a ich już trzecia. Swoją miodową miesiąc spędzili w Sienie, a cztery lata temu pojechali na długi weekend do Florencji.

— Poczekaj, aż zjedziemy z tej drogi...

Po chwili pochyła wieża oddaliła się z wdziękiem i samochód wjechał na Ali, prowadzącą do Lucii i dalej w głąb Toskanii.

Przed Florencją skręcili na północ i pojechali w stronę wzgórz. Droga była teraz węższa i piaszczysta. Po obu stronach rosły smukłe, ciemnozielone cyprysy i wielkie sosny.

Co jakiś czas drzewa przerzedzały się, ukazując jakąś winnicę w dolinie lub bladozielone i purpurowe wzgórza. Powietrze wczesnego wieczoru pachniało kurzem i rozmarynem. Pippa wiedziała już wcześniej, że tak będzie, ale Tally wciąż wydawała okrzyki podziwu.

— Jejku!

— To wszystko, co potrafisz powiedzieć¹?

— Co?

— „Jejku!”.

— Nie. Potrafię powiedzieć również *Dove la stazione di servizio piu vicina?*

Tom skrzył gwałtownie, by ominąć kozę stojącą na drodze.

— A co to znaczy?

— „Gdzie jest najbliższa stacja benzynowa?”. Pippa odwróciła się do tyłu i spojrzała na córkę.

— Skąd, u licha...

— Potrafię też powiedzieć: *La doccia non funziona*, czyli „Prysznic nie działa”, albo *Non c'e carta igiencia in bagno* — „W łazience nie ma papieru toaletowego”. Albo: *Potrei vedere la listo dei vini?* — „Czy mogę prosić o kartę win?”.

Tom zahamował ostro, zjechał na pobocze i odwrócił się, by spojrzeć na Tally.

— Rozmawiałaś ze swoją chrzestną?

— *Solo un' po* — odparła z uśmiechem Tally.

Rozdział 10

— Tato, spójrz na niebo, jest całe różowe! — zawołała Tally. W jej głosie zabrzmiała nuta strachu i podziwu.

Tom uśmiechnął się do siebie. Mając szesnaście lat, jego córka była zarówno świadomą młodą kobietą, jak i zdziwionym, zachwyconym dzieckiem. W tym akurat momencie do głosu doszło dziecko i Tom oglądał Włochy jej oczami. Tak samo postrzegał je, gdy był tu po raz pierwszy z Pippą. Miodowy miesiąc spędzili w Sienie zgodnie z sugestią Janie, która twierdziła, że nie ma bardziej romantycznego miejsca na świecie. „Zapomnijcie o Firenze, zapomnijcie o Wenecji. Jedźcie do Sieny” — powiedziała. Tak właśnie zrobili i od razu pokochali to miasto. Tak bardzo, że nigdy tam nie wrócili. „Już nie będzie tak samo” — oświadczyła Pippa. Ale teraz powrót do miejsca, w którym rozkwitła ich miłość, w którym mieli czas wyłącznie dla siebie, przypomniawszy im obojgu o rzeczach, o których czasem tak łatwo zapomnieć; o rzeczach, które chętnie traktuje się jak coś oczywistego.

Tally pochyliła się do przodu i jej głowa znalazła się między ojcem a matką. Kiedy jechali w stronę willi, która przez dwa tygodnie miała być ich domem, Tom poczuł, że dłoń Pippy prześlizguje się delikatnie po jego udzie. Spojrzał na żonę i zobaczył na jej twarzy wyraz zadowolenia, którego

nie widział już od jakiegoś czasu. Nagle odniósł wrażenie, że ich dom został gdzieś całe lata świetlne za nimi. Teraz byli w świetle gajów oliwnych, cytrusowych drzew, winnic i dolin z plantacjami dyń i morw. Pośród ciemnych i cienkich jak ołówki cyprysów ukazał się niski dach willi.

— Czy to tutaj? — zapytała Tally, wyciągając szyję. Pippa spojrzała na mapę, która leżała na jej kolanach.

— Możliwe. Za tym rogiem powinien być zakręt. Zobaczcie, jest znak: *Incrocio pericoloso*, cokolwiek to oznacza.

— „Niebezpieczne skrzyżowanie” — przetłumaczyła Tally.

— Brzmi obiecująco — mruknął Tom.

— Dalej powinna być tablica z napisem „Villa Bartolo”.

— Nie ma nic takiego. Jesteś pewna, że...

— Tam! Jest!

Tom skręcił w zwirową aleję. Po każdej ze stron stał rozsypujący się kamienny słupek, a krawędzie drogi porastała ostra trawa.

Pippa opuściła szybę.

— Zwolnij. Chcę to powąchać. Tom roześmiał się.

— Jesteś zabawna.

— Wiesz, o co mi chodzi.

— Wiem — przyznał.

Jechali wolno po wybojach, skręcając raz w prawo, raz w lewo, zgodnie z drewnianymi strzałkami przyczepionymi do sosen i do sękatego pnia drzewa oliwnego.

Dach willi miał ciemny odcień; po jednej stronie stał gruby kamienny komin, a po drugiej zdezelowana konstrukcja z drewna i drutu, podtrzymująca winorośle. Wieczne słońce padało ukośnie przez bladozielone liście, oświetlając kamienny taras. Okienne ramy były zrobione z brązowego drewna, a ściany pomalowano farbą w kolorze ciemnej ochry. Na tarasie stał zbity z desek stół z sześcioma drewnianymi krzesłami, a po drugiej stronie migotało gasnące światło.

Tom zatrzymał się i zgasił silnik. W powietrzu rozchodziły się jakieś dziwne dźwięki.

— Co to? — zapytała Tally.

— Cykady — odparła Pippa.

— Brzmi jak cykanie miliona koników polnych.

— Bo to takie koniki polne.

— Jejku! Mogę wysiąść? Chcę to zobaczyć. To jest super! Pippa otworzyła drzwi, wysiadła z samochodu i odchyliła

fotel, by uwolnić córkę z tylnego siedzenia. Tally precyzyjnie się na zewnątrz i stała przez kilka chwil zasłuchana.

— To jest takie... włoskie.

— Nareszcie jesteśmy na miejscu — westchnął z ulgą Tom i wysiadł z auta. — A co piszą o kluczu?

Pippa zajrzała do listu, który dołączono do mapy.

— Jest w drewnianym pudełku na tarasie.

— No, no, to dopiero zaufanie.

— Witaj w Toskanii — powiedziała z uśmiechem Pippa.

— Ty również. — Tom obszedł samochód, wziął ją w ramiona i pocałował w czoło. — Życzę ci cudownych chwil.

— Ja tobie też, kochany.

Tally zniknęła po drugiej stronie tarasu, ale nagle znowu usłyszeli jej głos, niosący się w wieczornym powietrzu.

— Ojejku!

Tom spojrzał na Pippę.

— Jej włoski robi wrażenie, ale chciałbym, żeby była bardziej ambitna w angielskim.

Poszli za córką. Suche liście winorośli chrzęściły pod ich stopami. Po chwili grunt zaczął łagodnie opadać, ukazując mały turkusowy basen wkomponowany w zbocze wzgórza. Za nim rozpościerał się wspaniały krajobraz, jak wielki ogród stworzony wyłącznie po to, by cieszyć ich oczy.

— O mój Boże! — zawołała Pippa. — Jak tu pięknie! Tom ograniczył się tylko do pełnego zachwyty westchnienia:

— Dobry Boże...

Pod nimi łagodnymi falami opadały winnice, wśród których gdzieś rosnęły cyprysy i stały samotne zabudowania. Na ich terytorii wznosiły się bladozielone zagajniki drzew oliwnych, a całą panoramę wieńczyły góry mieniące się w zachodzącym słońcu purpurą, miedzią i jaskrawym odcieniem pomarańczy. Dolina rozbrzmiewała dalekim echem pobekiwania owiec. Wszystko było niemal tak doskonałe, jak w ich nadziejach i wyobrażeniach.

List poinformował ich również, że gospodyni zjawi się rano i że w lodówce znajdą mleko i chleb, a na stole butelkę wina. W spiżarni za kuchnią czekał na nich karton z podstawowymi artykułami żywnościowymi, a najbliższy supermarket znajdował się w odległości zaledwie pięciu kilometrów przy drodze do Pistoii.

Pippa i Tally rozwiesiły ubrania w wysokich szafach, a Tom podgrzał pizzę w piecu, którego obsługa wymagała nie lada umiejętności. Otworzył także butelkę chianti, którą ktoś zostawił na stole. Znaleźli kieliszki, pokroili pizzę, a potem zjedli ją pod gwiazdami, podczas gdy wokół nich powoli zapadał zmrok. Później wślizgnęli się między chłodne białe prześcieradła i zasnęli przy wtórze chóru cykad, otoczeni ciepłym aromatem tokańskiej nocy.

Pierwsza obudziła się Tally. Światło poranka było tak jasne i silne, jakby ktoś świecił reflektorami samochodowymi prosto w jej twarz. Po chwili przypomniała sobie, gdzie jest, i usiadła na łóżku. Spojrzała na zegarek: za piętnaście siódma. O wiele za wcześnie, ale światło było tak jaskrawe, że udaremniało wszelkie próby ponownego zaśnięcia. Tally rozejrzała się dookoła. Ściany jej pokoju były pomalowane na biało i wspierały się na grubych, łukowatych belkach ze starego drewna. Meble były ciężkie i ciemne, łóżko miało ozdobny, lecz oszczędnie rzeźbiony zagłówek, a okno w dachu wpuszczało do środka promienie porannego słońca,

padające ukośnie na podłogę pokrytą słomianą matą. Przez kilka minut obserwowała smugi kurzu wirujące w porannym świetle, a potem wyslizgnęła się z łóżka i podeszła do okna. Podniosła metalowy drążek i pchnęła stare brązowe okiennice, które uderzyły z łoskotem o ścianę.

Powitały ją widoki i dźwięki włoskiego poranka. Gdzieś w oddali zapiał kogut. W szczelinę nad jej głową wpełzła jaszczurka. Tally wzdrygnęła się, a potem zaśmiała z samej siebie. Wysokie, smukłe cyprysy, które poprzedniej nocy wydawały się ciemnozielone, w porannym świetle były lawendowoniebieskie. Niebo było bezchmurne i jasne jak bukiet niezapominajek. Poczowała na twarzy ciepło słońca.

Umyła się, wyszorowała zęby, wyskoczyła z piżamy, a potem włożyła szorty, świeżą białą koszulkę i wyszła cichutko na taras. Wzięła głęboki oddech. Nigdy przedtem nie czuła czegoś takiego: rześkie, świeże powietrze o owocowym zapachu, zmieszany z aromatem rozmarynu i szaławii, wonią czerwonej ziemi i liści wina, kory cyprysów i sosnowego igliwia. Ujrzała to wszystko, gdy tylko odwróciła głowę. Pod stopami czuła ciepło szorstkiego piaskowca tarasu. Podeszła do niskiego muru, który go otaczał, i jeszcze raz spojrzała na panoramę tokańskiej doliny. Woda w basenie, załamywana delikatnymi zmarszczkami, połyskiwała w porannym słońcu.

Przeszła skrajem tarasu, muskając dłonią kolczaste łądyżki tropikalnego pnącza, które porastało schody prowadzące do basenu. Zmrużyła oczy przed światłem odbijającym się od wiśniowych liści, a potem zeszła na dół, do wody. Przykucnęła i zanurzyła w niej rękę — była ciepła.

Rozejrzała się dookoła. Była sama — świat się jeszcze nie obudził. Całe Włochy należały tylko do niej. Bez namysłu zdjęła koszulkę i rzuciła ją na chłodny marmur. Uniosła rękę

i poczuła na skórze ledwie wyczuwalny powiew wiatru. Ściągnęła szorty i przez chwilę stała naga na krawędzi

basenu. Uniosła twarz ku słońcu i zamknęła oczy. Potem wskoczyła do wody i przez chwilę nie mogła złapać tchu, bo rześki chłód pozbawił ją oddechu. Zanurkowała i wynurzyła się dopiero wtedy, gdy przepłynęła całą długość basenu.

Odrzuciła do tyłu głowę, by odgarnąć włosy z oczu, i przetarła twarz dłońmi. Potem przeszła kawałek po dnie basenu, obserwując krajobraz przez migoczącą mgiełkę wody, i wydawało jej się, że cyprysy tańczą. Nigdy przedtem nie czuła się tak wolna, tak... szczęśliwa.

Podpłynęła do drabinki, wspięła się na nią i wyszła z wody. Ubrała się, weszła po schodach na taras i usiadła w cętkach światła przebijającego przez liście winorośli. Patrzyła na włoski poranek i czekała, aż obudzą się rodzice.

Gospodyni o imieniu Maria była kobietą w średnim wieku. Miała oliwkową skórę i szerokie biodra okryte nylonowym kitem w kolorze bladej zieleni. Pojawiła się późnym rankiem i prawie się nie odzywała, komunikując się głównie za pomocą gestykulacji. Drummondowie wywnioskowali, że będzie przychodziła codziennie oprócz czwartków — *no giovedì*. Gdy Maria zamiatała taras, ścieliła łóżka i zmieniała ręczniki, trójka wczasowiczów udała się na zakupy. *Super-mercato* przy drodze do Pistoii był o wiele ciekawszy niż rodzime supermarkety. Kupowanie *latte* zamiast mleka, *vino* zamiast wina czy *poilo* zamiast kurczaka było znacznie bardziej zabawne. Nawet Pippa, która zazwyczaj niechętnie robiła zakupy, zapaliła się do wybierania oliwek i melonów, parmeńskiej szynki i włoskiego makaronu oraz mięczaków i wielkich krewetek. Tymczasem Tom napełniał wózek chianti i vino Nobile di Montepulciano, mamrocząc przez cały czas o jakichś „super-Toskańczykach”, którzy według Tally byli miejscową drużyną piłkarską.

Wczesnym popołudniem zasiedli przy stole na tarasie

i zjedli lunch złożony z chleba, mięsa na zimno oraz melona, po czym spłukali wszystko butelką peroni.

— Co teraz chcecie robić? — zapytał Tom.

Pippa i Tally spojrzały na siebie, a potem odpowiedziały zgodnym chórem:

— Bardzo niewiele.

— Słuszna odpowiedź — zgodził się z uśmiechem Tom. Założył ręce za głowę, rozparł się wygodnie na krześle stojącym w cieniu winorośli i dodał: — Może w czwartek lub w piątek będę gotowy na jakąś małą wycieczkę.

Tally wstała od stołu i podeszła do niskiego murku okalającego taras. Słońce stało wysoko na niebie, a kamienna posadzka paliła jej stopy.

— Chyba pójde popływać.

— Dopiero wtedy, gdy lunch ułoży ci się w żołądku — oświadczyła Pippa. — I nie zapomnij posmarować się kremem z filtrem.

— Och, mamoo...

— Ja nie zrzęde, Tal. Nie chcę po prostu, żebyś się spaliła. Twoja skóra ugotuje się w tym upale.

Tally zrobiła niezadowoloną minę.

— A co z tatą? To niesprawiedliwe, on zawsze jest brązowy, nawet wtedy, gdy od wieków nie byliśmy na żadnych wakacjach — powiedziała i wskazała na Toma, którego ręce i nogi zdążyły już nabrać delikatnej miodowej barwy.

— On również musi używać kremu.

— OK, pójde po tę oliwę do smażenia.

— Nie martw się o mnie. Mam grubą skórę — mruknął Tom.

Pippa spojrzała na niego z ukosa.

— Już to kiedyś słyszałam. Chyba to było wtedy, jak nie mogłeś spać na plecach, pamiętasz?

Tally była już w domu, więc Tom odparł cicho:

— Z tego, co pamiętam, wcale nie musiałem.

Pippa uśmiechnęła się lekko.

— Ale się popisujesz.

Tom przysunął swoje krzesło do jej krzesła, zamknął oczy i cieszył się ciepłem słońca. Wyciągnął rękę, szukając dłoni żony. Kiedy splelił palce, Pippa westchnęła z zadowoleniem. Nagle głośny trzask zmusił ich do otwarcia oczu. Przed nimi stała Tally z aparatem fotograficznym.

— Ach! Jakie słodkie zdjęcie. Dwie papużki nierozłączki ucinają sobie razem drzemkę!

— Nie spaliśmy, tylko zażywaliśmy kąpieli słonecznej.

— Bez tego? — zapytała Tally i pokazała tubkę z kremem i butelkę balsamu. — Spalicie się. I nie chcę, żebyście potem jęczeli, że nie możecie spać na plecach.

Tom zerwał się z krzesła, ściągnął koszulę i pobiegł za Tally po stopniach tarasu. Po kilku sekundach z okrzykiem triumfu chwycił ją w ramiona. Wpadli do wody z potężnym pluskiem i zniknęli w spienionej fali, która była tak wielka, że groziła opróżnieniem basenu i zalaniem całej doliny.

Kiedy ojciec i córka pływali, rozbryzgując wodę, Pippa zdjęła szorty i zanurkowała w bikini. Po chwili wynurzyła się na powierzchnię tuż obok nich, odgarnęła włosy z czoła i zapytała:

— Można się przyłączyć?

Pierwszego wieczoru, gdy słońce schowało się za oliwny zagajnik, zasiedli na tarasie do *spaghetti alle vongole* i rozmawiali przy migoczącym świetle świecy, sącząc gaioli rocznik '94. Tom zauważył, że policzki Tally nabrały kolorów, widział też blask w oczach Pippy, jej ciemne włosy zaczesane do tyłu i spięte szylkretową klamrą, i ramiona, które po pierwszym dniu na słońcu delikatnie się zarumieniły.

— Czy jedzenie zawsze tak dobrze tu smakuje? — zapytała Tally.

— Zawsze — potwierdził Tom. — Zwłaszcza wtedy, gdy przygotowuje je twoja mama.

— Myślę, że to zasługa słońca — zaprotestowała Pippa. — Oliwki są inne, chleb jest inny i nawet makaron lepiej smakuje.

— Jutro robimy to samo? — zapytał Tom.

— Och, myślę, że tak — odparła Pippa.

— Ja będę czytać przy basenie — powiedziała Tally i widząc, że matka patrzy na nią, dodała szybko: — Oczywiście z kremem na nosie, filtrem piętnastką na ramionach, nogach i jeszcze w paru innych miejscach.

Tom uniósł brwi.

— Widzę, że pojawiła się ta chusteczka do nosa. — Wskazał na trójkąt czarnego jedwabiu — prezent od Janie — który miała na sobie Tally.

— Dobra, stara Janie. Powinnam zaczekać, aż się opalę, ale jest taka przewiewna i wygodna...

— Wygląda oszłamiająco — stwierdziła Pippa. — Zaufaj Janie.

— A kiedy nauczyłaś się włoskiego? — zapytał Tom. — Przecież nie widziałyście się prawie rok.

— Rozmawiamy przez telefon i Janie pisze do mnie listy. Chciałam zrobić ci niespodziankę, więc nauczyłam się różnych pożytecznych zwrotów, takich jak „Czy jest tutaj sklep?” albo „Czy przyjmujecie karty kredytowe?”.

— Och, bardzo sprytnie. A wiesz, jak powiedzieć: „Mój ojciec nie pochwaliby tego”?

— Chyba nie.

Po chwili Tally wstała i sprzątnęła ze stołu. Trochę dawała jej się we znaki wczesna pobudka, a w głowie wirowało od słońca i czerwonego wina.

Pippa widziała, że córce zamykają się oczy.

— Czas do łóżka, Tally — oświadczyła. — Idź się położyć. Tally uśmiechnęła się, przeciągnęła i ziewnęła. Pocałowała ojca, a potem matkę.

— Ładnie pachniecie — stwierdziła.

— Dziękujemy. Słodkich snów, kochanie.

Tally poszła prosto do łóżka, zostawiając Toma i Pippę sam na sam z odgłosami ciepłej włoskiej nocy.

— Szczęśliwa? — zapytał Tom.

— Bardzo. A ty?

— Mmm...

— Łóżko?

— Łóżko.

Tom wstał i wyciągnął rękę. Pippa chwyciła dłoń męża, a on objął ją ramionami.

— Wydaje mi się, że to było dopiero wczoraj — szepnęła.

— Wiem.

— Zapachy te same i dźwięki te same.

— To dlatego, że jest tak samo.

— A my też jesteśmy tacy sami?

— Też.

Uwolniła się z jego objęć.

— Cieszę się — powiedziała.

Położył dłoń na jej ramieniu, a potem przeszli powoli przez całą długość ciemnego, ciepłego tarasu. Gdy znaleźli się w pokoju, Tom przyglądał się przez chwilę żonie w milczeniu. Nie słyszał nic oprócz ich oddechów — wolnych i rytmicznych. Powoli zaczął ją rozbierać. Przez ułamek sekundy sprawiała wrażenie spłoszonej, ale po chwili odprężyła się. Tom rozpiął jej bawełnianą bluzkę i zdjął z niej kostium kąpielowy. Kiedy była naga, zaczął pieścić jej gładką talię i muskać ustami ramiona. Zamruczała z rozkoszy, gdy pogłaskał wewnątrz jej ud, a potem delikatnie przebiegł palcami po brzuchu. Patrzyła, jak zdejmuje swoje ubranie, nie spuszczać z niej oczu. Po chwili wziął ją za rękę i pociągnął w stronę łóżka, które stało pod parą poślacanych cherubinów. Gdy położył ją na białym chłodnym prześcieradle, zdawało się, że oddychają jednym zgodnym rytmem — najpierw powoli i zaraz potem coraz szybciej

i szybciej. Kiedy już leżeli obok siebie, zaczął całować ją namiętnie. Pragnął pokazać jej, jak bardzo ją kocha i jak bardzo jej pożąda. Z trudem łapali powietrze między pocałunkami. Wołając jego imię, sięgnęła w dół i głaskała go, a on wygiął się z rozkoszy. Potem wziął ją w ramiona i dał jej całego siebie. Gdy leżeli obok siebie w ciepłej, pogniecionej pościeli, wdychając aromatyczne powietrze włoskiej nocy, szepnęła:

— Tak się cieszę, że cię spotkałam, Tomie Drummondzie.

Wiedział, że te słowa pozostaną z nim już na zawsze.

Pół godziny później wysunął się cicho z łóżka Pippy, przykrył ją prześcieradłem i położył się w swoim. To był jedyny minus tego miejsca: pojedyncze łóżka. Ale ona była szczęśliwa i on również. Włochy były ich miejscem na ziemi; miejscem, w którym spędzili swoje najpiękniejsze chwile.

Rozdział 11

Następnego ranka obudził się pierwszy. Ich pokój był ciemniejszy niż sypialnia Tally, ponieważ nie miał okna w dachu, ale promienie porannego słońca i tak przedostawały się przez szczeliny w okiennicach, tworząc świetlisty wzór na przeciwległej ścianie. Spojrzał na Pippe, która wciąż jeszcze była pogrążona we śnie, po czym wstał. Umył się, ubrał i cichutko wyszedł z pokoju na taras. Widok, który poprzedniego dnia powitał Tally, oczarował również i jego.

Poszedł do kuchni i zrobił kawę, a potem zaniósł dzbanek i kubki na taras. Usiadł i czekał na resztę rodziny, rozkoszując się pięknem dojrzewającego poranka.

Pierwsza zjawiała się Tally. Był zaskoczony, bo przypuszczał, że trzeba będzie ją zbudzić na lunch, co byłoby zresztą normalne po pierwszym dniu pełnym tyłu wrażeń. Przyszła rozczochna, w pogniecionej piżamie, z niezadowoloną miną. Przetarła oczy i zapytała, która godzina.

- Dziewiąta. Za wcześnie dla ciebie.
- Wczoraj obudziłam się przed siódmą — mruknęła, ziewając.
- Myślałam, że sobie trochę poleżysz. Tally potrząsnęła głową.
- Nie mogłam spać. Wszystko przez to światło.
- Nie narzekaj. Uśmiechnęła się sennie.

— Nie narzekam. Tom wypił łyk kawy.

— Pójdiesz zobaczyć, czy mama się obudziła? Jeszcze spała, gdy wychodziłem. Zapytaj, czy chce filiżankę herbaty, czy może woli kawę.

— OK — odparła Tally i odeszła, a Tom westchnął z zadowoleniem, patrząc na pejzaż, który się przed nim roztaczał. Pomyślał, że za taki widok można by umrzeć.

— Tato!

Odwrócił się i zobaczył Tally. W jej głosie było coś dziwnego.

— O co chodzi?

— O mamę.

Tom wstał i zobaczył w oczach córki strach. Pobiegł szybko przez taras do pokoju. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Pippa leżała w takiej samej pozycji, w jakiej ją zostawił. Spokojna i cicha. Przeszedł przez pokój i usiadł na skraju łóżka. Dopiero wtedy zauważył, że oczy żony są nieruchome i szeroko otwarte.

Zerwał się gwałtownie, wybiegł na taras i krzyknął:

— Sprowadź lekarza!

Po chwili zdał sobie sprawę, że jego żądanie jest niemożliwe do spełnienia. Tally cała się trzęsła.

— Gdzie jest Maria? — zapytał już spokojniejszym głosem. — Gdzie ona mieszka?

Tally wskazała na mały domek przycupnięty pod kępą starych drzew oliwnych, jakieś pięćset jardów w dół ścieżki.

— Idź i sprowadź ją tutaj. Tally zaczęła płakać.

— Szybko! — krzyknął Tom i pobiegł z powrotem do sypialni.

Tally pędziła co sił w kierunku walącego się domku stojącego pod drzewami oliwnymi, usiłując stłumić łkanie,

które wstrząsało jej ciałem. Czy mama żyje? Czy umrze? Jak wezwać lekarza? Wszystkie włoskie zwroty, które zapamiętywała tak pracowicie, nagle wyleciały jej z głowy. Chciała tylko rozpaczliwie krzyknąć: „Ratujcie moją mamę!”.

Zgubiła jeden kapeć, strząsnęła więc z nogi drugi i biegła bosą, prawie nie czując ostrych kamieni, które kaleczyły jej stopy. Zdawało jej się, że minął cały wiek, zanim dotarła do małej chatki i znalazła Marię, która właśnie karmiła swoje kurczaki. Zdyszana, oślepiona łzami zalewającymi jej oczy, krzyknęła:

— *77 dottore! La madre!* — A potem: — *Chiami un ambulanza!*

Gdy karetka pędziła do Pistoii, Tom wiedział, że ta szaleńcza jazda jest zupełnie daremna. Kiedy przyjechali na miejsce, na ich spotkanie wyszedł lekarz, który dobrze mówił po angielsku, był uprzejmy i troskliwy, lecz jednocześnie bardzo konkretny. Potem zostawił ich na chwilę w poczekalni. Tom objął Tally ramieniem, a ona oparła się o niego, drżąc na całym ciele. Prawie nic nie mówili.

Lekarz wezwał Toma, ale on nie chciał zostawić córki samej, więc doktor wyjaśnił im obojgu, że prawdopodobną przyczyną śmierci Pippy była wada serca, chociaż trudno stwierdzić to z całą pewnością. Żeby się o tym przekonać, trzeba będzie zrobić sekcję zwłok. Spróbują szybko załatwić wszystkie formalności, ale prawdopodobnie zabierze to kilka dni. Czy chcą od razu pojechać do domu, czy poczekać i wrócić razem z ciałem? Tom nie potrzebował czasu na zastanowienie: nie wyjadą stąd bez niej.

Lekarz zasugerował, by pojechali do willi.

Zrobili to, ale tylko po to, żeby się spakować. Potem przenieśli się do hotelu w Pistoii — nie najlepszego, ale czystego. Nie mogli zostać bez Pippy w miejscu, które było dla nich rajem.

Następne dwa dni minęły w bolesnej udręce wizyt w konsulacie brytyjskim i w szpitalu. Wszyscy im współczuli i służyli pomocą, w szczególności pracownicy konsulatu, ale niczego to nie zmieniało: Tom stracił miłość swojego życia, a Tally mamę.

Tom z niepokojem przyglądał się córce. Chwilami wpadała w amok szaleńczych pytań. Dlaczego tak się stało? Dlaczego lekarz nie był pewien diagnozy? Dlaczego nie było żadnych sygnałów ostrzegawczych? Nie potrafił jej odpowiedzieć, chociaż bardzo chciał. A potem w miejsce gniewu i niedowierzania pojawiała się cicha rezygnacja. Martwiło to Toma o wiele bardziej niż niepohamowany szloch Tally. Pragnął powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze, ale wiedział, że to nieprawda.

Gdy lecieli do domu, usiedli tak blisko siebie, jak tylko mogli. Chwycili się mocno za ręce, tak jak jeszcze niedawno trzymali dłonie Pippy. Żadne z nich nie mogło znieść myśli, że ona podróżuje razem z nimi, tyle że w zupełnie innej części samolotu.

Rozdział 12

Po ich powrocie w Wilding's Barn otoczyła ich straszliwa cisza. Kiedy Tom podziękował taksówkarzowi, ten nie odezwał się, tylko skinął głową i odjechał powoli, okazując w ten sposób swój szacunek. Przez kilka chwil stali na zwirowym podjeździe, niezdolni do wykonania żadnego ruchu. Potem Tom dotknął ramienia Tally. Odwróciła się i wtuliła twarz w jego pierś. Postawił walizkę, którą przed chwilą podniósł, i otoczył córkę ramionami.

Kołysał ją delikatnie, jakby była małym dzieckiem, i dopiero wtedy zaczął zdawać sobie sprawę z ogromu swojej samotności. Czuł się chory fizycznie i z trudem przetykał ślinę.

— Chodź — powiedział i pociągnął Tally w stronę drzwi. Przekręcił klucz w zamku i wprowadził ją w głuchą ciszę domu. Nagle przerwał ją głos Maisie:

— Ooo-ooch!

Jej donośne powitanie naruszyło spokój wczesnego poranka. Tom posadził Tally na krześle w kuchni.

— Zaraz wrócę — powiedział.

Przeszedł na drugą stronę starej drogi i ruszył ścieżką w stronę frontowych drzwi domu Maisie. Kiedy jej powiedział, co się stało, rozszlochała się niepohamowanie, ukrywając twarz w pogniecionej kolorowej chustce na głowę. To było dla niej za wiele.

— Mój ty biedaku! I to dziecko... Och, biedna Tally! — mówiła pomiędzy kolejnymi wybuchami płaczu.

Tom próbował uspokajać i pocieszyć Maisie, a przecież powinno być odwrotnie. Patrzył bezradnie, jak rozmazany tusz do rzes spływa po jej policzkach.

— Idź! — powiedziała w końcu. — Wracaj do Tally i nie przejmuj się mną. Tak mi przykro, Tom. Och, gdybym tylko mogła coś dla was zrobić. Przepraszam, że tak się zachowuję. Obiecuję, będę silna, pomogę wam. To tylko szok.

Tom zastał Tally w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Siedziała na krześle, nie mogąc na niczym skoncentrować spojrzenia.

— Myślę, że powinnaś wziąć prysznic — powiedział. Popatrzyła na niego nieprzytomnie, jakby mówił w obcym języku. — Poczujesz się lepiej.

Nie odezwała się ani słowem. Nigdy przedtem nie widział jej tak rozszalonej i zagubionej. Widząc jej puste, błędne spojrzenie, poczuł na sobie ciężar tego wszystkiego, co się wydarzyło. Wiedział, że musi znaleźć w sobie siłę, by pomóc jej przez to przejść. Nie mógł się poddać i załamać. Tally była wszystkim, co mu pozostało.

Siedział na jej łóżku, podczas gdy brała prysznic w łazience. Był tam, chociaż go nie było; był częścią otaczającej go rzeczywistości, lecz czuł się od niej dziwnie oderwany. Unosił się na falach morza nierealności, choć jednocześnie nie było nic bardziej realnego. Słuchał szumu wody, odgłosów otwierania i zamykania kabiny. Tally weszła do pokoju ubrana w szlafrok i usiadła obok niego. Miała mokre włosy, więc wytarł je ręcznikiem, a potem przeciągnął po nich grzebieniem. Odwróciła ku niemu twarz i powiedziała:

— To takie niesprawiedliwe.

Pokiwał głową. Wszystkie słowa, które przychodziły mu na myśl, wydawały się nieodpowiednie. Co powiedzieć

nastoletniej córce, która właśnie straciła matkę? Jak jej wyjaśnić, że życie musi toczyć się dalej, skoro sam w to nie wierzysz? Jak myśleć pozytywnie, gdy każda cząstka twojego ciała krzyczy z bólu i rozpacz? Próbował nadać jakiś sens tej chwili, powiedzieć coś właściwego, nie wpadając przy tym w sentymentalizm lub zbytnią obojętność. Przez cały czas usiłował zrozumieć, co się stało, nie był jednak w stanie tego pojąć. Chodziło przecież o Pippe; o Pippe, która była młodsza od niego. A wady serca dotyczą starszych ludzi, prawda? Poczul, że ogarnia go panika, i musiał stłumić nedorzeczny śmiech, który nagle chwycił go za gardło. Pragnął być silny. Pragnął być dla Tally najlepszym oparciem, jakie tylko mogłaby mieć, ale jednocześnie chciało mu się krzyczeć: „Nie! To niesprawiedliwe! Potrzebuję jej!”.

Siedział przy córce, dopóki światło dnia nie zaczęło przygasać, a potem przyniósł jej filiżankę herbaty. Postawił ją na nocnym stoliku, żeby ostygła. W końcu Tally zasnęła. Przez chwilę słuchał, jak oddycha spokojnie i równomiernie, po czym wstał i cicho wyszedł z pokoju. Przeszedł korytarzem i otworzył drzwi do sypialni, którą dzielił z Pippą. Łóżko było zasłane, okna zamknięte, ale pachniało tak samo jak zawsze — zapach świeżej pościeli mieszał się z lekkim aromatem jej perfum. Poczul, że pieką go oczy, i otworzył okno. Usłyszał głos kosa, śpiewającego swoją wieczorną piosenkę.

Spojrzał na stolik stojący przy łóżku po stronie Pippy i zobaczył na nim złożony kawałek papieru, który tam zostawiła. Wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym wziął go do ręki i rozwinął. Był to rachunek za jego jasnyniebieski garnitur. Zacisnął palce i zgniótł go. Potem usiadł na krawędzi łóżka i zapłakał.

Następne dni minęły niczym rozmazana, zamglona halucynacja. Miejscowy wikary był uprzejmy, właściciel zakładu pogrzebowego praktyczny, a okoliczni mieszkańcy tak po-

mocni, jak się spodziewał, chociaż on pragnął jedynie samotności.

Zadzwoił do Janie, która najpierw wydawała się zła, a potem nie chciała mu uwierzyć. Gdy oddzwoniła, oświadczyła, że przyjeżdża, i za nic w świecie nie chciała zmienić zdania. Przypomniała Tomowi, że jest matka chrzestną Taiły i jej miejsce jest teraz przy niej. W pewnym sensie był z tego zadowolony; może niefrasobliwe usposobienie Janie pomoże im przez to przejść. Bardzo martwił się o córkę, która jeszcze bardziej zamknęła się w sobie i nie była w stanie nawet płakać. Martwił się o wszystko, nawet o restaurację.

Peter był zdruzgotany wiadomością o śmierci Pippy, ale wspierał Toma i przekonywał go, że nie jest potrzebny w restauracji. Mówił mu, że lepiej będzie, jeśli pozostanie w domu, gdzie może zrobić najwięcej dobrego. Rachel nie zadzwoniła i Tom bardzo się z tego cieszył. Spotkanie z nią było teraz ostatnią rzeczą, jakiej pragnął.

Dwa dni po ich powrocie przyjechała Janie. Tom przywitał ją w progu i ku swojemu zdziwieniu od razu się rozplakał. Szlochali oboje, co również zaskoczyło Janie. Szybko się jednak pozbierała i zapytała:

— Gdzie będę spała?

Tom wytarł nos w wielką pogniecioną czerwono-białą chustkę.

— Dodatkowa sypialnia jest na końcu korytarza.

— Jedliście coś? — spytała, taszcząc swoją walizkę do holu.

Tom włożył chustkę do kieszeni i wziął od niej walizkę.

— Od śniadania nic — odparł i z trudem zaczął wchodzić po schodach. — Co ty tam masz? Zwłoki? — zapytał i w tym momencie zdał sobie sprawę z tego, co powiedział.

— Roześmiałabym się, gdybym była tobą — mruknęła Janie. — Ale nie zacznij znowu płakać. — Wytarła łzy wierzchem dłoni. — Masz jakieś chusteczki?

- Są w łazience.
- A gdzie jest Tal?
- Chyba w ogrodzie.

Janie doprowadziła się do porządku, a potem przeszła przez dom i wyszła tylnymi drzwiami. Było ciepłe popołudnie, pochmurne i duszne. W wilgotnym powietrzu unosił się zapach ziół. Po chwili Janie zobaczyła Tally, która siedziała na drewnianej ławce w dalszym końcu ogrodu, tuż przy białym ulu. Gdy podeszła bliżej, ujrzała nieprzytomny wyraz twarzy dziewczyny.

— Cześć — powiedziała i pocałowała ją w czubek głowy. — W porządku?

Tally przytuliła się mocno do Janie.

— Tak sobie.

— Co za kompletny bezsens... Tally pokiwała głową.

— Och, kochanie, i co my teraz z tobą zrobimy? Tally odsunęła się od Janie.

— Wiedziałaś? — zapytała.

— O czym?

— Że mama miała słabe serce.

— Nie.

— Ja też nie. Ani tata.

Tally usiadła na ławce; wśród bzów i mięty bzycały pszczoły.

— Kilka razy ją bolało i czasami coś zakłuło, ale mówiła wtedy, że jest po prostu zmęczona. — Tally spojrzała na Janie. — Pewnie trzeba było coś z tym zrobić. A może się bała?

— Nie sądzę, żeby twoja mama bała się czegokolwiek.

— Nawet śmierci?

Janie była zaskoczona bezpośredniością tego pytania.

— Przypuszczam, że wszyscy boimy się śmierci, tylko nie jesteśmy na tyle szczerzy, by się do tego przyznać.

— Może lepiej nie wiedzieć, kiedy nadejdzie.

— Może. — Janie usiadła obok Tally. — Wiesz, miałam przyjaciół, którzy powoli umierali na raka, i takich, którzy umarli szybko na atak serca. Jeśli śmierć nadchodzi powoli, masz szansę się pożegnać, ale wtedy jeszcze trudniej ci to wszystko znieść. Ciężko patrzeć, jak twój przyjaciel cierpi. A jeśli śmierć przychodzi bez ostrzeżenia, czujesz się okradziona, oszukana, zła.

Tally pokiwała głową.

— I samotna — dodała.

— Tak. Zawsze. Ale wtedy pocieszasz się, że przynajmniej nie cierpiał.

— Mam nadzieję, że nie.

Janie pogłaskała Tally po ramieniu.

— Dajesz sobie radę?

— Nie bardzo.

— Trzeba przebrnąć jakoś przez jutrzejszy dzień. Boże! Nienawidzę pogrzebów, a ty?

— Nigdy nie byłam na żadnym.

Janie uświadomiła sobie niestosowność swojego stwierdzenia i powiedziała:

— Słuchaj, przez następne kilka dni będę mówić głupoty, bo w takich sprawach jestem zupełnie do niczego, rozumiesz? Ale zrobię wszystko, co będę mogła. Kochałam twoją mamę... Była moją najlepszą przyjaciółką i nie wiem, jak sobie bez niej poradzę. To samo dotyczy twojego taty. Obie musimy się nim zaopiekować.

Oczy Tally wypełniły się łzami. Przygryzła wargę, żeby się opanować.

— Wiem, że dokuczałam twojemu tacie, i wiem, że on uważa mnie za cyniczną starą krowę, ale wiem również, że mnie kocha, a ja kocham jego. On jest kimś wyjątkowym, jest też bardzo dobrym człowiekiem. Niektórzy ludzie, tacy jak ja, udają, że nie ma na świecie czegoś takiego jak dobry człowiek. Pokaż mi dobrego człowieka, a ja ci udowodnię, że to drań. Ale twój tata nie jest draniem. On jest gwiaz-

da. — Janie pociągnęła nosem, tłumiąc łzy. — Pamiętasz ten wieczór przed waszym wyjazdem, gdy jedliśmy kolację, a ja dokuczałam twoim rodzicom, że nigdy się nie kłóca?

Tally przytaknęła.

— Zrobiłam to po prostu z zazdrości.

— Nie — zaprotestowała Tally.

— Och, oni wiedzieli, że to żart. Wiedzieli, że to tylko zazdrość. — Janie spojrzała Tally prosto w oczy. — A teraz muszę się wami zająć, bo gdybym tego nie zrobiła, twoja mama nigdy by mi nie wybaczyła.

Nadszedł dzień pogrzebu. Świeciło słońce, śpiewały ptaki, a lekki wietrzyk szeleścił w liściach jaworu, który stał za oknem. Tally włożyła długą czarną spódnicę i zakiet i spięła włosy. Janie zapukała cicho do jej drzwi.

— W porządku? Tally pokiwała głową.

— Wyglądasz... przepięknie.

Kiedy Tom wyszedł z sypialni, dwie kobiety spojrzały na niego. Przez kilka chwil stali i patrzyli na siebie w milczeniu, a potem zeszli na dół, gdzie już czekał karawan. Ujrzeni morrisa minora, w którym siedziała Maisie ubrana w kostium z czarnego szyfonu. Na głowie miała przepaskę z tafty. Wsiedli do wielkiej czarnej limuzyny, która ruszyła przed domu z cichym warkotem. Jechali powoli, a Tally przyciskała ręce do piersi, nie spuszczać wzroku z trumny z jasnego dębu, ozdobionej pojedynczą wiązaną z kwiatów i ziół, którą zrobiła rano razem z ojcem.

Podróż do katedry nie trwała nawet dziesięciu minut. Gdy pracownicy zakładu pogrzebowego wzięli na ramiona trumnę, Janie usunęła się na bok, by Tally i jej ojciec mogli iść tuż obok nich. Kiedy szli ścieżką w stronę starego normandzkiego łuku, Tally usłyszała trzepot skrzydeł. Spojrzała

w górę i zobaczyła stado gołębi, które krążyły wokół wieży. Słońce sprawiało, że ich pióra były oślepiająco białe. Ptaki okrążyły wieżę dwa razy, a potem odleciały w kierunku morza.

Zaśpiewali *Praise My Soul the King of Heaven* i *Love Divine*. Wikary powiedział kilka miłych słów, którym brakowało przekonania. A potem Janie wstała i podeszła do mównicy.

Tom ścisnął rękę Tally. Janie nic nie wspominała o przemówieniu, ale wikary uśmiechnął się do niej i usiadł, a ona zajęła miejsce za ogromnym pulpitem w kształcie złotego orła. Wyjęła kartkę papieru i spoglądając na nią od czasu do czasu, zaczęła mówić:

— Ciężko myśleć o tej uroczystości jako o nabożeństwie za duszę, ponieważ była to dusza, którą chcielibyśmy wysławiać bez końca — my wszyscy, którzy znaliśmy i kochaliśmy Pippę. Myśleliśmy, że zawsze będzie z nami, bo zawsze była przy nas, gdy jej potrzebowaliśmy. Poznałam ją w szkole gastronomicznej i początkowo byłam wobec niej podejrzliwa i nieufna. Była wesoła, otwarta i dobra w tych wszystkich rzeczach, w których ja nie byłam, czyli w gotowaniu, hodowli roślin i zawieraniu przyjaźni. Dowiodła tego, stając się najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam.

Zamilkła na chwilę, a potem zaczęła mówić dalej:

— Była również wspaniała w małżeństwie, w które nie wierzyłam. Widziałam tyle nieudanych związków, że dałam sobie z tym spokój na całe życie. Ale Tom i Pippa Drum-mondowie byli najwspanialszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek poznałam. Byłam z Pippą, gdy poznała Toma. Nie mogła przestać o nim mówić. Pippa Drew, dziewczyna, którą tak trudno było zadowolić, gdy chodziło o mężczyzn... Żartowałyśmy, że mężczyzna musi przejść sprawdzian medyczny i test na inteligencję, zanim w ogóle się z nim umówi. Próbowалаm jej wmówić, że Tom jest zbyt dobry, by był

prawdziwy, ale ona tylko się uśmiechała. Powiedziałam jej, żeby poczekała, że to głupie tak się zakochiwać, że tylko będzie cierpiała. I wiecie, co powiedziała? „Nie mam wyboru”. Kiedy poznała Toma, stała się inną osobą. Wydawała się spokojniejsza, bardziej spełniona. Kiedyś wyklócała się jak szalona, że czarne jest białe, a gdy zjawił się Tom, już tego nie potrzebowała.

Nie przepadam za dziećmi. Są hałaśliwe, zadają głupie pytania, pluja jedzeniem i piciem na twoje ubranie. I wtedy pojawiła się Tally. Któregoś dnia zwymiotowała na mnie, ale jej wybaczyłam. Tak samo wybaczyłam Pippie, że uczyniła mnie jej matką chrzestną, gdy tylko odkryłam, jaka Tally jest zabawna. Zupełnie tak samo jak jej mama.

Mogliśmy pomyśleć, że Pippa odeszła, ale to nieprawda. Nadal jest tutaj — w naszych wspomnieniach i sercach, i będzie żyła tak długo, dopóki będzie częścią nas. — Głos Janie załamał się. — Mam nadzieję, że nadal potrafię się na nią rozzłościć, ponieważ dzięki temu pozostanie realna. Pippa przez całe życie podkopywała moją pewność siebie. Ale to było dla mnie dobre, bo dowodziło, że nie zawsze mam rację. A odkrycie, że nie zawsze masz rację, przypomina ci, że musisz się jeszcze wiele nauczyć. Wiem jednak, że w pewnej szczególnej kwestii to ja miałam rację, a Pippa się myliła. Zawsze uważała, że jest po prostu zwyczajną osobą, a ja wiem, że to nieprawda. Była najmiłszą, najzabawniejszą i najukochańszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam. I tak samo jak Tom i Tally, będę bardzo za nią tęsknić.

Janie włożyła kartkę do kieszeni i usiadła na swoim miejscu. W katedrze zapadła cisza. A potem z głośników dobiegł cichy dźwięk gitary, który po chwili przybrał na sile, i Temptations zaczęli śpiewać *Night and Day*. Tally i Tom wyszli za trumną w bezchmurny, słoneczny dzień. Po ich policzkach płynęły łzy.

Na schodach katedry dwie oburzone starsze panie szeptały do siebie z dezaprobatą:

— Ach, to nowoczesne pokolenie! Żadnego szacunku. Żadnych manier. Też pomysł, żeby mąż włożył jasnoniebieski garnitur na pogrzeb swojej żony!

Rozdział 13

Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty mojego życia, pomyślał Tom, a potem usiadł i wyjrzał przez okno. Poczłł ściskanie w żołądku i zadumał się nad absurdalnością tego stwierdzenia. A jeśli tego nie chcesz? A jeśli masz wszystkiego dość i masz w nosie resztę swojego życia?

— Masz zamiar to skończyć czy nie? — zapytała Janie. Stała w drzwiach kuchni, trzymając w ręce talerz z tostami.

— Nie, dziękuję. Podeszła do niego bliżej.

— Powinieneś jeść, wiesz o tym. Musisz być silny. Spojrzał jej prosto w oczy.

Westchnęła.

— Tak, w porządku, rozumiem.

Wróciła z powrotem do kuchni i po chwili usłyszał brzęk zmywanych naczyń. Chciał się poruszyć. Nie. Nie chciał się poruszyć. Po co?

Janie spojrzała przez ramię na Toma opartego o okienną ramę. Jej własny smutek gdzieś się ulotnił, najważniejsza była troska o niego i jego córkę. Popatrzyła na zegarek. Za piętnaście jedenasta. Tally jeszcze się nie pojawiła, czemu trudno było się dziwić, biorąc pod uwagę wydarzenia po-

przedniego dnia. Jeśli pierwszym pogrzebem, w którym uczestniczy dziecko, jest pogrzeb jego matki, pozostawienie go w łóżku przez następne trzy dni na pewno nie jest czymś niedorzecznym. Janie zostawiła naczynia i weszła na górę. Zapukała do sypialni Tally. Żadnej odpowiedzi. Zastukała raz jeszcze. Odpowiedziało jej ciche mruczenie. Otworzyła drzwi i weszła do środka. W półmroku zobaczyła zarys drobnej sylwetki przykrytej kołdrą. Rozsunęła zasłony i wpuściła do pokoju falę światła.

Spod kołdry wysunęła się rozczochrana głowa.

— Która godzina?

— Chyba już czas wstawać.

— Och...

Janie przysiadła na łóżku.

— Jeśli oczywiście chcesz.

— Chyba nie.

— Mmm... Mogłybyśmy wybrać się na przejażdżkę. Zmieniłabyś otoczenie.

— Nie mam ochoty zmieniać otoczenia.

— Wolisz zostać tutaj i gnić?

— Nie gnić, tylko spać.

— No nie, chyba już tego za dużo.

— Czego? Spania?

— Nie. Zagładania do swojego wnętrza. Tally westchnęła.

— Tak mi ciężko.

— Wiem.

— Nie mogę w to uwierzyć, naprawdę. Ciągle myślę o rzeczach, które chcę jej powiedzieć. Dzisiaj rano niemal wyskoczyłam z łóżka, żeby pójść do niej. A potem przypomniałam sobie. To straszne — wymamrotała Tally.

— A popłakałaś sobie porządnie?

— Tylko w kościele, kiedy usłyszałam tę piosenkę. To była ich ulubiona. Chyba już nigdy nie będę chciała jej usłyszeć.

— Pewnego dnia zechcesz.

— Skąd wiesz?

— Ponieważ straciłam tatę, gdy miałam dwadzieścia lat. Byłam starsza od ciebie, ale było mi tak samo ciężko. Był cudowny.

— Płakałaś?

— Całymi wiadrami.

— Więc dlaczego ja nie mogę? To niedobrze. Pewnie jestem okropna.

— Nie pleć głupstw. Każdy reaguje inaczej. Niektórzy nie mogą przestać płakać, a inni zamykają się w sobie. Fakt, że nie potrafisz tego uzewnętrznić, nie czyni z ciebie kogoś gorszego. To po prostu twój sposób przechodzenia przez to wszystko.

— A co myśli tata?

— Nadal jest w szoku. Jeszcze nie wie, co myśleć.

— I właśnie dlatego muszę być silna.

Janie odgarnęła niesforny kosmyk włosów z twarzy Tally.

— Kochanie, nie bierz na swoje barki wszystkich zmartwień tego świata.

— Muszę być silna dla taty. On tego potrzebuje. Przecież widzisz, w jakim jest stanie.

— Wiem. Dobrze, że się o niego martwisz, ale masz również prawo do własnych uczuć.

— A co będzie, jeśli on sobie nie poradzi?

— W końcu da sobie radę. Musi po prostu jakoś przez to przebrnąć.

— Ale bez mamy będzie zupełnie bezradny.

— Nadal ma ciebie.

— Właśnie. I dlatego nie mogę go zawieść.

Janie wstała, zdjęła ręcznik z kaloryfera i rzuciła go Tally.

— Wstawaj. Weź prysznic i zejdź na śniadanie. Jest sok, herbata, wszystko, na co masz ochotę.

Tally patrzyła, jak Janie wychodzi, i czuła lekką irytację z powodu jej obecności. To mama powinna ją poganiać, nie

ona. Potem zanurzyła twarz w dłoniach i upomniała samą siebie za tak nieprzyjemne myśli.

Tom powlókł się schodami na górę i w lustrze na korytarzu dostrzegł odbicie swojej twarzy — była blada, nieogolona, posępna, wymizerowana. Ta twarz była odzwierciedleniem stanu jego duszy. Odwrócił się i wszedł do swojego gabinetu. Usiadł i zaczął patrzeć przez okno na Brindle Hill. Przypomniawszy sobie piknik i Pippe, usiłującą dotrzymać mu kroku, zmuszoną do ciągłego zatrzymywania się dla złapania oddechu. Czy to naprawdę był 'tylko zwykły brak tchu? A może wiedziała, że to coś gorszego? Już nigdy się tego nie dowie.

Spojrzał na teczkę, w której była jego książka. Wziął ją do ręki i odłożył do szuflady. *Wywołując fale*. Jaki patetyczny, głupi tytuł. Kiedyś myślał, że jest dowcipny. Ale teraz już nie. Znowu wyjrzał przez okno.

Wczesnym popołudniem zajrzała do niego Janie.

— Tom?

Nie odpowiedział, nadal patrzył w przestrzeń.

— Tom! — Janie położyła dłoń na jego ramieniu. Oderwał wzrok od okna.

— Tak?

— Jadę do domu.

Wydawało się, że nie usłyszał tego, co powiedziała. Po chwili wrócił do rzeczywistości.

— Tak. Przepraszam. Co takiego?

— Wyglądasz okropnie — stwierdziła.

— Wiem — przyznał.

— Słuchaj, zastanawiałam się nad tym. Prawdopodobnie będzie lepiej, jeśli wrócę do domu i pozwolę wam dojść do siebie.

Pokiwał głową.

— Zostałabym, ale naprawdę wydaje mi się, że niepotrzebnie się wtrącam.

Żadnej reakcji.

— Ale musisz obiecać mi, że będziesz jadł i zmusisz do jedzenia również Tally.

Znowu pokiwał głową.

— Tak. Oczywiście. Musisz jechać. Masz swoje sprawy.

— Nie dlatego wyjeżdżam — powiedziała Janie. Miała nadzieję, że Tom zrozumie motywy jej postępowania. — Uważam, że powinniście zostać we dwoje i wzajemnie sobie pomóc. Nie chcę się wtrącać.

— Nie wtrącasz się — mruknął Tom. — Bardzo nam pomagasz. Nie poradzilibyśmy sobie bez ciebie.

— Jesteś bardzo miły, ale zrobiłam już wszystko, co mogłam. Słuchaj, jeśli będziecie mnie potrzebować, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Ta zbzikowana stara wrona, Maisie, mówi, że nie spuści z was oka. Musisz zadzwonić do mnie, gdybyście czegoś potrzebowali. W porządku?

— Tak, oczywiście — odparł, a potem dodał: — Przepraszam cię za to wszystko. Za mnie... To po prostu... Cóż... nie potrafię sobie z tym poradzić.

Nadal siedział na krześle, ale odwrócił twarz w kierunku Janie i nagle zaczął się trząść. Pomogła mu wstać i położyła dłonie na jego ramionach. Po twarzy Toma płynęły łzy. Musiała użyć całej swojej siły, by utrzymać go, gdy wyrzucał z siebie pełne rozpacz słowa:

— Och, Janie, co ja zrobię? Co ja zrobię?—Z trudem łapał oddech, jakby zupełnie stracił panowanie nad swoim ciałem.

— Uspokój się, już dobrze, już dobrze — powiedziała, próbując dotrzeć do świadomości Toma i jednocześnie dodać sobie pewności.

— Nie potrafię bez niej żyć. Nie chcę.

— Nie, Tom! Daj spokój!

— Dlaczego to musiała być ona? Dlaczego nie ja?

— Nie myśl w ten sposób.

Po jego policzkach płynęły łzy, głos mu się łamał i kapało mu z nosa.

— To niesprawiedliwe. To kurewsko niesprawiedliwe — wyszłochał.

Musiała trzymać go mocno, bo w tym momencie opuściły go wszystkie siły i zapłakał bolesnymi łzami załamane go, zrozpaczonego człowieka.

Następnego ranka Tom i Tally pomachali jej na pożegnanie. Obserwowała, jak robią się coraz mniejsi w lusterku jej samochodu, i zastanawiała się, czy nie powinna zostać z nimi. Ale Tom obiecał, że zadzwoni, jeśli będzie jej potrzebował. Zostawiła też Tally numer swojego telefonu komórkowego, nalegając, by dzwoniła, gdy tylko będzie chciała porozmawiać.

Patrzyli, jak zabłocony golf oddala się coraz bardziej, a potem znika z pola widzenia. Tally odezwała się pierwsza:

— Co dzisiaj robisz?

Tom był zaskoczony tym pytaniem.

— Nie wiem — odparł.

— Pójdziemy gdzieś? Tylko ty i ja? — zapytała Tally i w tym momencie zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała. — To znaczy...

Przerwał jej w pół zdania.

— A dokąd chcesz pójść?

— Nie wiem.

— A wiesz, co ja myślę?

— Co?

— Myślę, że powinnaś zadzwonić do Emmy i umówić się nią.

— Ale ona jest w szkole.

— Dzisiaj sobota.

— Tak? Straciłam poczucie czasu. Tom poklepał córkę po ramieniu.

— Ja też.

— Nie jestem pewna, czy będę w stanie się z nią teraz spotkać.

— Musisz to kiedyś zrobić.

— Wiem. Ale może jej nie będzie.

— Nie przekonasz się o tym, dopóki nie spróbujesz. Tally spojrzała na ojca.

— Dobrze, ale tylko pod warunkiem, że dasz sobie radę. Jesteś tego pewien?

Tom uśmiechnął się do niej uspokajająco.

— Jestem pewien. Nie wracaj zbyt późno, to wszystko.

— Nie martw się. Wrócę, żeby utulić cię do snu.

— Lepiej znowu ze mną nie zaczynaj. Wspięła się na palce i pocałowała go.

— Wiesz, ty naprawdę jesteś najlepszym tatą na świecie. Obiecał sobie, że nie będzie więcej płakał. Był już bardzo zmęczony.

Siedziały przy kuchennym stole w domu Emmy. Emma słuchała relacji przyjaciółki z wydarzeń ostatniego tygodnia. Była zaskoczona jej spokojem, w końcu jednak Tally często ją zaskakiwała. Od czasu do czasu ścisła jej dłoń, ale przede wszystkim siedziała w milczeniu i słuchała.

— Jak się czuje twój tata?

— Niezbyt dobrze. Nie wiem, co z nim zrobić, a on nie wie, co zrobić ze sobą.

— Wrócił do pracy?

— Jeszcze nie. Nie sędzę, żeby był przygotowany na spotkanie z innymi ludźmi.

— Potrzebuje prawdopodobnie trochę czasu.

— Tak. Ale przecież musi coś robić.

— Pewnie martwi się o ciebie.

— Wiem, a ja martwię się o niego.

— Nie możesz brać wszystkiego na siebie.

— Ale on mnie potrzebuje. Jest w strasznym stanie.

— A co z tobą? Jak się czujesz? Tally miała zakłopotaną minę.

— Nie wiem. Jestem smutna. Bardzo smutna. Ale nie mogę... dopuścić... pozwolić, żeby tata... — nie dokończyła zdania.

Emma położyła dłoń na jej ramieniu.

— To nie jest dobry pomysł. Tally skrzywiła się.

— Brakuje mi teraz dobrych pomysłów.

— Może mogłybyśmy wyjechać na kilka dni?

Tally wstała od stołu i podeszła do okna, które wychodziło na ogródek mamy Emmy, w którym nie było zbyt wiele do oglądania.

— Nie mogę go jeszcze zostawić samego.

— Nie, chyba nie...

— Nie chcę niczego planować.

— Nie.

Emma podjęła ostatni wysiłek.

— Ale będziesz wychodzić?

— Jasne.

— A co... no wiesz... z nim?

— Teraz nie jestem w stanie o tym myśleć.

— Zamierzasz się z nim znowu zobaczyć? Tally nie odpowiedziała.

— Chcesz się z nim znowu spotkać? Milczenie.

— Myślałam tylko, że jesteście... Jasnoniebieskie oczy Tally zapłonęły.

— Nie, nie sędzę. A poza tym i tak nie zadzwonił.

Rozdział 14

Rachel Jago była zdenerwowana i rozdrażniona. Uświadomiła sobie, że śmierć Pippy usunęła wprawdzie jedną przeszkodę z drogi, ale mogła postawić następną. Było mało prawdopodobne, żeby pogrążony w rozpacz Tom znalazł zrozumienie dla jej pomysłu. A co więcej, Peter był teraz zajęty zupełnie innymi myślami, głównie ze względu na szacunek dla uczuć Toma. To było zresztą dla niego bardzo typowe — stchórzyć w momencie, gdy zaszli tak daleko.

Moglibyście podejrzewać, że Rachel jest bezwzględną egoistką. I nie pomyliliście się: pod tym względem plasowała się na zaszczytnym pierwszym miejscu.

Podczas nieobecności Toma i Pippy — a było to całe pięć dni — nie próżnowała. Postanowiła, że dom z czasów króla Jerzego będzie siedzibą Jej" nowej restauracji, i puściła już w ruch tryby maszyny związanej z jego zakupem. Inspektor budowlany obejrzał posiadłość i zadzwonił, zanim jeszcze nadszedł jego raport. Powiedział, że z wyjątkiem kilku problemów związanych z wiekiem budynku wszystko wygląda wspaniale.

Opierając się na jego ocenie, Rachel udała się do administracji i zaczęła przymilać się do właściciela — swojej dawnej sympatii — by zgodził się na zastaw hipoteczny, „podlegający zwyczajowym warunkom reasekuracji”. Nie bardzo

wiedziała, co ma przez to rozumieć. Nadal była przekonana, że gdyby wyniknęły jakieś problemy, jej stary przyjaciel znajdzie rozwiązanie.

Ale pozostawał jeszcze Tom. Jak obejść ten mały problem? Wiedziała, że musi sprawiać wrażenie miłej i delikatnej. Postanowiła, że urządzi przyjęcie dla kilku przyjaciół oraz Toma. I wtedy mimochodem przemyci to do rozmowy przy kawie, a w obecności innych osób Tom nie będzie mógł się kłócić. Proszę bardzo. Problem rozwiązany.

Czasem brak wrażliwości i nieczułość potrafią zapewnić człowiekowi fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

— Chyba oszalałeś, że chcesz tam iść.

— Też tak sędzę.

— To obrzydliwa stara krowa i nie mogę zrozumieć, dlaczego cię zaprosiła.

— Dzięki... — mruknął Tom, poprawiając krawat przed lustrem na korytarzu.

— Wiesz, co mam na myśli.

— Tak, wiem. Ale przez ostatni tydzień byli dla mnie bardzo dobrzy i sami dawali sobie radę w „Pelicanie”.

— To nie ona sobie radziła, tylko Peter. Wspomnienie spotkania w herbaciarni w Axbury było

jeszcze świeże w pamięci Tally. Pamiętała dokładnie, co czuła, gdy Rachel szydziła z ich zakupów. Z zakupów jej matki.

— W każdym razie i tak nigdy nie będziesz do nich pasował. Wiesz, że tylko się zawiedziesz.

Tom odwrócił się od lustra i uśmiechnął do córki. Zobaczyła zmęczenie na jego twarzy.

— Ale przynajmniej wyrwę się z domu.

Tally strzepnęła odrobinę kurzu z rękawa jego marynarki.

— Nie możesz być aż taki zdesperowany.

— Sama w to nie wierzysz.

— Dziękuję ci bardzo. Tom pogłaskał ją po głowie.

— Wiesz, co mam na myśli.

— Nie jestem pewna.

— Po prostu wydaje mi się, że powinienem przynajmniej pójść i podziękować. Tak samo nie znoszę Rachel jak i ty, ale jeśli pójdę do nich dzisiaj, nie będę musiał chodzić tam przez jakiś czas. Mam nadzieję, że długi.

— Cóż... bądź ostrożny. Ona zjada facetów na śniadanie. Tom zmrużył oczy.

— Mnie nie zje.

— No to przekonaj się, czy to prawda. I nie wracaj późno — odparła Tally.

— Dzięki.

— Za co?

— Za nic. Po prostu ci dziękuję.

Kiedy jechał drogą, pod ciężką zasłoną smutku zaświtała iskierka dumy.

Pół godziny po wyjeździe Toma ktoś zadzwonił do drzwi. Tally zeszła na dół i przez szklane kasetony zobaczyła cień czyjejś postaci. Otworzyła drzwi. Blip Butterly uśmiechnął się nerwowo i podał jej wiązankę ogrodowych kwiatów.

— Zerwałem je koło mojego domu. Chciałem tylko powiedzieć... no wiesz.

Tally wzięła od niego bukiet ostróżek i nagietków.

— Dziękuję. — Wahała się przez chwilę, a potem pocałowała go w policzek i otworzyła szerzej drzwi, zapraszając chłopaka do środka.

Blip przestąpił z nogi na nogę i wcisnął ręce głęboko do kieszeni dzinsów. Miał na sobie świeżą białą koszulę. Najwyraźniej dołożył wszelkich starań, by dobrze wyglądać.

Poszedł za nią do kuchni i usiadł przy stole, a Tally włożyła kwiaty do wody.

— Napijesz się piwa?

— Tak, dzięki.

Wyjęła z lodówki dwa budweisery, otworzyła je i pchnęła jedną butelkę w stronę Blipa, po czym usiadła naprzeciw niego.

— Zdrowie.

— Zdrowie.

Przez chwilę siedzieli w niezręcznym milczeniu, a potem chłopak powiedział:

— Słuchaj, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, no wiesz, porozmawiać albo coś...

— Dziękuję.

— Po prostu... nie jestem zbyt dobry w takich sprawach.

— W porządku. Nikt nie jest. Ja też nie.

— Chcesz o tym porozmawiać?

— Wydaje mi się, że nie robię nic innego.

— I pomaga?

— Nie bardzo. — Tally pociągnęła łyk piwa ze swojej butelki.

Blip poszedł w jej ślady, a potem wytarł palcem kroplę piwa, która spadła na stół.

— Słuchaj, mam wrażenie, że nie chcesz zawracać sobie tym głowy.

— Czym? — zapytała i spojrzała na Blipa.

— Tym... no wiesz, związkami. Tally wyglądała na zaskoczoną.

— Jak możesz tak mówić?

— Ponieważ mnie unikasz.

— Mam teraz inne sprawy na głowie — przypomniała mu.

— Wiem. Ale tak było już przedtem, prawda? Tally wstała od stołu.

— Jak możesz poruszać teraz taki temat?

— Nie chciałem. Próbowałem tego nie robić, ale po prostu chcę wiedzieć, czy nie tracę niepotrzebnie czasu.

— A jak myślisz?

— Cóż, w tej chwili... nie chcę... Tally rozzłościła się.

— Nie, sam zacząłeś o tym mówić i odpowiedź brzmi „tak”. Sądzę, że tracisz czas.

Blip spojrział na nią. Nie chciał, żeby tak wyszło, lecz Tally zmusiła go do tego i teraz była zdenerwowana. Bardziej zdenerwowana niż kiedykolwiek przedtem. Nigdy jej takiej nie widział.

— Chyba już pójdę.

— Właśnie. Idź. I niczym się nie przejmuj. Blip wyglądał na przygnębionego.

— Ja nie...

— Tak. Ty nie i inni też nie... — Tally odwróciła się i wyjrzała przez okno, z trudem powstrzymując łzy.

Blip stanął za nią i położył ręce na jej ramionach. Spojrzała mu w twarz, a potem oparła się bezwładnie o niego i wybuchnęła płaczem.

— Przepraszam. To po prostu... Nie mogę...

Głaskał ją po głowie, rozpaczliwie próbując znaleźć odpowiednie słowa, bezskutecznie jednak. W końcu łzy przestały płynąć i Tally pociągnęła nosem.

— Nie chciałeś tego powiedzieć, prawda? Blip uśmiechnął się.

— To bez znaczenia.

— Przepraszam. Za długo to w sobie tłumiłam. Opiekowałam się tatą i próbowałam dojść do ładu ze sobą.

— Pewnie bardzo za nią tęsknisz. Tally otarła łzy wierzchem dłoni.

— Najbardziej brakuje mi tych wszystkich głupich drobiazgów. Zakupów, herbaty na stole, zamieszania w domu i tego, że rzeczy nie znikają z tych miejsc, w których je położę.

— Wiem.

Tally spojrzała na Blipa.

— Och, przepraszam. Zapomniałam.

Chłopak uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Brudny strój do piłki nożnej, brak mleka, nieposłane łóżko...

— Ile to już czasu?

— Trzy lata.

— I jest lepiej?

— Odrobinę. Uczysz się, jak... żyć dalej.

— Tak mi przykro. Nie chciałam...

— Wiem, w porządku. Nie jesteś w stanie zastanawiać się nad czymś, dopóki to się nie zdarzy.

— Nie. Ale dziękuję, że mnie wysłuchałeś. I za to, że wpadłeś.

— OK. Słuchaj, gdybyś zmieniła zdanie albo potrzebowała... no wiesz... przyjaciela, albo po prostu pogadać, daj mi znać.

— Na pewno.

Blip spojrzał na butelkę piwa stojącą na stole, a potem znowu na Tally.

— Pójdę już — powiedział i ruszył w stronę drzwi. — Będzie lepiej, zobaczysz. Jestem tego żywym dowodem.

Wzruszyła ją ta próba żartu. To był ten sam Blip, który zawsze wydawał się taki poważny i zasadniczy.

Chłopak cicho zamknął za sobą drzwi.

Tally obserwowała, jak idzie ścieżką, skręca za rogiem, a potem znika. Przepęłniła ją mieszanina poczucia winy i ulgi; winy — bo zapomniała, że matka Blipa nie żyje, a ulgi — ponieważ wydawało jej się, że wybuch gniewu zdjął odrobinę ciężaru z jej ramion. Musiała żyć dalej i jakoś sobie radzić. Wzięła butelki ze stołu, wylała ich zawartość do zlewu i wyrzuciła je do kosza. Potem poszła na górę i położyła się do łóżka.

Gdy Rachel otworzyła drzwi, Tom zeszczywniał. — Tom... kochanie. Jak cudownie cię widzieć. — Ucałowała powietrze na wysokości jego policzków, po czym objęła

go ramionami i uściskała. Tom wolałby znaleźć się raczej w splotach boa dusiciela. Rachel zaprowadziła go do salonu eleganckiej miejskiej rezydencji: wszędzie były dębowe podłogi, lniane zasłony, poduszki poukładane na sofach z wielką precyzją i ściany pomalowane farbą w kolorze owsianki.

Reszta towarzystwa — sześć osób — przyszła wcześniej, zgodnie z instrukcjami Rachel, jak się domyślał. Powitali go stłumionymi głosami, kiwając ze współczuciem głowami.

Peter uściskał go po męsku, podał kieliszek szampana i zapytał:

— W porządku, stary?

Tom dokładał wszelkich starań, by sprawiać wrażenie wesołego.

Cichą rozmowę przerwał donośny głos Rachel:

— Słuchajcie, dzisiaj wieczorem nie będziemy się smucić. Tom przyszedł do nas, żeby się rozweselić, a my jesteśmy tu po to, żeby mu pomóc. Wypijmy więc za Pippe. Wszyscy będziemy za nią bardzo tęsknić. A także za Toma i Tally. Jeśli będą nas potrzebować, zawsze mogą na nas liczyć. — Wzniosła toast, któremu towarzyszył akompaniament uprzejmych pomruków.

Tom wmieszał się w towarzystwo. Nikogo właściwie nie znał. Wszyscy byli przyjaciółmi Rachel — panie w kosztownych swetrach i spodniach oraz panowie, którzy mieli pewnie coś wspólnego z handlem, prawem lub czymś równie skomplikowanym. Musi być jednak uprzejmy i dotrwać jakoś do końca wieczoru. Żałował, że w ogóle tu przyszedł.

Podeszła do niego jakaś para. Kobieta miała na sobie kremowy kostium i perły, a mężczyzna blezer i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

— Taki pech. Bardzo mi przykro — powiedział.

— To okropne — zawtórowała mu kobieta. — Zamierza pan zostać tam, gdzie pan teraz mieszka?

Tom poczuł się zakłopotany.

— Cóż, myślę, że tak. Na pewno tak.

— Ale to przecież taki duży dom. Za duży dla was dwojga.

Toma ogarnęła złość.

— Nie sądzę.

Wypił łyk szampana. Głos kobiety rozmył się, brzmiał teraz jak echo. Tom próbował zachować ostrość spojrzenia, widział jednak tylko zamglony obraz czerwonej twarzy mężczyzny, który przytakiwał swojej żonie. A ona trajkotała jak najęta. Nagle uświadomił sobie, że zapanowała cisza. Spojrzał kobiecie w twarz. Chyba przed chwilą zadała mu jakieś pytanie.

— Słucham?

— Pytałam, co z „Pelicanem”?

Nie miał czasu, by odpowiedzieć, bo przerwał mu głos Rachel:

— Myślę, że teraz powinniśmy coś zjeść.

Tom opróżnił kieliszek i postawił go na obramowaniu kominka. Zastanawiał się, czy zostawi ślad na wypolerowanym drewnie. Miał szczerą nadzieję, że tak. Po chwili jednak poczuł się winny, wziął więc kieliszek i wytarł chusteczką jego spód oraz dębowe obramowanie kominka.

Przeszli do jadalni. Jego najgorsze obawy stały się rzeczywistością: posadzono go między Rachel a kobietą w perłach. Naprzeciwko siedziała chorobliwie chuda dama z długą szyją, obwieszona ciężką złotą biżuterią. Jej blond włosy wyglądały jak ubita piana. Miała też długie paznokcie pomalowane na jaskrawoczerwony kolor. Mężczyźni byli nie do rozróżnienia; wszyscy nosili blezery i zielone spodnie. Tom poczuł się jak na spotkaniu w jachtklubie.

— Nie róbmy żadnych ceremonii — oświadczyła Rachel. — Znacnie zasady: częstujcie się wszystkim.

Peter podał to, co zwykle przygotowywał na tego typu przyjęcia. Upiekł cały kurnik perliczek i postawił je na środku stołu wraz z talerzem zielonej fasoli powiązanej

szczypiorkiem w kształtne wiązki oraz półmiskiem białego sosu z koprem. Do wysokich kryształowych kieliszków nalał *premier-cru chablis*.

Tom odetchnął głęboko i zmusił się, by wziąć do ręki widelec. Rozmawiał z chudą kobietą obwieszoną złotem, która okazała się właścicielką sklepu z wyposażeniem wnętrz. Jedna z przyjaciółek Rachel. Usiłował odpędzić od siebie nieprzyjazne myśli. Dłonie kobiety były szponiaste, opalone, z profesjonalnym manikiurem. Gdy nabijała na widelec kawałek perliczki, rozlegał się brzęk ciężkich złotych bransolet. Jej usta były obrysowane szminką aż po same kąciaki. To wszystko jest takie surrealistyczne, pomyślał Tom. Był tutaj, wśród tych wszystkich ludzi, ale tak naprawdę znajdował się w zupełnie innym miejscu. Napił się wina w nadziei, że to go trochę odpręży.

Przy stole toczyła się spokojna konwersacja. Tom rozmawiał z kobietą z przeciwka o stanie dachu katedry, o którym niewiele wiedział, i z mężczyzną po jej prawej stronie o polityce rolnej, o której wiedział jeszcze mniej. Absurdalność tego wszystkiego doprowadzała go do rozpacz. Kiedy odsunął się od stołu i oparł na krześle, Rachel natychmiast wkroczyła do akcji.

— Mam wiadomości, które cię rozweselą— oświadczyła. Tom uniósł brew, ale nic nie odpowiedział.

— Kiedy cię nie było, Peter i ja byliśmy bardzo zajęci... — zaczęła.

— Tak?

Siedzący przy drugim końcu stołu Peter podniósł nerwowo głowę. Trzecia kobieta — Amerykanka o krótkich włosach — rozprawiała właśnie na temat zalet ostryg z Loch Fyne. Peter wstał, wziął do ręki butelkę *chablis* i przesunął ją w kierunku Toma, ale on zasłonił kieliszek. Ani na chwilę nie spuszczał spojrzenia z Rachel.

Peter pogodził się z daremnością swojej interwencji i wycofał się. Amerykanka przerwała swój wywód i przy stole zapanowała cisza.

— Wiesz, że rozmawialiśmy o rozszerzeniu działalności? Tom nie odpowiedział.

— Cóż, znaleźliśmy coś — kontynuowała Rachel. — Starą kamienicę na Portland Street. Doskonale się nadaje.

— Na co? — zapytał Tom.

— Na nową restaurację.

— Jakiego rodzaju restaurację? Rachel sprawiała wrażenie zbitej z tropu.

— Taką, w której będą serwowane potrawy Petera.

— Spodziewałem się tego.

— Nie jesteś zadowolony?

— To nie ma nic wspólnego ze mną.

— Oczywiście, że ma. Przecież jesteście wspólnikami. Będzie tak jak z „Albatrossem”.

— Właśnie.

Rachel zrozumiała swój błąd.

— Mam na myśli to, że obaj będziecie jej właścicielami. I będzie oczywiście prosperować o wiele lepiej niż „Albatross”.

— Skąd wiesz?

— Ponieważ teraz jest zupełnie inna sytuacja. Jest dużo większy popyt na nowe lokale, w których można zjeść coś dobrego, niż piętnaście lat temu.

— Rozumiem.

— Da to wam obu szansę rozwinięcia skrzydeł. — ' Naprawdę?

Przy stole zapanowała nieprzyjemna atmosfera. Chłodny ton głosu Toma był zauważalny dla wszystkich. Z wyjątkiem Rachel.

— Poza tym pomoże ci to przestać myśleć o wielu sprawach.

— Dlaczego miałbym chcieć o nich nie myśleć? Rachel wyglądała na zmieszaną.

— Cóż... Wiesz przecież. To były okropne chwile — i nadal jeszcze są, wiem — ale musisz iść dalej. — Położyła

rękę na jego dłoni, a on jej na to pozwolił. Gdyby była tu Pippa, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Kopnęłaby go pod stołem, próbując powstrzymać śmiech. Ale był zdany tylko na siebie.

— Tak. Masz rację. Najwyższy czas, żeby pójść dalej.

— Cieszę się, że to rozumiesz. — Rachel poklepała go po ręce, a potem podniosła swój kieliszek i pokrzepiła się winem.

Tom pokiwał głową.

— Czas na zmianę. Nie można stać w miejscu, bo wtedy człowiek się cofa — mruknął i urwał nogę od perliczki.

— Właśnie. A więc jesteś za tym?

— Nie. Wcale nie. Powiało lodowatym chłodem.

— Słucham?

— Jestem za zmianą, ale nie za kolejną restauracją. Rachel była oszołomiona.

— Jak to?

— Sprzedam swoje udziały w „Pelicanie”. Możesz je kupić, jeśli chcesz, albo sprzedam je komuś innemu.

Rachel otworzyła szeroko usta ze zdumienia, a twarz Petera straciła wszystkie kolory. Jeden z mężczyzn w blezerach zakaszłał nerwowo, natomiast drugi wstał i poszedł do łazienki. Tom oddzielił mięso od kości z precyzją chirurga.

— Doskonała perliczka, Peter. Na wysokim poziomie. Będzie mi tego brakowało — stwierdził, a potem zwrócił się do Rachel: — Przykro mi, że cię rozczarowałem. Wiem, że się nastawiałaś na drugi lokal, i nadal możesz to zrobić, obawiam się jednak, że beze mnie.

- Ale — Rachel nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. — Ale jeśli ty nie... my nie możemy...

Tom wzruszył ramionami.

— Przykro mi. Mam inne plany.

— Jakiego rodzaju?

Tom odłożył widelec i wytarł usta serwetką.

— Cóż... nie mam jeszcze żadnego pomysłu — powiedział i wstał od stołu. — Bardzo dziękuję za kolację. Proszę mi wybaczyć, muszę wracać do córki. To nie są łatwe chwile.

Peter wyglądał, jakby zaraz miał zwymiotować.

— Przyjdę jutro i o wszystkim porozmawiamy. Zostanę tu jeszcze przez kilka tygodni, dopóki nie załatwimy spraw finansowych. Jestem pewien, że wszystko będzie w porządku. Sally daje już sobie radę na froncie, a ty będziesz miał tę... jak ta kobieta się nazywa? Kate Lundy. A przy okazji, jak ona się sprawuje?

Peter patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

— Świetnie. Naprawdę doskonale — wymamrotał.

— To dobrze. Tak właśnie myślałem. Cieszę się, że ją zatrudniliśmy. Nigdy nie można być pewnym, ale w końcu tak naprawdę nigdy nie można być pewnym niczego, prawda?

Rozdział 15

Kiedy zajrzał do sypialni córki, Tally była pogrążona w głębokim śnie. Przysiadł na brzegu łóżka i pogłaskał niesforny kosmyk włosów na jej skroni. Poruszyła się, ale nie przebudziła. Przez okno wpadało światło księżyca, rzucając na pokój upiorne cienie. Nie było słyhać żadnych odgłosów oprócz spokojnego oddechu Tally.

Co jej powiedzieć? Może pomyśleć, że stracił pracę. Była jego córką, lecz czasami wydawało mu się, że jest czterdziestodwuletnią szesnastolatką. Przez ostatnich kilka dni wciąż zamieniali się rolami — dorosłego i dziecka. Gdy ona wypowiadała jakąś niepoważną młodzieńczą uwagę, on spoglądał na nią karcącym ojcowskim okiem. A kiedy on robił coś, co jej zdaniem było irracjonalne, wtedy ona przejmowała rolę rodzica. Siedział na krawędzi jej łóżka i patrzył na nią, na jedyną kobietę swojego życia — córkę, przyjaciółkę i opiekunkę. Jakie ma prawo oczekiwać od niej, by w wieku szesnastu lat spełniała te wszystkie role? To niesprawiedliwe. A on właśnie spalił za sobą mosty. No, może tylko jeden, ale za to duży. Co ona sobie pomyśli?

Tally poruszyła się i otworzyła oczy. Wyglądała na przerażoną, ale po chwili zobaczyła ojca i uśmiechnęła się. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zanim jednak zdążył

się odezwać, mruknęła „dobranoc” i znowu zamknęła oczy. Po raz pierwszy od śmierci Pippy zniknął z jej twarzy wyraz cierpienia. Pogłaskał ją po policzku, a potem wstał i poszedł do swojego pokoju. Łóżko wydawało się absurdalnie wielkie — ogromna wyspa pośrodku pokoju z dębowymi belkami na suficie; wyspa, na której wylądował samotnie, daremnie czekając na ratunek. Usiadł w nogach łóżka i zdjął buty. Potem pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Nadal czuł wszędzie zapach i obecność Pippy. Zadrżał i wstał, żeby się rozebrać. Garderoba była pełna jej ubrań. Co z nimi zrobić? Zabrać je stąd i oddać jakiejś instytucji dobroczynnej? Nie zamierzał o tym teraz myśleć. Miała oddzielną garderobę i jej rzeczy mogą tam pozostać. Uporządkuje je, gdy będzie na to gotowy.

Wślizgnął się do łóżka. Odgłosy przyjęcia i chwile niezręcznej ciszy nadal rozbrzmiewały w jego głowie. Położył się na plecach i zobaczył w oknie lodowato biały księżyc. Tak bardzo pragnął cofnąć czas, powiedzieć rzeczy, których nigdy nie powiedział, zrobić to, czego nigdy nie zrobił. Dlaczego nie spędzali razem wakacji, zamiast pracować tak ciężko, próbując wszystko urządzić, załatwić, dopasować? Teraz rozumiał, widział wyraźnie, jak bardzo byli szczęśliwi, jak doskonały był ich związek.

Sen długo nie nadchodził. Minęła trzecia, zanim w końcu Tom zapadł w niespokojną drzemkę, a przebudził się już o wpół do ósmej, przygotowany na spotkanie z kolejnym przykrym dniem.

Był zaskoczony, że Tally siedzi już przy stole i je śniadanie. Spojrzała na niego, gdy wchodził do kuchni.

— Wyglądasz okropnie! — oświadczyła.

— Dzięki. — Przeczesał dłonią zmierzwiłone włosy. — To nie była zbyt dobra noc.

— Fakt.

— Ty też źle spałaś? Tally przytaknęła.

— Zasnęłam po tym, jak wróciłeś, ale wcześniej się obudziłam. — Jadła grzanekę, popijając sokiem pomarańczowym. Była owinięta szlafrokiem w czarno-białą szachownicę i wyglądała jeszcze bardziej krucho niż zazwyczaj. — Jak było? — zapytała.

— Okropnie.

— A więc tak, jak się spodziewaliśmy. Tom postawił czajnik na kuchence.

— Rachel była taka przyjacielska jak zawsze?

— O, tak. I pełna wspaniałych pomysłów.

— Jakich pomysłów?

— Ekspansywnych.

— Co to znaczy?

Tom usiadł przy stole naprzeciwko Tally.

— Chce otworzyć następną restaurację.

— Znowu to samo.

— Obawiam się, że tak.

— I co powiedziałeś?

— Nie to, co chciałem.

— Mam nadzieję, że posłałeś ją do diabła.

— Niezupełnie.

— Więc co?

— Sam się tam posłałem.

— Co?

— Powiedziałem Rachel i Peterowi, że odchodzę, że nie chcę zostać w „Pelicanie” i że przyszedł czas na zmianę.

— To świetnie, tato.

Tom spojrzał na nią ze zdziwieniem. Nie spodziewał się takiej reakcji.

— Nie jesteś zawiedziona? Tally potrząsnęła głową.

— Ani trochę — odparła i znowu pokręciła głową.

— Aleja prawdopodobnie nie myślę zbyt jasno. — Tom spojrział przez okno na budzący się do życia poranek. — Co powiedziałyby na to twoja mama?

— Nie wiem. Jeśli jednak właśnie tego pragniesz, na pewno byłaby zadowolona.

— Tak myślisz?

— Ja to wiem.

— Ale powinienem być odpowiedzialnym ojcem, opiekować się tobą, zapewnić ci bezpieczeństwo i wystarczająco wiele pieniędzy, abyś mogła zdobyć wykształcenie. Zaliczyłaś dopiero pierwszy poziom egzaminów.

— To się nazywa certyfikat ogólny — poprawiła go.

— Wszystko jedno. Ale przed tobą kolejne egzaminy, a potem uniwersytet.

— Jeśli się na niego zdecyduję.

— Tak, chcę jednak, żebyś miała wybór i nie musiała brać kredytu studenckiego.

Tally żuła powoli kawałek grzanki, a jej ojciec tłumaczył się ze swojego szaleństwa.

— Bóg jeden wie, co teraz zrobię. Czajnik zagwizdał, więc Tom wstał od stołu.

— Lepiej pójdę tam dzisiaj rano i powiem, że się pospieszyłem.

Tally zerwała się z krzesła.

— Nie zrobisz tego!

Był zaskoczony gniewem, który pojawił się w jej głosie.

— Nigdy nie byłeś tam tak naprawdę szczęśliwy — powiedziała.

— Jakoś sobie radziłem. To zapewniało nam godziwe życie.

— Ale wcale nie musisz robić tego dalej. A jeśli pomyślałabym, że robisz to tylko ze względu na mnie, znenawidziłabym tę restaurację. Jeżeli nie chcesz tego robić, ja również nie chcę, żebyś to robił. Chcę, żebyś robił coś, co cię uszczęśliwi. — Tally podeszła do ojca i objęła go w pasie,

podczas gdy on robił kawę. Czuł, jak przytula twarz do jego pleców.

— Ale co ludzie pomyślą?

— Nie obchodzi mnie to. Niech myślą, co chcą. Nawet jeśli pomyślą, że zbzikowałeś, kogo to obchodzi? Ja wiem, że tak nie jest. Zawsze chciałeś pisać. Dlaczego tego nie robisz?

Tom odwrócił się do niej.

— Ponieważ prawdopodobnie nie jestem w tym dobry.

— Nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz. Napisałeś już przecież jedną książkę.

— Wątpię, czy ktoś zechce ją opublikować. A poza tym nie zaglądałem do niej od wieków i myślę, że tak naprawdę jest trochę nudna.

— No to zacznij pisać następną.

— Chyba nie mógłbym... nie teraz. Tally ściszyła głos.

— Nie, ale to nie znaczy, że nie będziesz mógł... kiedyś. Kiedyś... no wiesz.

— Wiem.

Tally znowu się rozpromieniła.

— A dlaczego nie piszesz krótkich tekstów do gazet? Mógłbyś pisać o...

— O czym?

— Nie wiem. O życiu. O różnych sprawach.

— Myślę, że w tej chwili mam dosyć życia i wszystkich spraw.

— Och, tato! Co ja mam z tobą zrobić?

Podniósł wzrok znad filiżanki z kawą i spojrzał na swoją córkę, którą miał wychowywać.

— Nie wiem, Tally. Naprawdę nie wiem.

Nie cieszyło go spotkanie z Peterem. Do ubiegłego wieczoru w zasadzie nie rozmawiali ze sobą i czuł się winny, że

podjął tak nagłą decyzję, która w takim samym stopniu wpłynie na życie współnika, jak i na jego własne. Zjrzał do kuchni „Pelicana”. Ani śladu Petera, była tam tylko jasnowłosa kobieta wyciągająca z kredensu patelnię i naczynia.

— Cześć — powiedział.

Kate Lundy odwróciła się szybko, a na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech, który w następnej chwili ustąpił miejsca współczuciu.

— Tak mi przykro.

— Dziękuję.

Zapadła niezręczna cisza. Pierwszy odezwał się Tom:

— Jak sobie radzisz?

— Świetnie. Wiesz, szybko się uczę.

— Tak.

— Słuchaj... może napijesz się kawy? Właśnie zaparzyłam.

— Tak, dziękuję.

Nalała kawę do dwóch kubków.

— Z mlekiem i cukrem?

— Tylko mleko.

— Muszę ci podziękować za tę pracę.

— To nie moja zasługa. Podała mu kubek z kawą.

— Och, wiem, że musiałeś namawiać Petera. Powiedział mi o tym. Sądził, że będę tu tylko zawadzać.

— Nie tracił czasu.

— Ja również nie. Mam nadzieję, że już go przekonałam do siebie.

— Z tego, co mówił o tobie wczoraj, wygląda na to, że ci się udało.

Po chwili przypomniał sobie jednak, jak chłodne było ich pożegnanie, i pomyślał, że być może wyciągnął pochopne wnioski z uwag Petera na temat Kate.

— Jak się czujesz?

— Och, wiesz...

— Nie sądzę, żebym wiedziała, ale mogę to sobie wyobrazić. Słuchaj, jeśli mogłabym cokolwiek dla ciebie zrobić, powiedz mi tylko i...

— Dziękuję.

— To naprawdę zabawne.

— Co? — Tom nie był pewien, o co jej chodzi.

— Kiedy się spotkaliśmy, byłam na dnie. I wtedy ty wyciągnąłeś do mnie rękę. Kilka tygodni później wszystko się zmieniło, dla ciebie i dla mnie, tylko w zupełnie inny sposób.

Tom podniósł kubek z kawą.

— Dlaczego byłaś w takim stanie?

— Bo właśnie nadeszły moje papiery rozwodowe.

— O Boże! Tak mi przykro.

— Niepotrzebnie. Znalazłam się na rozdrożu, to wszystko. Jedna część życia się kończy... Cóż, to chyba niezbyt dobre sformułowanie.

— Nie.

— To tak długo się ciągnie, a potem, gdy nadchodzą papiery rozwodowe, nagle zdajesz sobie sprawę z nieodwołalności tego wszystkiego. Nie ma powrotu. Ale w moim przypadku przynajmniej nastąpiło to z wyboru.

— Tak — zgodził się smutno Tom.

— Przepraszam cię. Rozmawiamy o mnie i moich problemach, gdy tymczasem ty...

— Daj spokój. To dla mnie jakaś odmiana. Przystaję myśleć o... Przynajmniej na chwilę. — Tom wypił trochę kawy. — Mogłaś o tym powiedzieć, gdy przyszedł na spotkanie w sprawie pracy.

— I co? Wyszłabym na niezrównoważoną emocjonalnie, pomyloną kobietę. To nie jest dobry początek, zwłaszcza jeśli rozmawiasz z dwoma mężczyznami.

— Może wtedy Peter wykazałby więcej zrozumienia. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Tak sądzisz? Tom uśmiechnął się.

— Nie.

— Wiedziałam, że jeśli tego dnia zacznę opowiadać o swoich osobistych problemach, pomyślicie, że macie przed sobą jakąś malkontentkę. A potem utknęłam w korku i wszystko poszło na opak. Cóż, sądziłam, że już nic się nie zmieni, dopóki nie dałeś mi tej pracy.

— A co teraz?

— Och, nie mam pojęcia. Jestem po prostu szczęśliwa, że mam coś do roboty. To powstrzymuje mnie przed rozmyślaniami o przeszłości. — Kate ściszyła głos. — Myślę, że z tobą będzie tak samo.

— Cóż, może tak. Ale...

Przerwał im odgłos otwieranych drzwi. Do kuchni niczym huragan wpadł Peter.

— Czy ktoś przytrzyma mi te cholerne drzwi? Inaczej nie przeniosę tych skrzynek.

— Już idę, szefie. — Kate podeszła do drzwi i przytrzymała je. Trzy skrzynki ze świeżymi warzywami skreśliły za róg; pod nimi widać było jedną parę nóg.

— Bóg jeden wie, co teraz będzie z ziołami... — wysapał Peter.

Zabolało to Toma jak cięcie nożem. Zanim Peter zdążył pograć się jeszcze bardziej, Kate wpadła mu w słowo:

— Nie ma problemu. Znam w West Chortle kogoś, kto je uprawia. Potem wzięła górną skrzynkę i wtedy Peter zobaczył Toma.

— Ach, cześć.

— Cześć.

— Weź to ode mnie, dobrze? — powiedział Peter do Kate. — Tom i ja musimy pogadać.

Uwolniła go od skrzynek i postawiła je na wielkim stole,

który stał pośrodku kuchni. Tom otworzył drzwi i obaj mężczyźni przeszli do restauracji.

Przez pół godziny dobiegały do Kate odgłosy gorącej dyskusji. Od czasu do czasu słyszała podniesiony głos Petera. Kiedy wrócili do kuchni, wyczuła między nimi wrogą atmosferę.

Po chwili Peter porwał marynarkę z wieszaka na kuchennych drzwiach.

— Idę poszukać jakichś ziół — oświadczył i wybiegł jak oparzony.

— Przecież ci mówiłam! — zawołała za nim Kate. — West Chortle. Tam mieszka facet, który...

— Obawiam się, że on wcale cię nie słyszy — powiedział Tom. — To moja wina.

Kate spojrzała na niego pytająco.

— Wycofuję się.

— Słucham?

— Odchodzę z restauracji.

— O Boże!

— Nie musisz się tym martwić. Peter się uspokoi i wszystko będzie w porządku. Musi się po prostu wyładować i wyrzucić to z siebie. Myślę, że do tej pory zdażyłaś go rozszyfrować.

Kate popatrzyła na niego.

— Czy to z powodu tego, co się stało?

— Tak. Potrzebuję odmiany. Rachel, żona Petera, chce otworzyć następną restaurację, a ja nie potrafiłbym temu podołać. Już tak kiedyś było.

— „Albatross”?

— Słyszałaś o tym?

— Peter mi powiedział. Mówił też coś o rozszerzeniu działalności. Nie zdawałam sobie sprawy, że nie palisz się do tego.

— Po prostu uważam, że to nie jest dobry moment. I nie tylko to. Chcę robić coś innego. Oni sobie poradzą. Może nawet pójdą dalej. A jeśli nawet nie, wiem, że tutaj wszystko będzie w porządku. Sally może wykonywać moją pracę nawet lepiej niż ja. I ty jesteś tutaj. Cóż, Peter wie, że ma świetnego pomocnika. Powiedział mi o tym przed chwilą.

— A co teraz będziesz robił?

— Nie mam pojęcia. To naprawdę głupie, ale wiem tylko to, że nie mogę tu dłużej zostać. Nie jestem do tego stworzony.

— Ale ludzie o ciebie pytają.

— Tylko dlatego, że tu pracuję. Jestem tym gościem, który sadza ich przy stolikach. Szybko nauczą się pytać o Sally.

— Chyba siebie nie doceniasz.

— Słucham?

— Wiem, że nie znamy się zbyt dobrze, ale słyszę tu różne rzeczy. Jednym z powodów tak wielkiego sukcesu tej restauracji jest to, że ludzie lubią atmosferę, jaka w niej panuje. I nie chodzi o kuchnię, tylko o to. — Kate wskazała na drzwi prowadzące do sali. — A to należy do ciebie.

Tom wzruszył ramionami. Kate podeszła do niego i oparła się o stół.

— Tally uważa, że powinienem pisać. Zawsze się tym interesowałem, ale nigdy niczego w tej sprawie nie zrobiłem.

— A jak ona się czuje?

— Jest dla mnie wielkim oparciem. A ja ciągle sobie powtarzam, że to ja powinienem jej pomagać.

— Tak samo jest ze mną.

— Co masz na myśli?

— Mam syna. Studiuje na uniwersytecie. Mówię sobie, że powinnam go wspierać. Cóż, robię to, wspomagam go' finansowo... ale zdaje się, że przez większość czasu to on opiekuje się mną.

— Role się odwróciły?

Kate pokiwała głową.

— Myślę, że tak się właśnie dzieje, gdy jesteś samotnym rodzicem. Zwykle zasady i reguły nie mają wtedy zastosowania. To prawie jak małżeństwo, na swój sposób oczywiście. — Kate milczała przez chwilę, a potem dodała już innym tonem: — Jeśli masz ochotę, zapraszam cię na kolację.

Tom był zaskoczony jej propozycją.

— Dziękuję.

— Odnoszę wrażenie, że ty też wszystko w sobie dusisz. Uśmiechnął się do niej.

— Parę tygodni temu byłaś bezrobotną rozwódką, a teraz jesteś etatowym doradcą.

— Po to są właśnie mamusie.

Gdyby mogła, ugryzłaby się w język w tej samej chwili, w której to powiedziała.

Rozdział 16

Podczas tygodni, które minęły od śmierci mamy, Taily z uwagą obserwowała swojego ojca. Poszedł do radcy prawnego, wspominał coś o polisach na życie i testamencie, a Tally pragnęła, by mógł przejść przez to wszystko bez tych prawniczych zawiłości. Cóż one mają wspólnego z prawdziwym życiem?

Żadnemu z nich nie chciało się zbyt wiele robić ani też nigdzie wychodzić. Wystarczało im, że starają się przyjmować rzeczy takimi, jakie są. Próbowali pokonać smutek i przygnębienie, chociaż nie zawsze im się to udawało. Borykali się ze zmianami, jakie zaszły w ich życiu, i pomagali sobie nawzajem je zaakceptować.

Nocą, gdy ojciec kładł się samotnie do łóżka, bardzo się o niego martwiła. Myślała również o Aleksie i zastanawiała się, kiedy znowu go zobaczy —jeśli w ogóle go zobaczy.

I nagle pewnego dnia zadzwonił zniecka i zapytał, czy mogą spotkać się wieczorem. Wahała się przez chwilę, lecz w końcu się zgodziła. Nic nie powiedziała o matce, ponieważ wolała porozmawiać z nim o tym twarzą w twarz. Powiedział, że jeśli jej pasuje, to przyjedzie po nią o szóstej.

— Nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybym wyszła? — zapytała ojca.

Tom zmywał naczynia i wyglądał przez okno. Właśnie przypomniał sobie, że musi wyrwać chwasty z zielnika.

— Co?

— Alex zaprosił mnie na wieczór i chciałam wyjść.

— Czy to ten z samochodem?

— Tak.

— Z tym szybkim?

— Tak, ale zmuszam go, żeby jechał wolno.

— Pod warunkiem, że naprawę to robisz. Dokąd pojedziecie?

— Tato!

Tom zrobił skruszoną minę.

— Przepraszam. Po prostu... no...

— Będę uważać.

— Mam nadzieję, że on też.

— Na pewno. I myślę, że pojedziemy do Nutley Marina.

— On żegluje?

— Trochę.

— Chyba nie masz zamiaru wypływać z nim łodzią?

— Nie, pojedziemy tylko coś zjeść do „Spinnakera”. To taki bar.

— W porządku. Przepraszam. Zachowuję się jak stara baba.

— Cieszę się, że się o mnie troszczysz. — Tally podeszła do ojca i pocałowała go. — Pójdę się przebrać.

— Czy on wie?

— Jeszcze nie — odparła. — Pomyślałam, że lepiej będzie, jak powiem mu to osobiście, a nie przez telefon.

— Też tak myślę — mruknął Tom i wytarł ręce.

— Pójdę się przygotować. Alex będzie tu za pół godziny.

Kiedy jechali do Nutley, nie musiała już mówić Alexowi, żeby zwolnił. Samochód miał opuszczony dach, bo wieczór

był ciepły, chociaż na zachodzie zbierały się ciężkie chmury. Alex patrzył, jak Tally wsiada do samochodu: zrobiła to bardzo elegancko, mimo że miała na sobie krótką spódniczkę. Jej szczupłe nogi były opalone na złoty brąz. Pomyślał, że to najwidoczniej zasługa włoskiego słońca. Włosy zaczesła do tyłu i splotła w warkocz. Wyglądała oszałamiająco, ale była szczuplejsza, niż zapamiętał.

Przez dwadzieścia minut podróży żartowali i wymieniali uprzejmości, a potem zatrzymali się na parkingu przy porcie.

— Jesteś głodna? — zapytał.

— Trochę.

— A ja wprost umieram z głodu!

Wysiadł z samochodu i przeszedł na jej stronę, żeby otworzyć drzwi.

Patrzyła, jak pochyła się, by pomóc jej wysiąść z auta. Był ubrany w jasnoniebieską koszulę i beżowe spodnie z bawełny. Na bosych nogach miał stare brązowe mokasyny, a jego włosy wyglądały na świeżo przycięte. Prezentował się bardzo efektownie i schludnie. Poczula zapach wody po goleniu — niezbyt mocny, ale przypomniał jej ostatnie spotkanie, gdy pachniał mydłem. Była zadowolona, że zdjął okulary.

— Możemy się trochę przejść? — zapytała.

— Jasne. — Otworzył drzwi samochodu, pomógł jej wysiąść, a potem zamknął je na klucz.

Szli wzdłuż nabrzeża, mijając żaglówki i łódki, które unosiły się na wodzie przy pomostach. Kiedy doszli do drewnianego mola, Tally zatrzymała się, oparła się o barierkę i spojrzała na wodę.

— Straciłam mamę — powiedziała.

Przez chwilę milczał, a potem powiedział cicho:

— Och, Boże! Tak mi przykro. Nie wiedziałem. Tally nie spuszczała wzroku z falującej wody.

— Przecież nie mogłeś wiedzieć. Nie było cię tutaj.

— Ale... kiedy? Co się stało?

— Umarła, gdy byliśmy na wakacjach, we śnie — powiedziała Tally z całkowitym spokojem. — Wada serca. Dlatego musieliśmy wcześniej wrócić.

Objął ją ramieniem.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— Po prostu chciałam, żebyś o tym wiedział.

Stali w milczeniu przez kilka minut, a potem Alex zapytał:

— A co z twoim tatą?

— Jest trochę zagubiony. Chyba nie wie, co ma ze sobą począć.

— A pogrzeb i to wszystko... kiedy?

— Już był. Tydzień po naszym powrocie.

— Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

— Nie mam twojego numeru.

Alex wsunął rękę pomiędzy jej dłonie, a potem obrócił ją twarzą do siebie. Spojrzał na nią, pochylił się i pocałował w usta. Jego wargi były miękkie i ciepłe; Tally miała wrażenie, że wtapia się w niego.

Kiedy podniósł głowę, jej oczy były pełne łez. Uśmiechnęła się nieśmiało, a potem odwróciła się i otarła łzy.

Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przedtem tak się czuła. Nie miała specjalnego apetytu, ale zjadła talerz wędzonego łososa z jajecznicą i wypila szklankę wody mineralnej. Alex również nie miał już zbyt wielkiej ochoty na jedzenie i z trudem dał radę płastudze z frytkami, pomagając sobie butelką becka.

Teraz rozmawiali bardziej swobodnie. Opowiedział jej

o weekendzie, który spędził z rodziną w Sałcombe, i o ojcu, wykrzykującym rozkazy z za steru niczym jakiś współczesny kapitan Bligh. Rozśmieszył ją opowieścią o podnoszeniu boi: on przechylał się przez dziób maleńkiej żaglówki, próbując zarzucić cumę, podczas gdy ojciec usiłował utrzymać łódź we właściwym położeniu. Robił to tak skutecznie, że w końcu wyrzucił syna do wody.

Tally przyglądała się twarzy Alexa, gdy mówił i jadł. Jego oczy błyszczały, a policzki były zaczerwienione od słońca. Widziała jego opaloną skórę na czole oraz ledwo widoczną bladość na skraju opalenizny.

Słuchał uważnie, kiedy opowiadała o matce. Mówiła, że często czuły się jak siostry, zwłaszcza podczas zakupów lub gdy musiały stawić czoła tacie. Kiedy o nim wspominała, w jej głosie słychać było troskę i miłość.

Przy kawie poprosił kelnerkę, by pożyczyła mu długopis, i zapisał coś na papierowej serwetce.

— To mój numer telefonu, jeśli jeszcze chcesz go mieć — powiedział i podał jej kawałek zapisanego papieru. — Ten górny to numer domowy, a dolny to moja komórka.

Tally uśmiechnęła się i włożyła serwetkę do torebki.

— Dzięki — powiedziała, a potem zapytała z wahaniem: — A ty chciałbyś mój?

— Już go mam — odparł z uśmiechem. — Inaczej jak mógłbym się z tobą umówić?

Wzięła następną serwetkę i zapisała numer.

— To moja komórka — wyjaśniła.

Złożył ostrożnie serwetkę i schował ją do tylnej kieszeni spodni. Tally spojrzała na zegarek.

— Lepiej już wracajmy. Nie chcę, żeby tata się martwił.

— Dobrze. — Alex wstał i podszedł do niej, by odsunąć krzesło, na którym siedziała.

Tally uśmiechnęła się.

— O co chodzi?

— O nic.

— Daj spokój, powiedz.

— Chodzi o to, że jesteś jedyną osobą, jaką znam, która to robi. Jedyną poza moim tatą.

Poprosiła, by Alex zatrzymał samochód kilka jardów od Wilding's Barn. Gdy wyłączył silnik, popatrzyła mu prosto w oczy.

— Dziękuję za dzisiejszy wieczór — powiedziała.

— Nie, to ja dziękuję. Tak bardzo mi przykro... Podniosła palec i położyła go delikatnie na jego ustach.

— Dziękuję, że jesteś. Wiesz, kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłam, pomyślałam, że jesteś kompletnie wyluzowany.

" Z tym swoim szybkim samochodem, okularami i tym wszystkim...

Na jego twarzy malowało się zdziwienie.

— Ale przecież ja jestem wyluzowany...

— W najmiłszy z możliwych sposobów. — Tally pochyliła się i pocałowała go. Po chwili odsunęła się i położyła głowę na jego piersiach.

— Spotkamy się jeszcze? — zapytał.

— Daj mi kilka dni. Alex dotknął jej twarzy.

— Gdzie się tak opaliłaś?

— W ogrodzie. Siedziałam tam i rozmyślałam.

— Nie myśl za dużo. A przynajmniej nie o smutnych sprawach.

Otworzyła drzwi i wysiadła, zanim zdążył jej pomóc. Włączył silnik i mazda odjechała z warkotem po wyboistej drodze. Tally machała, dopóki samochód nie skręcił za róg i nie zniknął jej z oczu.

Tej nocy znowu nie mogła zasnąć, ale tym razem nie wszystkie jej myśli były smutne. Gdy w końcu zapadła

w sen, nadal czuła zapach wody po goleniu Alexa na swojej bluzce. Położyła ją obok siebie na poduszce.

— Do licha! — zawołał Tom, patrząc przez okno na słaby, lecz jednostajny deszcz.

— Co się stało? — zapytała Taiły.

— Chciałem dzisiaj wyrwać chwasty z zielnika, a tu leje.

— To dobrze.

— Co masz na myśli?

— Nie możesz wyjść, więc będziesz musiał zostać w domu, a to znaczy, że możesz zacząć pisać.

— Słuchaj, kochanie, wcale nie jestem przekonany do tego pisania. Nie mam żadnego pomysłu ani odwagi. A taka kombinacja nie zapewni mi zwycięstwa.

— Nie dowiesz się tego, dopóki nie spróbujesz. Tom usiadł obok Tally.

— Co jest?

— Z czym?

— Wyglądasz jakoś inaczej. Zrobiłaś coś z włosami?

— Nie bądź śmieszny, tato! Nawet ich jeszcze nie dotknęłam.

— No cóż, ale coś jest inaczej... — Nagle przypomniał sobie. — Aha, wczorajszy wieczór. Jak było?

— W porządku, dziękuję.

— Tylko w porządku?

— Tak. To nie wystarczy?

— Chyba nie. Czy on jest... miły?

— Nie, jest straszny. Oczywiście, że jest miły. Tom wzruszył ramionami.

— Jestem ciekawy, to wszystko. Tally westchnęła.

— Nazywa się Alex Blane-Pfitzer, ma osiemnaście lat, właśnie skończył szkołę w Sherborne i jesienią wybiera się na uniwersytet... jeśli się dostanie.

— Blane co?

— Pfitzer. Brzmi bardzo dostojnie, prawda?

— Jest obcokrajowcem?

— Nie, Anglikiem.

— Arystokrata?

— Znowu chcesz coś ode mnie wyciągnąć. Nie, nie jest arystokratą.

Dość dobrze sytuowany i po prostu... cudowny.

Tom zobaczył blask w jej oczach.

— Cóż, no to w porządku. Tylko...

— Co?

— Bądź ostrożna. Nie pozwól się zranić.

— Spróbuję.

Tom patrzył, jak Tally wstaje od stołu i idzie w stronę schodów. Miała nieobecne, rozmarzone spojrzenie. Pomyślał, że to dobrze, bo wreszcie coś oderwie jej myśli od śmierci Pippy. Miał tylko nadzieję, że córka nie odsunie się od niego. Poczul nagłe ukłucie smutku, ale zaraz powiedział sobie, że za bardzo użala się nad sobą. Poszedł na górę, wszedł do sypialni i spojrzal przez okno na okropny, przygnębiający dzień.

W łazience zaszumiał prysznic. Usłyszał plusk wody, przez który przebijał się jeszcze jeden dźwięk: głos jego córki nucący jakąś piosenkę. Kilka dni temu taka manifestacja szczęścia byłaby nie do pomyślenia, ale teraz cieszył się nią. Wiedział, że to pomoże Tally przejść przez ten trudny okres. Żałował, że sam nie może zaśpiewać, na razie jednak nie był w stanie słuchać nawet muzyki przez radio.

Rozdział 17

Zaproszenie nadeszło szybciej, niż się spodziewał. Kate Lundy powiedziała, że zadzwoni, ale zakładał, że to tylko kurtuazyjny gest.

— Wpadłbyś w sobotę wieczorem? — zapytała. — Peter dał mi wolne.

Nie mógł wymyślić żadnego dobrego powodu, by odmówić, więc przyjął zaproszenie.

Kiedy w sobotni wieczór szykował się do wyjścia, był zdenerwowany i rozdrażniony. Po raz pierwszy wybierał się gdzieś sam od czasu przyjęcia u Rachel i Petera. Próbował tłumaczyć sobie, że to właśnie dlatego jest taki niespokojny.

Tally zwinęła się w kłębek na łóżku i patrzyła, jak ojciec wkłada granatowe spodnie, zamszowe mokasyny i niebieską koszulkę polo.

— Wyglądasz bardzo przystojnie — powiedziała, chcąc dodać mu pewności siebie.

— Nie zamierzam wyglądać przystojnie, tylko porządnie — burknął, zaraz jednak pożałował swojego grubiaństwa. — Przepraszam, ale to wszystko wydaje mi się głupie i bez sensu. To całe ubieranie i to, że nie robię tego dla twojej mamy.

— Idziesz tam tylko dlatego, żeby okazać tej kobiecie przyjaźń i życzliwość.

— Tak, wiem. Ale to głupie. I takie dziwne.
— Przypuszczałam, że tak będzie. Tom usiadł na łóżku obok Tally.
— Jak myślisz, dobrze sobie radzimy?
— Tak dobrze, jak potrafimy... zważywszy na okoliczności.
— Do dupy, prawda?
— Tak, do dupy. Pamiętam, jak kiedyś nagadałeś mi za to, że tak mówię.

Tom westchnął.

— To teraz nie ma żadnego znaczenia.
— Nie.
— Są ważniejsze rzeczy, o które musimy się martwić. Tally popchnęła go lekko.
— Na przykład to, żebyś w końcu stąd wyszedł. No, dalej. Wyglądasz świetnie, więc idź i baw się dobrze.

Spojrzał w lustro i przeczesał palcami włosy.

— Myślę, że nic lepszego już nie mogę ze sobą zrobić. Po chwili pochylił się i pocałował ją na pożegnanie.

— Zostajesz dzisiaj w domu? — zapytał.

— Tak. Pomyślałam, że pooglądam sobie coś na wideo.

— Żadnego Alexa jak-mu-tam?

— Dzisiaj nie.

— Dobrze. Nie powinienem wrócić późno, ale nie czekaj na mnie.

— Och, myślę, że zaczekam. Ostatnio zbyt często kładłam się wcześniej spać. Do zobaczenia później.

Tom zszedł do kuchni i wziął z półki butelkę jakiegoś czerwonego wina. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Tally włączyła telewizor, który stał w rogu kuchni. Po chwili wyłączyła go jednak, bo nigdy nie przepadała za *Randką w ciemno*.

Wskazówki Kate Lundy były bardzo dokładne, nie miał więc problemów ze znalezieniem drogi. Mieszkała na przed-

mieściach Portsmouth, dobre czterdzieści pięć minut jazdy od Axbury Minster. Tom podziwiał jej gotowość do codziennych dojazdów i współczuł z powodu drogi powrotnej z „Pe-licana”, którą musiała pokonywać wczesnym rankiem. Znalazł skromny blok na szerokiej ulicy i nacisnął przycisk domofonu. Rozległ się warkot dzwonka, a potem brzęk stalowo-szklanych drzwi. Wyłożonymi linoleum schodami dotarł na trzecie piętro. Dobiegały go coraz głośniejsze dźwięki muzyki, ale nie była to muzyka country, którą usłyszał, gdy zadzwonił, by zaoferować jej pracę, lecz spokojniejsze tony pianina, bębnow, basu i saksofonu.

Gdy skręcił za róg, zobaczył, że stoi w drzwiach. Wyglądała teraz na mniejszą i drobniejszą, jej rysy były o wiele łagodniejsze, a na twarzy malował się spokój. Powitała go uśmiechem.

— Znalazłeś?

— Na to wygląda. Miałem dobre wskazówki. — Podał jej butelkę wina. — Nic szczególnego, ale niezłe na letnie wieczory.

Mieszkanie było małe, ale sympatyczne. Nie było tu eleganckich mebli, jednak całe wnętrze emanowało ciepłem i życzliwością, których nie czuło się w luksusowym apartamencie Petera i Rachel.

Kate poprosiła go, by usiadł na wygodnej kanapie ozdobionej jaskrawoczerwoną narzutą. W ręce trzymała butelkę wina, którą ze sobą przyniósł.

— Napijesz się tego, czy tego, które już zdążyłam otworzyć?

— Och, może być to, które otworzyłaś.

Gdy nalewała wino do kieliszków, Tom rozejrzał się. Kate najwyraźniej urządziła swoje mieszkanie małym nakładem środków, ale ścianę zdobiły jasne ryciny z pejzażami morskimi Johna Millera, a zniszczoną podłogę rozweselały kolorowe indiańskie dywaniki. Meble były mieszanką stylów — od wczesnego Habitat do późnej Ikei. Czuł się tu swobodny

i nieskrępowany. Z wdzięcznością przyjął od niej kieliszek wina.

— Obawiam się, że jest tu trochę zbyt skromnie — powiedziała.

— Jest cudownie — odparł i podniósł kieliszek. — Zdrowie! Dziękuję za zaproszenie.

— Zdrowie! — Kate wypła łyk wina, a potem podskoczyła i odstawiła kieliszek. — Boże! Zupełnie zapomniałam o warzywach!

Pobiegła do kuchni, a Tom krzyknął za nią:

— To ty jesteś szefem!

— Dzisiaj mam wolne, więc się nie liczy.

Wstał i poszedł za nią do kuchni. Stał w progu i patrzył, jak kroi brokuły. Ubrana była w luźną białą koszulę z bawełny i czarne spodnie. Miała bosc stopy i twarz bez makijażu, nie licząc kresk na powiekach i tuszu na rzęsach. Jej skóra była jasna, a policzki zaróżowione od ciepła panującego w kuchni. Była ładniejsza, niż zapamiętał.

Nad blatem zauważył fotografię młodego uśmiechniętego mężczyzny o ciemnych włosach.

— Twój syn? — zapytał.

— Tak. To Harry. Ma dziewiętnaście lat i studiuje biologię morską w Bangor.

— To zabawne.

— Dlaczego?

— Tally również chce zająć się biologią morską. Nie sądzę jednak, żeby już wiedziała, gdzie będzie to robić.

— Na pewno w Bangor albo w Edynburgu. Wydaje się, że oba miejsca są miliony mil stąd, ale w końcu trzeba pozwolić im odejść, prawda?

— Tak — przyznał Tom i zamyślił się. — Chyba moja córeczka jest już na dobrej drodze...

— Co masz na myśli?

— Właśnie znalazła sobie pierwszego prawdziwego chłopaka.

— Och, to pewnie trochę trudne dla ojca?

— Mmm...

— Nie martwiłabym się tym. Ona nadal będzie ciebie potrzebowała.

— Mam nadzieję.

Tom nie był pewien, czy chce kontynuować tę rozmowę. Kate nic nie odpowiedziała i dalej kroїła warzywa.

— Zanim dzisiaj wyszedłem, pocałowała mnie. Kate uniosła brwi.

— W policzek. Przedtem zawsze całowała mnie w usta.

— Och.

— Myślę, że to musi być miłość. — Tom milczał przez chwilę, a potem powiedział: — Nie sądziłem, że masz tyle lat. Nie wyglądasz na matkę dziewiętnastoletniego syna. — Gdy tylko to powiedział, uświadomił sobie, że nie zabrzmiało to zbyt uprzejmie.

Kate roześmiała się.

— Potraktuję to jak komplement. Mam trzydzieści dziewięć lat. Młodo wyszłam za mąż.

Tom poczuł się nieswojo i pożałował, że tu przyszedł. Wszędzie czaiły się wspomnienia i czekały, by złapać go w pułapkę. Kate wyczuła jego zły nastrój.

— Daj spokój. Chodź, usiądziemy na chwilę. To może pogotować się samo. — Włączyła gaz pod dwoma rondlami i zagoniła go z powrotem do salonu.

Tom usiadł na sofie, a Kate w fotelu naprzeciwko, z podwiniętymi nogami. Pili wino i wymieniali uwagi na temat dzieci, restauracji oraz zalet Portsmouth i Axbury Minster. W końcu Kate stwierdziła, że pora coś zjeść, i wróciła do kuchni. Tom siedział w milczeniu i słuchał cichej muzyki. Po raz pierwszy od śmierci Pippy nie chciał jej wyłączać.

Kate wróciła z dwoma półmiskami warzyw i dwiema porcjami soli.

— Może być ryba?

— Doskonale.

— Głupio, że dopiero teraz o to pytam.
— Wygląda wspaniale. Przepraszam za to czerwone wino.
— Skąd mogłeś wiedzieć. A poza tym nie należę do tych, co to piją czerwone wino tylko z mięsem, a białe z rybą.
— Miło mi to słyszeć.
Tom poczęstował się warzywami.
— Już zdecydowałeś, co będziesz robić? — zapytała ostrożnie.
— Niezupełnie. Mam pewne trudności z koncentracją.
— Trudno się dziwić, prawda?
— Tak, ale nie mogę dłużej żyć w ten sposób, bez celu i sensu. Muszę dojść ze sobą do ładu.
Kate popatrzyła na niego.
— Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe... Tom podniósł głowę znad talerza.
— Słucham?
— Chodzi o restaurację, o „Pelicana”. Nadal chcesz się wycofać i sprzedać swoją połowę?
— Tak.
Wypiła łyk wina, by dodać sobie odwagi.
— Sprzedałbyś ją mnie?
Tom był kompletnie zaskoczony.
— Ale ty...
— Wiem. Dopiero tu przyjechałam i prawie was nie znam. Myślę jednak, że wiem o restauracji wystarczająco dużo.
— A co z...
— Pieniędzmi?
— Właśnie.
— W tej chwili ich nie mam. Widać to chyba po tym mieszkaniu — powiedziała i rozejrzała się dookoła. — Czysto, ale niezbyt elegancko.
Tom spoważniał.
— W tej chwili czekam, aż skończy się mój proces rozwodowy. Kiedy to nastąpi, powinnam dostać połowę naszego majątku.

— Rozumiem.

— To może jednak potrwać kilka miesięcy. Och, wiem, że to wszystko brzmi bardzo nierozważnie i nie mam powodu oczekiwać, żebyś się zgodził. Być może mimo wszystko nie jestem zbyt dobrym kandydatem na wspólnika.

— Pytałaś Petera, co o tym myśli?

— Nie. Najpierw chciałam porozmawiać z tobą.

— To dobrze.

— Pewnie myślisz, że jestem natrętną krową.

— Nie, skądże... — odparł w zamyśleniu Tom. Zdecydował się sprzedać swoje udziały, ale nie przyszło mu do głowy, że potencjalnym nabywcą może być Kate.

— Przemyslałam to bardzo dokładnie i doszłam do wniosku, że powinnam zmierzyć się z życiem. Im więcej nad tym myślałam, tym bardziej upewniałam się, że to jest właśnie to, czego pragnę. Nie chcę eleganckiego apartamentu ani szybkiego samochodu, ale chciałabym zainwestować w restaurację.

— I naprawdę widziałaś wystarczająco dużo, żeby zainwestować w „Pelicana”?

— Tak. Och, wiem, że Peter potrafi być wkurzający, ale jest dobrym kucharzem, a ja potrafię poradzić sobie z takimi fajerwerkami.

— To jednak spore ryzyko.

— Po tym wszystkim, co przeszłam przez ostatnie kilka lat, „Pelican” wydaje się bezpieczną przystanią. Jestem gotowa zaryzykować.

Tom nie miał pojęcia, co jej odpowiedzieć.

— Nic nie mów — powiedziała Kate. — Obiecuj tylko, że dasz mi prawo pierwokupu.

Tom skinął powoli głową.

— Przepraszam, że właśnie teraz poruszyłam ten temat. Wiem, że to nie jest dobry moment, ale nie wiedziałam, kiedy się taki nadarzy. Pomyślałam, że jeśli zapytam cię o to prywatnie, będziesz mógł mi powiedzieć, że po prostu mam się odczepić.

— Nie, wcale nie.

— Nie wiem, ile będziesz chciał za swoje udziały, ale Rory — mój były mąż — obliczył, że po sprzedaży domu dostanę przynajmniej pół miliona.

Tom był oszołomiony. To było takie nieoczekiwane. Nie wiedział, czy ma być zadowolony, czy smutny. Zadowolony, że ktoś chce kupić jego udziały w „Pelicanie”, czy smutny, że naprawdę zostawi restaurację.

Gdy kwadrans przed północą wychodził z mieszkania Kate, czuł się dziwnie oderwany od rzeczywistości. Zatrzymał się w progu, by podziękować jej za wieczór. Pocałowała go w policzek, a on bezwiednie oddał jej pocałunek. Kate uśmiechnęła się.

— Daj mi znać. I dziękuję, że przyszedłeś. Świetnie się bawiłam.

— Tak, ja również. Dziękuję, że wyrwałaś mnie z domu.

— Nie ma za co.

Prawie nie zauważył, jak dojechał do domu i o wpół do pierwszej zatrzymał się na podjeździe przy Wilding's Barn. W kuchni paliło się światło, ale Taiły tam nie było. Zgasił światło i wszedł na górę. Zauważył, że w sypialni córki jest jeszcze jasno. Zajrzał do środka. Siedziała na łóżku podparta poduszkami i czytała „Cosmopolitan”.

— Od czytania tego będziesz miała same głupie pomysły — powiedział.

— Skąd wiesz?

— Z doświadczenia.

— Ha! Jak poszło? — Odłożyła czasopismo i skrzyżowała ręce na piersi.

W porządku.

— Tylko w porządku?

— Gdzie ja już to przedtem słyszałem?

— Więc? Jaka ona jest?

— Bardzo miła.

— Och, jakież to przykre...

- Nie bądź wredna.
- Tylko się z tobą drażnię.
- Ale puściła prawdziwą bombę...
- Jaka?
- Chce kupić moje udziały w „Pelicanie”.
- O kurczę!
- Właśnie.
- I co ty na to?
- Nie wiem. Poczuję się trochę rozczarowany, że zaprosiła mnie tylko po to, żeby zapytać, czy może wykupić moje udziały.
- A miałaś nadzieję, że po co cię zaprosiła?
- Żeby po prostu pogadać.
- Dlatego, że ci współczuje?
- Chyba tak.
- No to masz za swoje.
- Mmm... Ale w końcu nie można jej winić. Ja pierwszy powiedziałem, że chcę się wycofać, więc złożyła mi propozycję. Co o tym myślisz?
- Tally zmarszczyła brwi i założyła ręce na brzuchu.
- Jeśli wiesz, że ma pieniądze, i polubiłeś ją od samego początku — a tak było, prawda? — to dlaczego nie? Skoro jesteś pewien, że właśnie tego chcesz... A co o tym myśli wujek Peter?
- Jeszcze nic nie wie.
- To może być dość trudne.
- Cóż, nie odezwał się do mnie ani słowem, od kiedy mu powiedziałem, że chcę zrezygnować. Nie złożył mi żadnej oferty ani nie wyraził zainteresowania wykupieniem moich udziałów.
- I co zrobiłeś?
- Powiedziałem, że dam jej prawo pierwokupu.
- A więc już po wszystkim, załatwione.
- Tak, ale... Nie mogę uwierzyć, że to takie proste.
- Wygląda na to, że tak.

— Wiem. — Wstał z łóżka i przeciągnął się. — Ale jednej rzeczy nauczyłem się przez te wszystkie lata, od kiedy jestem twoim tatą, to znaczy od szesnastu lat...

— I dwóch miesięcy.

— I dwóch miesięcy... nauczyłem się, że życie rzadko jest tak proste, jak się wydaje.

— To pesymizm.

— Realizm. — Tom nachylił się i pocałował Tally, a potem poklepał gazetę. — Nie siedź za długo nad tym.

— Pół godziny?

— Jeśli musisz. Chociaż masz szesnaście lat i dwa miesiące, sądzę, że potrafisz przestać robić to, co teraz chcesz robić, prawda?

Tally uśmiechnęła się.

Był pogrążony w głębokim śnie, kiedy go przebudziła. Najpierw nie mógł sobie uświadomić, kto stoi przy jego łóżku. A potem, gdy skupił wzrok, ujrzał Tally. Stała z rękami przyciśniętymi do boków i cała się trzęsła.

— Mmm... Co? — Powoli odzyskiwał świadomość, ale gdy zobaczył, w jakim jest stanie, natychmiast otrzeźwiał. Była zapłakana i prawie nie mogła mówić. Usiadł, wstał z łóżka i podszedł do niej. — Co się na Boga dzieje?

Tally próbowała powstrzymać łzy.

— Nie widzę jej... mamusi. Chciałam zobaczyć jej twarz i nie mogłam.

Te słowa cięły Toma jak nóż. Objął córkę ramionami i mocno przytulił.

— Och, kochanie. — Kołysał ją delikatnie przez chwilę, a potem uwolnił jedną rękę i zapalił światło. — Spójrz, ty tutaj jesteś i ona też tu jest — powiedział i wskazał na fotografię stojącą na nocnym stoliku.

Tally spojrzała na zdjęcie, a potem zamknęła oczy i znowu się do niego przytuliła.

— Powiedz, że to nie znaczy, że zapomniałam.

— Ależ skąd. Oczywiście, że nie. To się zdarza. Twój umysł płata ci figle.

— Pomyślałam, że to może przez Alexa i to wszystko...

— Nie. Nie wolno ci tak myśleć.

Płakała, a on był wdzięczny Bogu, że wreszcie uwolniła swoje emocje. I pozwolił, by jego łzy kapały na włosy córki.

— Och, kochanie... Już lepiej, prawda?

Taiły pokiwała głową, wtulając twarz w jego piżamę.

— Przepraszam — mruknęła.

— Nie ma za co. Uporamy się z tym, dziecinko, tylko może to trochę potrwać.

Rozdział 18

Tom nie widział Maisie od dobrych dwóch tygodni i czuł się winny. Prawdopodobnie usiłowała trzymać się z dala od nich, ale Tom chciał, by wiedziała, że on i Tally powoli wracają do siebie i że jest jej wdzięczny za powściągliwość.

Powitała go w progu Woodbine Cottage ubrana w jakieś fantazyjne ciuszki i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Och, Tom! Jak cudownie cię widzieć! Tak bardzo za wami tęskniłam, ale nie chciałam przeszkadzać.

Odwzajemnił jej uścisk.

— Wejdiesz na kawę? — zapytała.

— Dziękuję, ale nie mogę siedzieć zbyt długo. Muszę jechać do miasta i pozalać sprawy.

Maisie zajęła się filiżankami, talerzykami, czajnikiem i dzbankiem. Nawet przygotowywanie kawy potrafiła zamienić w skomplikowaną procedurę.

— Jakie sprawy?

— Chodzi o „Pelicana”. Sprzedaję go.

Maisie odwróciła się i spojrzała na niego. Dzisiaj miała turban w kolorach pomarańczy i ciemnego brązu oraz czarny sweter i spodnie.

— Wielkie nieba! Jesteś pewien? Tom pokiwał głową.

— Czas pójść dalej.

- Ale dokąd? — zapytała z niepokojem Maisie.
- Och, nie w sensie geograficznym, tylko mentalnym.
- Dzięki Bogu. Przez chwilę pomyślałam, że mógłbyś wyjechać...
- Nie mam zamiaru.
- A co będziesz robić?
- Tally chce, żebym pisał. Ale ja nie jestem pewien.
- Tak, sztuka... Tam właśnie należysz.
- Skąd wiesz? Oczy Maisie zapłonęły.
- Na milę potrafię rozpoznać kolegę po fachu. Język ciała. Uzdolnienia. Nie da się tego ukryć. Potrzebujesz tylko jakiejś szopy.
- Co takiego?
- Wszyscy pisarze mają szopy. Bernard Shaw miał taką, która się obracała. Dzięki temu była zawsze zwrócona w stronę słońca.
- Jak on mógł pisać, jeśli słońce świeciło mu prosto w oczy?
- Maisie spojrzała na niego podejrzliwie.
- Nie wiem — mruknęła. — Ale wiesz, Robert Graves mieszkał na Majorce, w domu, z którego roztaczał się przepiękny widok. Zbudował więc przed oknem ścianę z cegły, żeby się nie dekoncentrować.
- Naprawdę?
- Maisie naląła kawę z glinianego dzbanka do dwóch koślawych pucharków, efektu jej przygody z garncarstwem.
- A Jan Fleming miał dom, który nazywał się „Złote Oko”. Na Jamajce.
- Nie zamierzam wyjeżdżać. A jeśli już, to na pewno nie tak daleko.
- No właśnie. Ale musisz mieć coś w rodzaju sanktuarium.
- Mam w domu pokój do pracy, Maisie. Myślę, że na początek to wystarczy. Poza tym i tak nie mam pojęcia, co chcę napisać.

— Dobry Boże! Tak. Mam to gdzieś tutaj... — Maisie zerwała się z krzesła, zanurkowała do szuflady i wyjęła z niej garść listów. — Korespondencja. Trochę z nią zalegam.

Były tam koperty wszelkich rozmiarów, niektóre jasno-żółte, inne białe i jedna w kolorze soczystego błękitu. Maisie wyłowiła ją ze stosu pozostałych kopert i otworzyła.

— Proszę bardzo. „Droga Maisie...”. To od mojej starej przyjaciółki ze szkoły. Ona pracuje dla tego znanego czasopisma... Zaraz... jak ono się nazywa? — Odwróciła napisany na maszynie list na drugą stronę i zmrużyła oczy. — Nie widzę.

Tom wskazał na przymocowane do łańcuszka okulary w kształcie półksiężyców, leżące na jej kolanach.

— Och tak. — Masie założyła okulary. — Teraz lepiej. Tak, proszę bardzo... — Znowu zamilkła na moment. — To przyszło tuż przed waszym wyjazdem na wakacje. Miałam ci powiedzieć, jak wrócisz. Cóż, wróciłeś, ale... — jej głos zaczął się załamywać.

— Mów dalej — ponaglił ją Tom.

Maisie pociągnęła nosem, chrząknęła i odzyskała zimną krew.

— Tak. „Metropolitan”, to właśnie to. Bardzo prestiżowy magazyn — oświadczyła i pokiwała uroczyście głową. — Potrzebują... chwileczkę, jak ona to napisała? Tak, „kogoś, kto potrafi pisać o życiu na wsi bez zbędnej afektacji i sentymentalizmu”. Najlepiej kogoś, kto zna się na rolnictwie i przyrodzie i potrafi mówić o tym w taki sposób, by zrozumieli to mieszkańcy miasta.

— Och, Maisie, to nie ja. Nic nie wiem na temat Brukseli. — Ale przecież ją uprawiasz.

— Nie mam na myśli brukselki, tylko Brukselę w Belgii. Maisie zmiażdżyła go spojrzeniem.

— Oni nie chcą politycznego mądrali, który potrafi tylko gadać w kółko o polityce rolnej. Chcą kogoś, kto pisze „czytelne, zrozumiałe i prowokacyjne artykuły na temat

życia poza miastem". O prawdziwym wiejskim życiu, a nie o jakimś wymyślonym, nieistniejącym miasteczku.

— A o jakie tematy chodzi?

Maisie spojrzała w dół przez okulary i dokładnie przeczytała list.

— Z tego, co widzę, mógłbyś pisać o wszystkim, na co miałbyś ochotę. — Zdjęła okulary i spojrzała na Toma. — Moja przyjaciółka uważa, że to mogłoby okazać się interesujące. Ale słowa to nie moja działka. Bardziej interesują mnie sztuki fizyczne... jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Powinnam odpisać i przeprosić, że tak długo z tym zwlekałam. A zatem mogę cię przedstawić?

— Cóż, to nie jest dokładnie to, co zamierzałem robić. Myślałem o fikcji, ale w tym momencie nie mam jeszcze żadnego pomysłu.

— To byłby dla ciebie dobry początek. Warto spróbować. Może oni ci się nie spodobają albo ty im, ale przynajmniej mógłbyś z nimi porozmawiać.

— Chyba tak.

— Świetnie. — Maisie rozpromieniła się. — Tak się cieszę, że... że mogłam pomóc. Mały szczebelek na drabinie do kariery.

— Mmm... *Sensacja*.

— Słucham, mój drogi?

— Evelyn Waugh. Co za bagno...

Maisie popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Pomyślała, że śmierć Pippy najwidoczniej pomieszała mu trochę w głowie.

Kiedy Tom przyjechał do „Pelicana”, Peter siedział na zewnątrz i popijał kawę.

— Co ty tutaj robisz? — zapytał i natychmiast poczuł się winny, że potraktował Toma zbyt obcesowo. — To znaczy, pomyślałem, że będziesz zajęty pisaniem lub czymś w tym rodzaju.

— Jeszcze nie. Chciałem pogadać o restauracji. Przejdziemy się?

— Jeśli chcesz... — Peter odstawił kubek, a potem krzyknął w stronę kuchni: — Wrócę za kilka minut!

Poszli ścieżką biegnącą na tyłach „Pelicana”, wyszli na ulicę i przeszli przez trawnik, który otaczał katedrę. Był ciepły, słoneczny poranek, ale nie było jeszcze na tyle późno, by wokół zaczęło roić się od ludzi. Obaj włożyli ręce głęboko do kieszeni i patrzyli w ziemię.

— Chciałem tylko zasięgnąć twojej opinii — powiedział Tom.

— Tak?

— Na temat moich udziałów.

— A o co chodzi?

Tom przeszedł od razu do sedna sprawy.

— Kate jest nimi zainteresowana. Peter zatrzymał się.

— Do diabła! Widzę, że nie marnowała czasu.

— Nie. A co ty o tym myślisz?

— Obchodzi cię to? Tom westchnął.

— Oczywiście, że mnie obchodzi. Peter miał skruszony wyraz twarzy.

— Przepraszam, stary, ale po prostu już za dużo tego wszystkiego...

— Wiem.

— Cholera, co za pieprzone draństwo. Ciebie spotkało coś okropnego, a ja się użalam nad sobą. — Peter szukał przez chwilę odpowiednich słów. — Ale to był dla mnie szok. Po tylu latach... Słuchaj, zrób to, co musisz zrobić. Nie mam nic przeciwko temu. Kate dobrze pracuje i jest solidna. Miałaś rację. Gdyby to ode mnie zależało, nadal byśmy kogoś szukali. A ona naprawdę zna się na swojej robocie. — Spojrzał Tomowi prosto w oczy. — Tak, w porządku. Sprzedaj jej te udziały. Jeśli ona tego chce i ty również.

Tom pokiwał głową.

— Tak, myślę, że tak. Usiedli na ławce.

— A z tobą wszystko w porządku? — zapytał Peter.

— Nie jestem pewien, co odpowiadać, gdy ludzie mnie o to pytają. „Tak, świetnie” czy: „Nie, cholernie źle”. Chodzi o to, że nie wiadomo, jak długo trzeba czuć się nieszczęśliwym. Teraz mam ochotę po prostu gdzieś odejść i schować się albo wyjść w nocy i krzyczeć do gwiazd. Martwię się, że ludzie zaczną mnie unikać, bo jestem smutnym starym dupkiem, który powinien wziąć się w garść. Ale za każdym razem, kiedy mam wrażenie, że wychodzę z tego, zaczynam czuć się winny.

— Potrzebujesz więcej czasu.

— Teraz wydaje mi się, że to będzie trwać całe wieki. — Tom spojrzał na wieżę katedry, rysującą się na tle jasnego błękitu nieba. Przebijały przez nią promienie słońca, oślepiając go. — Tak cholernie za nią tęsknię, Pete, tak cholernie mocno. Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego powinienem żyć dalej. Nie ma żadnego innego powodu oprócz Tally.

Peter objął Toma ramieniem.

— Nie możesz tak myśleć.

— Nie, ale myślę.

— A co z Tally?

— W porządku. Chyba lepiej niż ze mną. Z wyjątkiem ostatniej nocy. Miała jakieś koszmary i nie mogła przypomnieć sobie twarzy mamy.

— Mnie się to również przytrafiło, gdy umarł mój tata.

— I mnie, po śmierci mamy. Ale Tally sprawiała wrażenie naprawdę przerażonej.

— A rano było w porządku?

— Chyba tak. Przyszła do mnie i przeprosiła. Przeprosiła! Słyszysz? Za co? Za to, że kocha swoją mamę... — Tom urwał. — Och, Chryste, Pete, nie wiedziałem, że można tyle płakać.

— Musisz przestać o tym myśleć. Tom potrząsnął głową.

— Wiem, co chcesz powiedzieć, ale spróbuj. Zaczynij po prostu myśleć o czymś innym.

— Ale ja chcę myśleć tylko o Pippie. I o Tally.

— I myślisz, że to słuszne? Musisz zacząć żyć dla siebie. Wtedy bardziej przydasz się Tally.

— Przypuszczam, że masz rację.

— Wiem, że tak. Słuchaj, kochany, sprzedaj swoje udziały w restauracji, ale wyznacz sobie jakiś kierunek, zaplanuj coś. Wiem, że to brzmi gruboskórnie i egoistycznie, ale to sposób na przetrwanie. I wcale nie sprawi, że Pippa będzie mniej ważna. Oznacza jedynie, że będziesz starał się znaleźć jakiś sposób, żeby się z tego wyrwać. Zgadza się?

— Tak sądzę.

— No cóż, w każdym razie możesz mi teraz współczuć.

— Dlaczego?

— Ponieważ muszę powiedzieć Rachel, że nasz nowy partner jest kobietą. — Peter poklepał Toma po plecach. — Dalej, zasuwasz do swojego pisania. Ja muszę przygotować setkę lunchów.

Kiedy po południu Peter wrócił do domu, Rachel była w doskonałym humorze. Spędziła dwa dni w Londynie i teraz porządkowała garderobę, by zrobić miejsce na swoje najnowsze nabytki. Ale w tym jej dobrym nastroju było coś, co go niepokoiło.

Pocałowała męża w oba policzki, a potem obwieściła mu nowinę.

— Kochanie, nigdy nie zgadniesz, co chcę ci powiedzieć.

— Spróbuję.

— Chodzi o Sarah i jej męża.

— Tego Richarda z czerwoną twarzą?

— Nie bądź paskudny.

— No co, przecież jest czerwony. Za dużo porto i sera, a za mało ruchu.

— Głuptasie, wiesz, jak on kocha jeść?

— Zauważyłem.

— Cóż, sprawili nam miłą niespodziankę.

— Co masz na myśli? — Już kiedy zadawał to pytanie, słyszał w głowie ostrzegawcze dzwonki.

— Zgodzili się wejść z nami do spółki. Nie tylko wykupią udziały Toma w „Pelicanie”, ale również wyłożą trochę pieniędzy na nowy lokal. Czy to nie cudowne?

Peter zbladł i usiadł na krawędzi łóżka.

— Mógłbyś okazać większe zadowolenie. W końcu to załatwia sprawę, prawda?

Peter nigdy nie był dobry w okłamywaniu Rachel, ale tego wieczoru wykorzystał wszystkie swoje możliwości.

— Sądzę, że nie powinniśmy tak się spieszyć. Widziałem się dzisiaj z Tomem i wcale nie jestem przekonany, czy chce sprzedać swoje udziały. Myślę, że powinniśmy dać mu czas na zastanowienie. Jeśli będziemy go ponaglać, może się rozmyślić. Musimy być cierpliwi.

— A co z Richardem i Sarah?

— Och, myślę, że chętnie poczekają, prawda? Cierpliwość nie należała do zalet Rachel, więc Peter

musiał ją długo przekonywać, że najlepszym działaniem będzie brak działania. Bardzo późno zasnął tej nocy i co chwila się budził, zlany zimnym potem.

Rozdział 19

— I co? Jak poszło? — Tally zarzuciła ojcu ramiona na szyję i obdarowała go pocałunkiem w policzek.

Tom opadł ciężko na kuchenny taboret.

— Powiedz mi! Powiedz!

Sprawa miała wrażenie kompletnie oszołomionego.

— Dostałem pracę.

— Dobra robota! Boże! To znaczy, że jesteś pisarzem. Hurra!

— To jeszcze nic nie znaczy. Dopiero wtedy, gdy coś napiszę.

— Ale co powiedzieli? Pokazałeś im, co potrafisz? I jak to ocenili?

— Pytali o to, co do tej pory robiłem i dlaczego chcę dla nich pracować. Przyjrżeli się temu, co napisałem, a potem powiedzieli, że dadzą mi trzymiesięczny okres próbny.

— Kurczę! A co z pieniędzmi? Tom zmarszczył brwi.

— Nie twój interes.

— Och, tato! Będzie w porządku? Wyżyjemy z tego? Był wzruszony jej troską.

— Kochanie, nie sędzę, żebyś mogła żyć na takim poziomie, do jakiego przywykłaś, ale gdy sprzedamy restaurację i dostaniemy pieniądze za polisy... — z trudem przełknął

ślinę — ...będzie w porządku. I nie zajmie mi to zbyt wiele czasu, więc będę mógł zacząć pisać coś trochę większego.

— Powieść?

— Może.

— Wspaniale! A więc do dzieła — powiedziała Tally, wstała z krzesła i przeszła przez kuchnię.

— Co chcesz zrobić?

— Musimy to uczcić.

— Och, Tal. Nie sądzę...

— Żadnych ale. Musimy razem świętować różne rzeczy i to jest nasz pierwszy krok — powiedziała i uśmiechnęła się smutno.

Tom popatrzył na nią.

— A więc świętujmy.

Tally otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę Laurent Perrier.

— A skąd to się wzięło?

— Nieważne.

— Co ja bym bez ciebie zrobił?

— Miałbyś na początek więcej pieniędzy.

— Czy ja za to zapłaciłem? Tally przytaknęła.

— Rozumiem, co masz na myśli. Daj to. — Tom otworzył butelkę i nalał szampana do dwóch wąskich kieliszków, które podała mu Tally. Wręczył córce jeden z nich i spojrzał jej w oczy. — Za nas, moja kochana.

— Za nas. — Tally stuknęła swoim kieliszkiem w kieliszek ojca. — I za przyszłość.

Kiedy musujący napój spłynął mu po gardle, Tom poczuł, że opada napięcie, które towarzyszyło wszystkim wydarzeniom tego dnia. Nie wyobrażał sobie innej osoby, z którą mógłby teraz świętować. Z jednym wyjątkiem.

Tally zmarszczyła nos i zakaszła, bo szampan dostał się w niewłaściwe miejsce. Poklepał ją po plecach.

— Nie jesteś do tego przyzwyczajona.

— Nie, ale jeśli dobrze pójdzie ci z pisaniem, szybko się przyzwyczaję.

— Jeśli przyzwyczaisz się do tego smaku, wkrótce będziesz musiała znaleźć kogoś bogatszego, żeby się tobą opiekował.

Zastanawiał się, dlaczego jej oczy są takie szkliste i błyszczące. Nie powiedziała mu, że dwie godziny wcześniej zadzwoniła do Alexa Blane-Pfitzera. Nie dawało jej to spokoju od wielu dni, w końcu jednak coś w niej pękło. Nie mogła tak dłużej; pragnęła poddać się uczuciu i podryfować wraz z Alexem w jedną stronę, choć jednocześnie troska o ojca ciągnęła ją w drugą. Będzie lepiej, jak z tym skończy... ale czy naprawdę? W każdym razie na jakiś czas. Wtedy przynajmniej będzie mogła ułożyć sobie wszystko w głowie. Starła się, by jej głos brzmiał tak jak zwykle, i lekkim tonem powiedziała Alexowi, że potrzebuje trochę czasu. Gdy zapytał ją ile, nie potrafiła mu na to pytanie odpowiedzieć.

W połowie sierpnia nadeszły wyniki egzaminów Tally. Tom nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział córkę tak przestraszoną. Miał serdeczną nadzieję, że oceny okażą się na tyle dobre, by dodać jej odwagi, a nie zniechęcić. Nie musiał się o to obawiać. Trzy piątki, pięć czwórek i dwie trójki sprawiły, że Tally podskoczyła z radości i zarzuciła mu rękę na szyję.

— Nieźle jak na dyslektyczkę! — krzyknęła.

— Jestem z ciebie bardzo dumny — powiedział i uściskał ją mocno, siłą powstrzymując łzy.

Kiedy wypili szampana, Tom odważył się powiedzieć, jak bardzo dumna byłaby z niej Pippa.

Tally pomyślała ze smutkiem o Aleksie i zapragnęła do niego zadzwonić, ale się powstrzymała. Zabrała się do przygotowywania uroczystej kolacji dla siebie i ojca.

Tom czekał na wiadomości od Kate, by sfinalizować sprzedaż „Pelicana”, wszystko jednak ciągnęło się dużo wolniej, niż oczekiwała. Okazało się, że Rory to „kawał drania”, któremu nie zależy na szybkim załatwieniu sprawy. Tom zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, ale otwartość i szczerść Kate utwierdzały go w przekonaniu, że można jej ufać. Za każdym razem, gdy spotykał w mieście Petera, rozmawiał z nim wymijająco, mając nadzieję, że nie zacznie mówić o „Pelicanie”, ale Peter również unikał tego tematu. Twierdził, że zgadza się na wszystko, czego chce Tom.

Po lecie przyszła jesień, a ojciec i córka zaczęli wzajemnie zauważać w sobie pewne zmiany. Na początku nie było to nic znaczącego, ot, słabsze napięcie, odrobinę mniej dojmujący smutek. Nadal obchodzili różne rocznice — tak, jak życzyłyby sobie Pippa — robili to jednak teraz w ciszy i skupieniu.

Najtrudniejsze były święta Bożego Narodzenia, gdy radość reszty świata wydawała się czymś dziwnym i sprawiała, że jeszcze boleśniej odczuwali swoją stratę. Tom zaproponował nawet, by wyjechali w tym czasie za granicę, ale Tally nalegała, by spędzili te święta w domu. I tak zrobili — razem z Maisie, która przyszła na lunch z tyloma prezentami, że Święty Mikołaj wyglądałby przy niej jak ubogi krewny, i z Janie, która wpadła w drugi dzień świąt w drodze do swojej matki.

W wigilię Bożego Narodzenia zjawił się Blip z małym, starannie opakowanym prezentem.

— Przyniosłem to dla ciebie — powiedział do Tally. Przypominał jej pastuszka, który przyszedł złożyć hołd

Dzieciątku.

— Mam to położyć pod choinką czy otworzyć? — zapytała.

— Otwórz.

Rozerwała papier, pod którym ukazało się małe pudełko

z imitacji skóry. Zastanawiała się z niepokojem, czy w środku nie ma czegoś zbyt osobistego i zbyt znaczącego. Nie chciała go znowu rozczarować. Otworzyła pudełko, westchnęła, a potem roześmiała się i zapytała:

— A to do czego?

— Na wypadek, gdybyś mnie potrzebowała. Wtedy po prostu zagwiżdżesz.

Wyjęła z pudełeczka błyszczący gwizdek, taki sam, jakich używają sędziowie na meczach piłkarskich, i położyła go na swojej dłoni.

— Jesteś bardzo miły.

Blip utkwiał wzrok w podłodze.

— Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że jestem tu, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Tally przygryzła wargę.

— Dziękuję — powiedziała cicho, a potem go uścisnęła. — Będę to miała zawsze przy sobie.

W gwiazdkową noc patrzyła przez okno, trzymając w dłoni biało-złotą kartkę świąteczną z podpisem „Pozdrowienia od Alexa”. Spojrzała na gwizdek połyskujący w dłoni i zastanawiała się, dlaczego sprawy nigdy nie układają się tak, jak tego oczekujemy.

Zima ustąpiła miejsca wiosnie, a wiosna wczesnemu latu. Tally zrezygnowała z biologii morskiej i skoncentrowała się na angielskim i włoskim z myślą o przyszłej pracy w turystyce. Tom martwił się, że ich tragiczne włoskie wakacje pociągnęły za sobą tak dalece idące konsekwencje, lecz jednocześnie był dumny, że córka złapała byka za rogi. Sam też w pewnym stopniu tego dokonał, podejmując zmagania ze swoją powieścią i przedzierając się z trudem przez ponury okres pisarskiej niemocy.

Kiedy minęła pierwsza rocznica i oboje zastanawiali się,

co dalej, na początku lata zadzwoniła znienacka Janie i sama zaprosiła się do Wilding's Barn.

— Jesteś pewien, że nie masz nic przeciwko temu? — zapytała Toma.

— Oczywiście, że nie. Przydałoby nam się jakieś towarzystwo. Myślę, że Tally jest już mną trochę znudzona.

— Nie mów głupstw, ona cię uwielbia — odparła Janie. — W każdym razie przyjadę na weekend, ale pod warunkiem, że pozwolisz mi gotować.

— Oczekujesz, że odmówię? — zapytał Tom ze szczyptą ironii w głosie.

— Byłbyś pierwszym, który by to zrobił.

— Tak słyszałem.

— Impertynencki drań. Wygląda na to, że wracasz do formy.

— Prawie.

— Wiem — odparła już łagodniejszym tonem. — Słuchaj, jeśli ci pasuje, przyjadę w piątek po południu.

— Świetnie.

— Wszystko ze sobą przywiozę, nie martw się o to. Przygotuj tylko jakieś przyzwoite wino, OK?

— Najlepsze roczniki z mojej piwnicy będą do twojej dyspozycji.

— No myślę, do cholery.

Tom pokręcił głową. Jak zawsze robiła dużo zamieszania, ale teraz go to bawiło.

— I przywiozę ci prezent — dodała Janie.

— Jaki prezent?

— Coś, co da ci natchnienie do pisania. Motyw przewodni dla tych twoich kawałków, które piszesz do tego magazynu.

— Czyli co?

— Zaczekaj, to zobaczysz.

— Janie, nie rób nic nieprzemyślanego.

— A czy ja kiedykolwiek tak postępuję?

— Bez przerwy.

Odłożył słuchawkę, uśmiechnął się do siebie, a potem odwrócił i zobaczył Taiły. Stała w progu z wyrazem oszołomienia na twarzy i miała rozczochrane włosy.

— Co się dzieje, u licha?

— To Alex.

— Alex?

— Ten chłopak, z którym chodziłam... przez jakiś czas.

— Co się stało?

— Zadzwoił.

— I co?

— Zapytał, czy moglibyśmy się znowu spotykać.

— A chcesz?

— Chyba tak.

— To nie brzmi zbyt przekonująco. Zawahała się.

— Jestem po prostu zaskoczona, że zadzwonił. Po takim czasie...

— To dowód, że jest wytrwały.

Taiły nie odpowiedziała. Przez te wszystkie miesiące zdołała przekonać samą siebie, że zdusiła to w zarodku, że porzuciła Alexa dokładnie wtedy, gdy ich uczucie zaczynało się rozwijać. Czy jakiegokolwiek męskie ego mogło dojść do siebie po takim upokorzeniu? Ale on mimo to zadzwonił. To z pewnością musi coś oznaczać. Widocznie nie mógł znaleźć nikogo innego i był szczęśliwy tylko z nią. Chwilowo. Albo... Powstrzymała się przed dalszymi myślami. Mogła na tym poprzestać. Życie poszło dalej. Nie widzieli się prawie rok.

Tom popatrzył na córkę uważnie, zdziwiony jej nieobecny spojrzeniem.

— Jakie to głupie. Co za strata czasu... — mruknęła Taiły.

— Dlaczego?

— Straciliśmy cały rok. Spojrzał na nią ze współczuciem.

— Tak — powiedział łagodnie. — I co zamierzasz z tym teraz zrobić?
— Nie wiem.

Było piątkowe popołudnie. Tally już od półgodziny konferowała z kimś przez komórkę w zaciszu swojej sypialni Tom zaglądał do niej dwa razy, ale odprawiała go ruchem ręki. w końcu zeszła na dół i wymruczała:

— Ta-a-ato?

— Czego chcesz? — zapytał Tom. Stał przy zlewie i zmywał naczynia.

— Skąd wiesz, że czegoś chcę?

— Lata doświadczeń.

— Och...

— Mów wreszcie — powiedział, nie odwracając się.

— Chodzi po prostu o to... Znasz Alexa?

— Słyszałem o nim, ale nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

— Bardzo zabawne.

— Czyżby?

— Chodzi po prostu o to, że państwo Blane-Pfizer...

— To jest ich prawdziwe nazwisko?

— Bądź poważny, tato. Zapytali mnie, czy nie chciałabym pojechać z nimi na wakacje do Devonu.

Tom odwrócił się od upartych resztek lasagne, które usiłował zeskrobać z talerza.

— Kiedy?

— Pierwsze dwa tygodnie sierpnia. Będą tam przez cały miesiąc, ale zapytali, czy nie pojechałabym do nich na dwa tygodnie.

— Cóż...

— Mogę?

Tomowi chwilowo zabrakło słów.

— Chciałbym to przemyśleć. Kiedy masz dać odpowiedź?

— Najlepiej teraz.

Tom był skonsternowany i wstrząśnięty.

— Cóż, nie jestem pewien... Nie planowaliśmy jeszcze wakacji.

— Wiem. Powiedziałam, że prawdopodobnie nie będziesz pewien, więc pani Blane-Pfizer zapytała, czy mógłbyś do niej zadzwonić, bo chciałyby o tym z tobą porozmawiać.

— Naprawdę?

— Myślałam tylko, że...

— Nie sądzę, żebyś cokolwiek myślała. Na tym polega problem. Jak mogę pozwolić, żebyś wyjechała z kimś, kto przez rok się tobą nie interesował, a potem nagle przyszło mu do głowy, że znowu mógłby się z tobą przyjaźnić?

— To była moja decyzja, żeby to skończyć, nie jego.

— A więc nie mogłaś zbyt wiele o nim myśleć, jeśli przez rok świetnie sobie bez niego radziłaś. Dlaczego z nim skończyłaś, skoro był taki wyjątkowy?

— Ze względu na... pewne sprawy.

Chciała powiedzieć „ze względu na ciebie”, ale nie mogła. Dlaczego musiał robić z tego taki problem? Przestała spotykać się z Alexem, ponieważ nie mogła się podzielić na dwie emocjonalne połowy. Odsunęła Alexa, żeby pomóc ojcu, a teraz, gdy czuła, że potrafiłaby przynajmniej zastanowić się nad jakimś trwałym związkiem, on zachowywał się tak nierozsądnie.

— A na dodatek nawet go nie znam i nigdy nie spotkałem jego rodziców — oświadczył Tom. — Zdajesz sobie sprawę, że masz tylko siedemnaście lat?

Tally poczuła się zraniona i dotknięta.

— Ale to tylko dwa tygodnie. Przez telefon wydawali się tacy mili. Nawet jego tata...

— Jasne, jeśli jego tata jest w porządku, to wszystko będzie dobrze.

— Tato, nie bądź śmieszny. Pomyślałam tylko, że cię zapytam, to wszystko. Ale skoro nie zgadzasz się na to, odmówię.

— Dziękuję.

Usta Tally zadrżały, zdołała jednak nad sobą zapanować.

— Nie sądziłam, że będziesz miał coś przeciwko temu.

— Ale mam. Jesteś wszystkim, co mi pozostało, i nie chcę, żebyś włączyła się z jakimś Tomem, Dickiem czy Harrym.

— On nie jest jakimś Tomem, Dickiem czy Harrym. Ma na imię Alex i jest bardzo miły! — krzyknęła Tally i wypadła z kuchni jak burza.

— Nie musimy się przecież kłócić! — zawołał za nią ojciec. — Jak możesz oczekiwać, że się zgodzę, skoro nawet ich nie znam?

Usłyszał trzaśnięcie drzwi od jej sypialni. Rzucił do zlewu ręcznik, który wylądował z głośnym pluskiem w wodzie.

— Gówno! — Usiadł na stołku. — Gówno, gówno, gówno! — Spojrzał na kuchenny zegar. Wpół do trzeciej. Za godzinę przyjedzie Janie i trafi w sam środek rodzinnej awantury. — O cholera! — zaklął. Wyciągnął mokry ręcznik z tłustej wody, wykręcił go i wrzucił do pralki, gdzie czekała już sterta kolorowych rzeczy do prania.

Zupełnie nie był do tego wszystkiego przygotowany. Pracował w restauracji, miał do czynienia z naczyniami, gamkami, patelniami, szklankami, przygotowywaniem posiłków. Ale prowadzenie domu było zupełnie inną sprawą. Jego posiłki, jej posiłki. Jego pranie, jej pranie, zakupy, sprzątanie i pilnowanie, czy Tally ma odpowiednią garderobę. Bielizna. Miał nadzieję, że ją sobie kupuje. Dlaczego teraz pomyślał o jej bieliźnie?

Musiał zajmować się Tally i uprawiać ogród i czasami odnosił wrażenie, iż na pisanie nie pozostaje mu już zbyt

wiele czasu. Postanowił jednak, że zielnik będzie równie wspaniałą jak wtedy, gdy zajmowała się nim Pippa. Na początku nie wiedział zbyt wiele o ziołach, ale pomogły mu książki Pippy, a poza tym szybko się uczył. Zdołał nawet sprzedać w mieście trochę ziół, nie próbował jednak proponować ich Peterowi, bo nie wydawało mu się to właściwe. Tally zaoferowała mu swoją pomoc, podobnie jak Maisie, ale on chciał dbać o zielnik sam, ponieważ miało to dla niego ogromne znaczenie.

Może teraz wszystko osiągało punkt kulminacyjny, może zbliżał się kryzys. Od śmierci Pippy Tom i Tally prawie się nie kłócili. Były między nimi jakieś spięcia, dąsy i ponure nastroje, nigdy jednak nie doszło do regularnej awantury. Nie był nadopiekuńczy, tylko ostrożny, więc dlaczego jego córka zachowała się tak irracjonalnie?

Wyszedł z kuchni i stanął u podnóża schodów.

— Janie zaraz przyjedzie.

Żadnej odpowiedzi. Był najwyraźniej *persona non grata*. Cóż, trudno. Jeśli Tally chce być taka dziecinna, to jej problem. Czegóż zresztą innego można się spodziewać po siedemnastoletniej dziewczynie? Była zbyt młoda, by pojechać na wakacje z ludźmi, których nie znał. Mogłaby sobie nawarzyć cholernego piwa. A co robi, jeśli ona i tak wyjedzie na te dwa tygodnie?

Ukłuło go to jak użądlenie pszczoły. Czyżby był egoistą? Nie. Szczerze się o nią martwił i nie chciał puścić jej do świata, któremu nie ufał. Kim byli ci Blane-Pfitzerowie? Poszedł do swojego gabinetu i zdjął z półki egzemplarz *People of Today* Debretta. Znalazł hasło: „Blane-Pfitzer, David, prezes i dyrektor wykonawczy Unicorn Holdings”. Żonaty, dwóch synów. Przejrzał biografię. Blane-Pfitzer najwyraźniej wysoko mierzył. Sherborne i Cambridge, mecenas kilku organizacji charytatywnych. To oczywiście nie czyniło go automatycznie właściwą osobą do opieki nad jego córką. W końcu nadal są ludzie, którzy myślą, że Kuba

Rozpruwacz to Duke of Clarence... Zaraz jednak przywołał się do porządku i odłożył tomiszcze z powrotem na półkę.

Dlaczego Tally nie może pojechać na wakacje z tym Blipem? On wydaje się raczej nieszkodliwy. Nie ma szybkiego samochodu, jest cichy, spokojny i najwyraźniej mu na niej zależy. Potem przypomniał sobie, jak rozmawiał o nim z Pippą i stwierdził, że Blip może być trochę niebezpieczny. Musi zdecydować się na jedno albo na drugie.

Usłyszał, jak samochód Janie zatrzymuje się na podjeździe, zszedł więc na dół, żeby ją przywitać. Zanim wyszedł z domu, zdążyła już wypłatać się z całego swojego samochodowego bałaganu.

— Chryste! Co za podróż! — wysapała.

— Korki?

— I cała reszta. Spójrz na to... jakiś drań przyłożył mi w samochód na skrzyżowaniu w pobliżu Chichesteru. Cały błotnik porysowany.

Tom przyjrzał się dokładnie karoserii poobijanego golfa. Janie zrozumiała przesłanie.

— Och, no dobrze, może nie jest już w najlepszym stanie, ale dlaczego ten drań jeszcze go pogorszył?

Tom pocałował ją w policzek.

— Nie — zaprotestowała. — Uściskaj mnie. Potrzebuję tego.

— Ja też. — Objął ją ramionami i mocno przytulił.

— Co słyszeć?

Tom odsunął się od Janie.

— Och, właśnie mieliśmy z Tal pierwszą poważną awanturę. Pierwszą od...

— To musiało się zdarzyć. Normalne życie, i tyle.

— Przykro mi, że zdarzyło się to właśnie teraz, gdy przyjechałaś.

— Nie ma sprawy. — Janie wepchnęła do samochodu

resztę wysypujących się rzeczy i zatrzasnęła drzwi, zanim zdążyły zderzyć się z bramą. — O co poszło?

— O wakacje. Janie uniosła brwi.

— Tally chce jechać do Devonu ze swoim nowym chłopakiem. To znaczy ze swoim nowym starym chłopakiem.

— Aha, rozumiem. A tata nie bardzo się na to zgadza, tak?

— A ty byś się zgodziła?

— Nie jestem jej tatą.

— No właśnie.

Janie otworzyła bagażnik i zaczęła wyjmować kartony z jedzeniem.

— Możesz to zabrać?

— Dobry Boże! Ilu ludzi chcesz tu żywić?

— Tylko nas, chyba że chcesz jeszcze kogoś zaprosić. Na przykład jakichś chłopaków.

— Nie przeginaj.

Przerwali rozmowę, bo w oknie sypialni pojawiła się Tally. Janie spojrzała w górę.

— Cześć, ślicznotko! Rozumiem, że z twojego taty niezły drań.

Tally uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

— Zejdiesz na dół, żeby nam pomóc? Tally odeszła od okna.

— Czy możesz nie opowiadać się po żadnej ze stron? — zapytał nerwowo Tom.

— Nie opowiadam się po żadnej ze stron, tylko pomagam oczyścić atmosferę.

— No tak, ale chyba wolałbym, żeby oczyściła się sama w swoim czasie.

Janie szturchnęła go łokciem w zebro.

— ZPH.

— Co?

— Załamanie poczucia humoru.

— Janie, to poważna sprawa.

— Oczywiście. Bardzo poważna. Inaczej nie chciałyby jechać z nim na wakacje.

— Nie to miałem na myśli.

— Wiem. — Janie mrugnęła do niego porozumiewawczo. — Dalej, tutaj są rzeczy, które muszą znaleźć się w lodówce, zanim się rozpułną. Zostaw otwarte okna w samochodzie, dobrze? Cześć, kochanie! — przywitała się w drzwiach z Taiły i podała jej karton wypełniony po brzegi makaronem, świeżymi truskawkami, bitą śmietaną i brzoskwiniami. — Chyba przyjechałam w samą porę.

Zjedli w ogrodzie przy starym dębowym stole nakrytym kraciastym obrusem. W blaszanych latarenkach, które Janie znalazła w stodole, migotały płomienie świec. Był ciepły wieczór, a Tom tak kierował rozmową, by unikać tematu wakacji. Gdy sprzątnął ze stołu i wszedł do domu, żeby zrobić kawę, Janie zwróciła się do Taiły:

— Ciężkie chwile?

— Chyba tak — mruknęła z urazą Taiły.

— Nie martw się. Zgodzi się. Po prostu próbuje cię chronić, to wszystko.

— Dlaczego więc nie zadzwoni do nich i nie porozmawia? Wtedy przekonałby się, że wszystko jest w porządku.

— Dlatego, że jest twoim tatą.

— Ale to takie przykre.

— Zostaw to mnie. Pogadam z nim.

— Nie. Nie chcę, żeby pomyślał, że coś kombinuję za jego plecami.

— Jak miło...

— Co masz na myśli?

— Uważam, że to wspaniale, że tak ci na tym zależy.

— Naprawdę mi zależy, nawet jeśli on myśli, że tak nie jest. — Taiły spojrzała na Janie wielkimi jasnoniebieskimi oczami. — Chodzi o to, że chciałabym lepiej poznać Alexa,

a przy tym trochę się rozerwać. Tata i ja zajmujemy się sobą już od roku.

— A ty chciałabyś odzyskać swoje życie?

— Tak sędzę. Ale to brzmi przerażająco. Myślę po prostu, że każde z nas powinno zacząć znowu żyć swoim życiem.

— Powiedziałaś mu o tym?

— Nie. Jedna połowa mnie uważa, że to zły pomysł, a druga...

— Wiem. Bądź cierpliwa.

— Ale ja muszę dać im odpowiedź do końca weekendu, w przeciwnym wypadku brat Alexa zabierze swojego przyjaciela.

Janie popatrzyła na nią ze współczuciem.

— Jestem pewna, że się zgodzi.

— Tak, ale do tego czasu może już być za późno. Tom wyłonił się z kuchni, niosąc tacę z kawą.

— Słuchajcie, mam dla was prezent — powiedziała Janie.

— Jaki prezent? — zapytała Taiły.

— Coś, co was rozweseli. Źródło inspiracji dla twojego ojca i towarzystwo dla ciebie.

Tom popatrzył na nią z wyraźnym niepokojem.

Janie poszła do samochodu i otworzyła bagażnik. W gęstniejącej ciemności Taiły i Tom nie widzieli dokładnie, co robi, ale gdy wyłoniła się z mroku, niosła karton przewiązany sznurkiem.

— Co to jest? — zapytała podekscytowana Tally. Janie postawiła pudło na jej kolanach.

— Otwórz i zobacz.

Tom był wyraźnie zaniepokojony.

— Janie!

Ale Tally już rozwiązała sznurek i odchyliła wieko kartonu.

— Och! Och, jaki śliczny! — zawołała. — Jest cudowny!

— To ona.

Tally wyjęła z pudła maleńkiego biało-beżowego kociaka.

— Co do cholery... — zaczął Tom.

— Zanim się rozzłościś, wysłuchaj, co mam do powiedzenia. Pomyślałam, że już najwyższy czas, żebyście oboje mieli o czym myśleć.

— Ale takim czymś trzeba się opiekować.

— Ze zwierzętami zazwyczaj tak bywa, choć większość ludzi radzi sobie z tym bez większego kłopotu.

— Ale...

— Żadnych ale, Tom.

— A więc dlaczego?

— Przyglądałam się wielu pisarzom pracującym dla gazet i czasopism i zauważyłam, że wszyscy mają zwierzęta, o których piszą. Kilku facetów wiedzie całkiem dostatni żywot, pisząc o psach. Pomyślałam więc, że teraz nadszedł czas, by zwrócić uwagę czytelników na koty.

— To śmieszne.

— A ja uważam, że wspaniałe. — Tally kołysała w dłoniach kociaka.

— Pozwoliłaś, żeby tak długo siedziała w samochodzie? Cud, że się nie ugotowała.

— Bzdura, jest wystarczająco chłodno. A poza tym spała, gdy przyjechałam.

— Prawdopodobnie wiedziała, że to jedyny sposób na przetrwanie jazdy z tobą za kierownicą — mruknął Tom.

— Nie słyszałam tego.

Tally podniosła kociaka i zajrzała mu w oczy. Maluch zamiauczał.

— Jak się nazywa?

— To zależy od ciebie — odparła Janie.

Tally ostrożnie położyła kotka na kolanach Toma i patrzyła, jak ojciec głaszcze maleńkie zwierzątko.

— Wendy — powiedziała po chwili. — Zaraz wrócę. Muszę zadzwonić.

Tom patrzył, jak Tally odchodzi.

— Wendy! Co to za imię? — oburzył się. — Dlaczego Wendy? — zapytał, zwracając się do Janie.

— Pamiętasz *Piotrusia Pana*?

— Oczywiście.

— No i kim była Wendy?

— Opiekowała się Zaginionymi Chłopcami. Janie uśmiechnęła się.

— Właśnie.

Rozdział 20

Pani Blane-Pfizer — „mów mi Helen” — wydawała się bardzo miła.

— Pewnie się martwisz, ale naprawdę niepotrzebnie. Nie spuścimy z nich oka, a poza tym w domu jest mnóstwo pokoi.

Tom przypuszczał, że powiedziała tak po to, by go uspokoić, i miał ochotę zapytać: „No dobrze, ale jaką mamy pewność, że ciemną nocą nie będą przekradać się do siebie na paluszkach?”. Pohamował się jednak. Nie chodziło o to, że nie ufał Tally: ufał jej bez zastrzeżeń i wierzył w jej zdrowy rozsądek. Ale jak mógł zaufać temu chłopcu? Też kiedyś był młody i wiedział, jak to jest.

— Może przyjedziesz do nas na weekend? Mamy dużo miejsca dla gości.

— Och, nie, w porządku.

— Koniecznie musisz przyjechać. Będzie nam naprawdę bardzo miło.

— Cóż, jeśli jesteś pewna...

— Absolutnie. Słuchaj, przyjedziemy po Tally w sobotę około jedenastej i wtedy będziemy mogli się wszyscy poznać. Czy to brzmi sensownie?

— Tak, świetnie.

Cóż więcej mógł powiedzieć? Blane-Pfitzerowie byli tacy rozsądni i rozważni. Tally pojedzie na wakacje do Devonu, a on musi oswoić się z tą myślą. Czuł jednak, że pozwolił, by inni weszli mu na głowę. Wszystko zaczęło się od Janie. Zapytała go, jak może odmawiać, zwłaszcza że robił to samo, kiedy miał piętnaście lat, nie wspominając o siedemnastu. Wkrótce uświadomił sobie, że dłużej nie wytrzyma, i zadzwonił do pani Blane-Pfitzer, by sprawdzić, czy jeszcze mają wolny pokój. „Mnóstwo” — odparła. Dlaczego zatem Tally powiedziała mu, że musi szybko dać odpowiedź, ponieważ w przeciwnym wypadku jej miejsce zajmie przyjaciel brata Alexa? A może Alex użył tego argumentu jako wybiegu, by ją usidlić? Zaraz jednak skarcił się za taki brak zaufania.

Kilka dni później powiedział Tally przy śniadaniu, że się zastanowił i pozwala jej jechać. Czuł się okropnie, gdy zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go.

— Przepraszam, że byłam taka wstrętna — powiedziała, a wtedy poczuł się jeszcze gorzej.

— Och, nie przejmuj się. Obiecuj mi tylko, że będziesz ostrożna.

— Obiecuję.

— Jest jeszcze jedna sprawa.

— Tak?

— Blane-Pfitzerowie zaprosili mnie na weekend, ale nie przyjadę, jeśli wolisz, żebym trzymał się z daleka.

— To wspaniały pomysł!

— Nie masz nic przeciwko temu?

— Oczywiście, że nie. Pod warunkiem, że nie będziesz krytykować mojego stylu ubierania się.

— Spróbuję.

— Och, cudownie.

Patrzył, jak biegnie na górę, bez wątpienia po to, by zadzwonić do swojego adoratora i podzielić się z nim nowinami. Sierpień zaczynał się za dwa tygodnie. Miał przed

sobą pół miesiąca zamartwiania się i oczekiwania, a potem co? Pustka. Perspektywa samotności ani trochę mu się nie podobała. Poszedł do ogrodu, żeby powyrywać chwasty z zielnika, i próbował myśleć o czymś innym. Nie udało się.

— Dlaczego wtedy do mnie zadzwoniłeś? — zapytała Tally Alexa.

— Nie mogłem już dłużej czekać. Musiałem się dowiedzieć, czy w ogóle nie chcesz mnie widzieć, czy potrzebujesz tylko przerwy.

— Po takim czasie?

— Pomyślałem, że będziesz potrzebowała roku, że musisz przeżyć pierwszą rocznicę, i tak dalej.

— Tak... — Tally była zaskoczona rozwagą i troskliwością Alexa. — A co z Edynburgiem?

— Nie pojechałem.

— Co?

— Miałem rok przerwy.

— Ale dlaczego? Gdzie byłeś?

— W Europie. Pomyślałem, że muszę dojść ze sobą do ładu. Cieszę się, że tak zrobiłem. Miałem mnóstwo spraw do przemyślenia.

Pod koniec rozmowy kręciło jej się w głowie. Czy miała coś wspólnego z jego decyzją odłożenia na rok studiów w Edynburgu? Ogarnęło ją przedziwne uczucie — mieszanina radości i poczucia winy, że być może ma na niego zbyt silny wpływ. A teraz spędzi z nim dwa tygodnie. Była to ekscytująca, choć jednocześnie niepokojąca perspektywa. A jeśli im się nie uda? Musi się udać. Ale może jego rodzina okaże się wymagająca i trudna? Zaryzykuje. Jeśli tata przyjedzie w połowie wakacji, zawsze może z nim wrócić, gdyby coś było nie tak. Między innymi właśnie dlatego cieszyła się, że ojciec do nich dołączy. Ale także będzie

przyjemnie znowu go zobaczyć i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Oparła się o parapet i patrzyła, jak ojciec pracuje w ogrodzie. Teraz codziennie zajmował się zielnikiem. Obserwowała, jak przez chwilę wyrywa chwasty, a potem siada na trawie, patrzy w dal i znowu wraca do pracy.

Czasami czuła taki smutek, że aż bolało, a innym razem znajdowała gdzieś głęboko w sobie siłę i optymizm. Nigdy nie mogła przewidzieć, jaki stan umysłu przeważy danego dnia. Życie sprawiało wrażenie rozpedzonej kolejki w wesołym miasteczku. Usiłowała zachować równowagę, chociaż nie bardzo wiedziała, jak to zrobić.

Kotka leżała w koszyku w nogach łóżka. Tom nalegał, by spała na dole, dopóki pewnego dnia nie odkrył, że wspina się po zasłonkach. Tally stwierdziła, że łatwiej będzie opiekować się Wendy, gdy zamieszka w jej sypialni. Tom nie miał ochoty się sprzeczać, więc kuweta, miseczki i koszyk w kształcie igloo zostały przeniesione na górę.

Tally często siadywała przy oknie z kotką na kolanach i patrzyła na zbocza Susseksu. Powoli odzyskiwała zdolność koncentracji. Przez pierwsze miesiące po śmierci matki nie była w stanie na niczym się skupić. Lekarz zasugerował wówczas, że ma się niczym nie przejmować, nie przemęczać i nie wywierać na siebie presji. Tally nie chciała iść do lekarza, ale kilka tygodni po pogrzebie Tom zmusił ją do tego. Była zadowolona, że go posłuchała. Miała dojmujące poczucie straty, lekarz jednak zapewnił ją, że to naturalne i że właśnie tego należało oczekiwać. Spróbowała mu uwierzyć i powoli zaczęła odzyskiwać panowanie nad własnym życiem. Ale niektóre rzeczy ciągle sprawiały ból. Najbardziej brakowało jej fizycznej obecności mamy. Czasami żałowała, że Pippa nie została pochowana, tylko skremowana. Wtedy miałyby przynajmniej grób, który mogłaby odwiedzać. Przy-

znała jednak sama przed sobą, że to niemądre. Mama nadal była w jej duszy, więc jakie znaczenie miało, że jej prochy zostały rozsypane na trawie w odległej części Susseksu? Próbowwała o tym nie myśleć, bo nadal było to zbyt przerażające.

List od Kate Lundy nadszedł z poranną pocztą. Tom oczekiwał telefonu i był zdziwiony takim formalnym podejściem do sprawy, ale po chwili doszedł do wniosku, że Kate chce po prostu załatwić wszystko jak należy. Oferta była zredagowana językiem prawniczym i przedstawiała się całkiem nieźle. Zadzwoił do Kate do domu.

— Halo?

— Mówi Tom Drummond.

— Cześć!

— Właśnie dostałem twój list.

— Jest w porządku? Przepraszam, że to trwało tak długo. Mam nadzieję, że nie zrezygnowałaś ze mnie?

— Nie, skądże. Myślę, że wszystko się uda. Skontaktuję się z moim radcą prawnym i każę przygotować papiery.

— Och, to fantastycznie.

— Cieszę się, że jesteś zadowolona. Czy Peter coś mówił?

— Ani słowa. Dziwne, pomyślał Tom.

— A czy ty coś mu mówiłaś?

— Nie, nie chciałam mówić „hop”, póki nie przeskoczę. A poza tym nie byłam pewna, jak to przyjmie.

— OK. Zadzwonię do niego i powiem mu, że finalizujemy sprzedaż moich udziałów.

— Dobrze. A ja wobec tego nadam bieg sprawom ze swojej strony.

Wymienili jeszcze kilka uprzejmości, po czym pożegnali się. Stało się, zrobił to. W uldze, którą odczuwał, była odrobina smutku, chociaż od ponad roku nie postawił nogi w „Pelicanie”. Był zaskoczony, że ani Peter, ani Rachel nie robili żadnego zamieszania. Podejrzewał, że nie mają go

tówki, pomyślał także, że może Rachel wykazuje nietypowe zrozumienie dla stanu jego umysłu.

Cieszył się, że zdołał posunąć się naprzód ze swoją powieścią. Bywały dni, kiedy wydawało mu się, że usiłuje piórkiem nabierać melasę, ale rękopis robił się coraz grubszy. Pisanie pozwalało mu uciekać w inny świat, dawało krótkie chwile wytchnienia. Wkraczał w nową fazę swojego życia; nadal była z nim jego ukochana córka, ale to przecież zupełnie co innego — to on miał prowadzić ją przez życie, opiekować się nią i strzec, a nie opierać się na niej. Był świadom, że nie ma nikogo, z kim mógłby dzielić sprawy wymagające intymności na innym poziomie niż relacja * pomiędzy ojcem a córką. Tally również miała przed sobą trudne zadanie. Wyjrzał na ogród. Trawa była wysoka, zroszona kryształkami porannej rosy. Potem ją przytnie i doprowadzi do porządku. Wydawało mu się, że wszystko, na co będzie go dzisiaj stać, to doprowadzanie ogrodu do porządku.

Zanim rosa zniknęła z trawy, zadzwonił do Petera, który wprawdzie potwierdził swoją zgodę, ale jego głos nie brzmiał radośnie. Pół godziny później oddzwonił.

— Słuchaj, stary, zdaje się, że możemy mieć mały problem.

— Jaki problem?

— Z restauracją. Widzisz, Rachel ma parę przyjaciół, którzy są nią zainteresowani. Spotkałeś ich u nas w zeszłym roku. To Sarah i Richard, wiesz, ta babka obwieszona biżuterią i facet z czerwoną twarzą.

— Wszyscy byli obwieszeni biżuterią.

— Sarah miała jej więcej niż pozostali. W każdym razie

oni chcą kupić twoje udziały w „Pelicanie” i zainwestować razem z nami w nowy lokal. Wspaniale, co?

— Cóż, gdybym wiedział wcześniej, może coś by z tego wyszło.

— Ale nie jest za późno, prawda? Nie wspominałem o tym do tej pory, ponieważ... cóż, ponieważ wiedziałem, że masz wystarczająco dużo na głowie, no i wydawało mi się, że sprawa utknęła w miejscu. Chodzi o to, czy możesz powiedzieć Kate, że masz lepszą ofertę?

— Ale ja już się zgodziłem.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła dramatyczna cisza. W końcu Peter oświadczył:

— Powiedz Kate, że nie możesz przyjąć jej oferty.

— Dlaczego?

— Dlatego, że... tyle lat byliśmy razem. Jesteś mi to winien.

— Nic o tym nie mówiłeś, kiedy w zeszłym roku rozmawialiśmy na ten temat. Powiedziałem ci o Kate, a ty zgodziłeś się, że to dobry pomysł.

— Ale to było wtedy, a teraz jest teraz.

Tom poczuł, że kielkuje w nim ziarenko gniewu.

— Pete, nie mogę zmieniać swojego zdania tylko dlatego, że ty zmieniłeś swoje.

— Ale ja tylko czekałem, bo... Chodzi o to, że Rachel rozpaczliwie pragnie mieć na pokładzie Sarah i Richarda.

— Aha, rozumiem.

— Nic nie rozumiesz.

— Myślę, że rozumiem. Przykro mi, Pete, ale to twój problem. Dałem słowo Kate i nie mogę się teraz wycofać.

— Ale jeszcze nie podpisałeś umowy.

— Zgodziłem się, a to wystarczy. Potrzebowała całych wieków, żeby uporządkować swoje sprawy, i nie mam zamiaru jej zawieść. Już dość wycierpiała.

— Och, to bzdury, totalne bzdury.

— Możliwe, ale jest, jak jest.

— Chciałbym, żeby tak było. Cholernie chciałbym, żeby tak było.

Tom głęboko wciągnął powietrze.

— Och Boże, Boże, Boże...

Podejrzewał jednak, że Peter już tego nie usłyszał, bo w tym momencie bez słowa pożegnania odłożył słuchawkę.

— Teraz masz już dość bielizny?

— Założę się, że pytasz o to wszystkie dziewczyny!

— Nie żartuj. — Tom spojrzał znacząco na swoją córkę. — Mogę coś jeszcze szybko wyprać, jeśli chcesz. Jeżeli teraz włączę pralkę, do rana będzie już suche.

— Tato, bielizna wychodzi mi już uszami.

— To, co ty nazywasz bielizną, i to, co ja nazywam bielizną, to dwie różne rzeczy.

— Mam nadzieję. Nie chciałabym zobaczyć cię w koronkach.

— Och, bardzo zabawne!

— Rozchmurz się, tato. Wszystko będzie dobrze. Nie będę rozmawiać z obcymi mężczyznami, tylko z tymi, których znam.

— A jego ojciec i brat?

Taiły podeszła do ojca. Stał przy kredensie w korytarzu z naręczem ręczników. Miał potargane włosy i zatroskaną, zmęczoną twarz.

— Jesteś pewien, że poradzisz sobie beze mnie? — zapytała.

Wzruszył ramionami.

— Prawdopodobnie nie. — Włożył ręczniki do szafy i zamknął drzwi.

— A co z miesiączką?

— Właśnie mi się skończyła. — Taiły objęła ojca i uściskała go. — Jesteś zabawny.

— Co masz na myśli?

— Och nic. — Westchnęła i spojrzała mu w oczy. — Dziękuję, że jesteś.

Tom zmierzwił jej włosy.

— Zawsze będę.

— Mam nadzieję. Poklepał ją po ramieniu.

— Chodź, wypijemy szklaneczkę przed spaniem. Nie wiem jak ty, ale ja jestem zrabany.

— Wiesz, tato, ostatnio pogorszył ci się język.

— No cóż, mam mnóstwo stresów, a większość z nich przez moją błędną córkę.

— Błędną? Chyba mi się to podoba. Jak rycerz w lśniącej zbroi.

— No tak, ale pamiętaj, że lśniaca zbroja może zmatowieć i stracić blask.

— A rycerz może zamienić się w nikczemnika? Spojrzał na nią z zadumą.

— Czasami martwię się, że twoje słownictwo nie jest zbyt bogate, a kiedy indziej mnie zaskakujesz.

— Tak jak z włoskim?

— Właśnie. To było cudowne. Byłem z ciebie bardzo dumny. Twoja mama również.

Wydawało mu się, że zanim opuści go po raz pierwszy, powinna się dowiedzieć, że matka i ojciec byli z niej dumni. Z trudem przełknął ślinę, próbując przetrwać tę chwilę. I wygrał.

— Chodź, mała, wypijemy po kieliszku wina, a potem utulę cię do snu. Chociaż zupełnie nie rozumiem, dlaczego osoba w twoim wieku nadal potrzebuje koło siebie tych wszystkich zabiegów.

Tally otworzyła usta ze zdumienia, a Tom mrugnął do niej porozumiewawczo.

— Ostatni przy półce z winami jest babą! — zawołał. Przepchnął się obok niej i popędził schodami w dół.

Dogoniła go przy drzwiach do kuchni, chwyciła z półki butelkę czerwonego wina i z triumfem uniosła ją ponad jego głowę.

— Wygrałam!

— A więc pora na zamianę ról.

Rozdział 21

Tom czuł ucisk w żołądku. Nadal leżałby sobie w łóżku i obserwował, jak wstaje słońce, gdyby nie uczucie mdłości, które w nim wzbierało. Poprzewracał się kilka razy na boki, a potem wstał i podszedł do okna. Otworzył je szeroko i zaczerpnął świeżego powietrza. Drzewa na szczycie dalekiego wzgórza przebijały się przez poranną mgłę niczym fontanna. Zszedł na dół, by zrobić kawę.

Gdy już wziął prysznic i ogolił się, zrobiło się wpół do dziewiątej, ale Tally jeszcze nie wstała. Zapukał do jej sypialni, odpowiedziało mu jednak tylko ciche mruczenie, które tak dobrze znał. Otworzył drzwi i spojrzał na kłębek zwinięty pod kołdrą z Kubusiem Puchatkiem. Właśnie miała wyjechać na wakacje z mężczyzną, a nadal trzymała się kurczowo dzieciennych atrybutów.

— Nie śpisz?

Odpowiedział mu tylko pomruk.

— Będą tutaj za półtorej godziny.

Jęknęła. Żadnego znaku ręką, dłonią czy głową.

— Chcesz kawy?

Usłyszał kolejne jęknięcie i nad nadrukowanym na kołdrze garnczkiem z miodem ukazała się ręka. Potem pojawiła się wreszcie głowa.

— Która godzina?

— Wpół do dziewiątej.

Głowa opadła z powrotem na poduszkę.

— Och, nie.

— Obawiam się, że tak.

— Nie chcę jechać.

— Co...?

— Boję się — wymamrotała Tally i ukryła twarz pod kołdrą.

— Nie bądź głupia.

— A jeżeli okażą się okropni?

— Nie będą okropni.

— Mogą być.

— Kto tutaj stara się kogo przekonać? Myślałem, że chcesz jechać. —

Tom przeszedł przez pokój i odgarnął włosy z oczu córki. — Dalej, głuptasie, pod prysznic. Po* czujesz się lepiej, gdy się umyjesz.

— Założę się, że nie.

— Cóż, nie musisz jechać. Możesz zostać tutaj i gotować dla mnie.

— W porządku, pojedę. — Usiadła na łóżku i zakołysała nogami.

— Wiedziałem, że to zadziała.

Tally przetarła oczy i poczłapała do łazienki.

Tom spojrzał na jej otwartą walizkę, wypełnioną po brzegi dziewczęńskimi ciuszkami i innymi rzeczami. Podeszedł do biurka, na którym leżała, i zaczął się zastanawiać, jak jego córka zamierza ją zamknąć. W jednym rogu zauważył małego pluszowego misia, niemal całkowicie przykrytego ręcznikiem, a w drugim starannie złożony trój kącik czarnego jedwabiu.

Usiadł na łóżku. Pozostawienie walizki dokładnie tak, jak ją Tally zapakowała, wymagało z jego strony ogromnej siły woli.

Blane-Pfizerowie byli punktualni, przyjechali nawet dziesięć minut przed czasem. Mercedes zachrząścił na żwirowej

alei i z wdziękiem zakręcił na podjeździe. Ojciec i córka usłyszeli go z sypialni Tally.

— Cóż... przyjechali po ciebie — mruknął Tom.

— Tak.

Objął córkę ramieniem.

— Baw się dobrze.

— Spróbuję.

— Tylko...

— Tak, będę uważać na siebie. I nie martw się. — Staneła na palcach i pocałowała go. — Wszystko będzie dobrze.

— Może to właśnie mnie martwi. Spojrzała mu w oczy.

— Nadal cię potrzebuję. Jesteś moim tatą.

— Tylko twoim tatą.

— Nie. Nie tylko. Kimś więcej. Ujęła jego dłoń i nie patrząc na niego, powiedziała: — Kocham cię.

Uniół jej głowę wskazującym palcem. Chciał powiedzieć „A ja ciebie”, ale zdobył się tylko na kiwnięcie głową. Pociągnął nosem i wziął głęboki oddech, a potem spojrzał na walizkę — brzuchatą, ale zamkniętą.

— Zaniosę ją na dół.

— Poradzę sobie. Tom uniół brwi.

— Dziękuję — powiedziała Tally i uśmiechnęła się. Zeszli do frontowych drzwi, by przywitać Blane-Pfitzerów,

którzy właśnie wysiadali ze srebrnego samochodu. Rodzice wymieniali uprzejmości, a Tally podeszła do Alexa. Pani Blane-Pfitzer otworzyła bagażnik i podeszła, by wziąć walizkę Tally. Kiedy rzuciła na nią okiem, przywołała męża.

— Davidzie, myślę, że lepiej będzie, jak ty ją weźmiesz. Obaj mężczyźni odwrócili się do niej.

— Och, nie martw się — powiedział pospiesznie Tom i zaniósł walizkę w stronę samochodu. — Tutaj?

Potem wszyscy wsiedli do auta — Tally wcisnęła się na tylne siedzenie pomiędzy Alexa i jego młodszego brata.

Gdy samochód powoli odjeżdżał, Tom zobaczył, jak córka bezgłośnie wypowiada słowa pożegnania: „Uważaj na siebie”, a potem macha mu. Byłoby to zabawne, gdyby tak bardzo nie bolało.

Kiedy odjechali, usiłował skupić się na jakimś zajęciu. Przyciął trawę, chociaż rosa nie zdążyła jeszcze wyschnąć. Kosiarka zostawiła wszędzie małe kawałki zmielonej zieleniny, więc spędził pół godziny na ich zbieraniu. Potem wyrwał chwasty wokół rabarbaru i walczył z miętą, zmuszając ją, by rosła tam, gdzie powinna.

Potem usiadł przy laptopie, ale mógł myśleć tylko o Tally. Gdzie teraz są? W Poolle? W Exeter? Na pewno zadzwoni, by powiedzieć mu, że dojechali. A może zapomni, podekscytowana nową sytuacją?

Telefon zadzwonił o drugiej. Dojechali. Ruch był duży, ale już są na miejscu. Dom jest cudowny, z widokiem na zatokę. Są palmy i łodzie i słońce świeci, i... Tally sprawiała wrażenie szczęśliwej.

Tom odłożył słuchawkę z uczuciem ulgi i ze złamanym sercem. Teraz jego córka była zdana na siebie, przynajmniej do przyszłego weekendu. Powiedział sobie, że jest nadopie-kuńczy, a może nawet zachowuje się jak neurotyk. Na miłość boską, przecież Tally ma siedemnaście lat! Musi mieć trochę niezależności. Problem polegał na tym, że już za nią tęsknił.

Ponownie wrócił do laptopa i zaczął pisać.

Podróż do Salcombe upłynęła w napięciu. Ruch uliczny denerwował ojca Alexa, co wywoływało nieprzyjemne sprzeczki między nim, jego żoną i bratem Alexa. Henry nie odrywał się od gry komputerowej i gdy naciskał guziki, wbijał łokieć w bok Tally. Próbowwała z nim porozmawiać, ule w odpowiedzi otrzymała tylko gniewne spojrzenie.

Alex raz uściskał jej rękę i uśmiechnął się, rozmowa nie kleiła się jednak. Kiedy zatrzymali się na podjeździe przy długim niskim domku stojącym na szczycie wzgórza, Tally obawiała się najgorszego, ale gdy podróż dobiegła końca, napięcie również wyparowało. Nawet Henry rzucił swoją grę na siedzenie i wysiadł z samochodu w pogodnym nastroju.

— Witaj w Salcombe — szepnął jej do ucha Alex. — Teraz będzie lepiej.

I było.

Ojciec Alexa, tak gderliwy i nieprzystępny w samochodzie, rozprostował ręce i nogi, a potem powiedział:

— Dzięki Bogu! — Uśmiechnął się do Tally i dodał: — Przepraszam. Byłem trochę spięty, ale teraz jest dużo lepiej. Alex, weź Tally i pokaż jej okolice.

Alex wziął ją za rękę i zaprowadził na tył domu. Był tam wyłożony kamieniem taras, obramowany pomarańczowymi kwiatami i zielonymi liśćmi. Wzdłuż tarasu biegł niski kamienny mur, a za nim rozpościerał się widok na zatokę, która połyskiwała jak ciemnoniebieski aksamit posypany szafirami. W dole iskrzyła się zatoka jaśniejąca w popołudniowym słońcu, a nad nią wznosiło się zielone sklepienie wzgórz Devonu. Łodzie kołysały się na kotwicach, statki spacerowe pruły fale, a zielone liście szeleściły poruszane morską bryzą.

— Ojej! Jak pięknie!

— Wiedziałem, że ci się spodoba. Chcesz zobaczyć swój pokój?

Nie czekając na odpowiedź, wciągnął ją do salonu. Stały tam przykryte perkalowymi pokrowcami fotele oraz sofa, a dalej znajdowały się kręte schody prowadzące na piętro. Sufity były niskie, wyłożone belkami z ciemnego dębu, a drzwi zrobiono z prostych desek pomalowanych błyszczącą białą farbą. Kiedy weszli na piętro i dotarli do końca korytarza, Alex nacisnął żelazną klamkę niskich drzwi i wprowadził

Tally do środka. W małym pokoju było pojedyncze łóżko przykryte narzutą w róże, niewielka biała szafa, toaletka pomalowana w kwiaty i umywalka. Ale najbardziej imponującą rzeczą był widok z małego mansardowego okienka z cienkimi białymi zasłonkami, które falowały

poruszane ciepłą bryzą: Tally zobaczyła rozpościerającą się przed nią zatokę. Stało tam krzesło z różową poduszką, więc klękła na nim i wychyliła się, żeby lepiej widzieć.

— Jest fantastycznie! Bardzo ci dziękuję, że mnie tutaj zaprosiłeś.

— A ja dziękuję, że przyjechałaś. — Nachylił się i pocałował ją. Zapadła krótka chwila niezręcznego milczenia, a potem Alex powiedział: — Lepiej przyniosę twoją walizkę. Mam nadzieję, że szafa będzie wystarczająco duża.

Przyglądała mu się przez moment — miał na sobie białą * koszulkę polo, zielone szorty i znoszone sandały — a potem odwróciła się, by znowu popatrzeć na zatokę. Było po prostu bosko. Nagle poczuła ostre ukłucie smutku. Po raz pierwszy była na wakacjach bez matki i ojca. Oparła głowę o framugę okna i głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić. Potem jeszcze raz popatrzyła na połyskującą w słońcu zatokę, czując jednocześnie smutek i radość. Bardzo pragnęła, żeby tata mógł to zobaczyć. A potem zadzwoniła do niego i powiedziała, że dojechała cała i zdrowa.

Tom wyglądał przez okno, gdy znowu zadzwonił telefon. Była piąta po południu. Dzień mijał powoli i chociaż na początku wyglądało na to, że Tom nie działał niczego więcej poza skoszeniem trawnika, częściowym uporządkowaniem grządek i wypraniem poszwy na kołdrę z Kubusiem Puchatkiem, po jednej stronie biurka piętrzyła się już spora sterta zapisanych kartek maszynopisu.

— Tom? Tu Janie. Był zaskoczony.

— Cześć! Jak się miewasz?

— To ja miałam o to ciebie zapytać.

— No cóż...

— Tak właśnie myślałam. Potrzebujesz towarzystwa?

— Jeśli zapytałabyś mnie o to dzisiaj rano, odpowiedziałbym, że nie. Przez cały czas użalałem się nad sobą. Ale teraz bardzo chętnie.

— Będę za godzinę.

— Myślałem, że jesteś u mamy.

— Mogę znieść sporą dawkę szkockiego zdrowego rozsądku, ale potem mam ochotę uciekać i krzyczeć. Jestem w pobliżu Andover. I muszę się upić i poprze-klinać.

— Dobry Boże... Wobec tego przyjeżdżaj. Upiję się i po-przeklinam razem z tobą.

Tom roześmiał się i odłożył słuchawkę. Dzięki Ci, Boże, za Janie, jedyny głos rozsądku w tym zagmatwanym, pełnym smutku świecie.

Powitał ją w progu uściskiem i pocałunkiem.

— Ładnie wyglądasz.

— Dzięki, jesteś bardzo miły... jak nigdy do tej pory. No, widzę, że doprowadziłeś się do porządku.

Tom miał na sobie białą lnianą koszulę i granatowe spodnie, a jego twarz i ramiona były opalone dzięki tygodniom terapeutycznego wyrywania chwastów w ogrodzie.

— Musisz jeszcze obciąć włosy — dodała po chwili Janie. Otworzył butelkę schłodzonego białego wina.

— Teraz dla nikogo nie muszę wyglądać elegancko. Restauracja już nie... to znaczy...

— Wiem. Ale jak dla mnie, wyglądasz całkiem nieźle.

— Może być kurczak? Pewnie to niezbyt wyszukana potrawa, nie spodziewałem się jednak nikogo.

— Świetnie. Przepraszam, że tak późno zadzwoniłam.

— Nie musisz przeproszać. Cieszę się, że mam towarzystwo.

Janie usiadła na kuchennym stole i patrzyła, jak Tom przygotowuje jedzenie.

— Ciężko było się rozstać z Tally? Pokiwał głową.

— To naprawdę głupie. Wiem, że dorasta, ale nie potrafię się przyznać, że nie chcę, by z tego korzystała...

— Obawiam się, że to nieuniknione.

— Chyba tak.

— Na pewno tak. Sama to przerabiałam, kochanie.

— I przeżyłaś?

— Niewiele brakowało, a byłoby po mnie.

Tom nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego Janie nie zdołała zatrzymać przy sobie żadnego mężczyzny. Była niezwykle atrakcyjną kobietą. Dzisiejszego wieczoru splotła swoje ciemobrazowe błyszczące włosy we francuski warkocz. Ubrana była w jasnoniebieską lnianą bluzkę odsłaniającą talię, białe dzinsy i włoskie buty na płaskim obcasie. Miała ciemne brązowe oczy, które robiły się czarne, gdy była zła lub podekscytowana, skórę o delikatnym oliwkowym odcieniu i równe białe zęby. Pochłaniała ogromne ilości jedzenia i strasznie denerwowała tym Pipkę, ponieważ nigdy nie przybierała na wadze. Zapewniała ją jednak, że — jak wszystkie Włoszki — przytyje, gdy dojdzie do czterdziestki, co miało przecież lada chwila nastąpić.

Kurczak się piekł, a oni wyszli na zewnątrz i usiedli pod starą jabłonią przy stole nakrytym kraciatą serwetą, gdzie często jadali latem. Janie poczuła, że coś miękkiego i ciepłego ociera się o jej nogę. Spojrzała w dół.

— Cześć, mała, gdzie się podziewałaś?

— Tam, gdzie nie powinna. W sypialni Tally.

— O Boże! Rozzłościłaś szefa, co? — Janie przeniosła spojrzenie z kota na Toma. — Jak ona się miewa?

— Aż za dobrze. Chciałbym na nią ponarzekać, ale prawie

jej nie widuję. Cóż, do teraz. Chyba będę musiał się nią zająć, kiedy jej pani wyjechała.

Kotka owinęła się wokół nogi od stołu i zaczęła z nią walczyć, a potem nagle zamknęła oczy i zasnęła.

— Ona należy tak samo do ciebie, jak i do Tally. Ty zajmiesz się nią, a ona tobą.

— Och, myślę, że już nie trzeba się mną zajmować.

— Hej, ty nieszczęsny draniu, nie przyjechałam tu, żeby wysłuchiwać twoich narzekań.

— Przepraszam. Zrobiłem duży postęp z moją powieścią. To naprawdę zabawne, bo zupełnie się tego nie spodziewałem. Słowa zaczęły płynąć i nie mogłem już ich powstrzymać.

Siedzieli pod jabłonią do kolacji — każde po jednej stronie stołu — przy migotliwym świetle świec. Druga butelka wina zupełnie ich odprężyła. Janie bez przerwy skarżyła się na szkocki konserwatyzm swojej matki, który przez ostatnie kilka lat doprowadzał ją do szaleństwa. W końcu Tom roześmiał się i zaczął ją błagać, żeby przestała.

— Och, jestem po prostu wdzięczna, że to na mnie nie przelazło. Dzięki Bogu, jestem bardziej *da Milano* niż Morningside. Chryste! Wyobrażasz to sobie? Doskonała panna Janie Brodie. Co za okropność!

— Jesteś szalona.

— Boże, mam nadzieję. Nienawidzę myśli, że mogłabym tak skończyć, gdybym była normalna.

Tom oparł się wygodnie o poręcz ławki.

— Czego ty szukasz, Janie? Kariery czy mężczyzny?

— Och, pieprzyć karierę. Wolałabym mieć mężczyznę. Teraz pomyślałeś pewnie, że sama się tego pozbawiłam, prawda? Naprawdę bardzo się starałam. — Janie zmrużyła oczy. — Ale jeszcze się nie poddaję. Biedna zabłąkana stara krowa.

— Nie pleć głupstw.

— Och, to o wiele bardziej skomplikowane. Głupota należy do zestawu moich cech. Cóż, może pewnego dnia się uda... — Przerwała na chwilę i upiła duży łyk wina. — A co z tobą?

— A co ma być?

— Co z przyszłością?

— Nie mogę jeszcze o tym myśleć.

— Nie, chyba nie.

— Tak wiele próbuję zrozumieć. Janie pokiwała głową.

— Czasami wydaje mi się, że nie mam przed sobą żadnej przyszłości — dodał Tom. — I przeważnie tak właśnie jest. Innym razem po prostu nie chcę jej mieć. Od czasu do czasu tęsknię jednak za tym, żeby wstać i pójść dalej. Tak jak dzisiaj. Ale to nie trwa długo. Czuję, że nie mogę sobie na to pozwolić.

— Ale musisz.

— Muszę?

— Tak. W przeciwnym wypadku zmarnujesz życie.

— Mam wrażenie, że to się już stało.

Janie wstała, obeszła stół i usiadła obok niego na ławce.

— Nie wolno ci tak myśleć. Jeśli to zrobisz, będziesz skończony.

Tom opuścił głowę.

Janie uniosła palcem jego brodę.

— Jesteś wspaniałym mężczyzną i nie możesz pozwolić, żeby tak się stało.

— Dzięki, ale wydaje mi się, że moje życie zamarło. Myślę tylko o Tally. A ona niedługo odejdzie, wyjedzie na uniwersytet lub coś w tym rodzaju. Tak naprawdę już mi się wymyka. Wiem, że muszę jej na to pozwolić, ale to takie trudne.

Janie chwyciła go za ramię i przyciągnęła do siebie. Położył głowę na jej kolanach.

— Poradzisz sobie. Jesteś twardy — powiedziała.

— Nie chcę być twardy, Janie. Chcę tylko pozwolić jej odejść — odparł Tom, patrząc na gwiazdy nieobecny spojrzeniem.

— Wiem. Też przez to przechodzę, ale wyłącznie z własnej winy. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest, gdy tracisz to, co najważniejsze w życiu.

Tom westchnął.

— To brzmi egoistycznie i czuję się winny, gdy to mówię... ale tęsknię za tym, żeby kogoś kochać.

Janie zmierzwiła jego potargane włosy i przez kilka chwil siedzieli w milczeniu. Tom wciąż trzymał głowę na jej kolanach, a ona głaskała go po włosach.

— Och, Tom... — powiedziała cichym, łagodnym głosem, patrząc w górę, by uniknąć jego spojrzenia. — To cholernie trudne i jeśli chcesz, możesz mi powiedzieć, żebym się zamknęła i wyjechała... ale tak bardzo cię kocham.

Nie odezwał się ani słowem. Serce waliło jej w piersiach i wiedziała, że wszystko zepsuła. Potem spojrzała w dół i zorientowała się, że zasnęła.

Z jej oczu popłynęły łzy. Głaskała go po włosach, dopóki nie zgasła ostatnia świeca.

Rozdział 22

— Przepraszam, że wczoraj wieczorem zebrało mi się na sentymenty.

— Nie ma za co.

Siedzieli przy kuchennym stole, Tom nieogolony, w starej koszuli i szortach, a Janie w długiej koszulce, z włosami spiętymi klamrą.

— Nie dlatego chciałem, żebyś przyjechała, ale przynajmniej mogłem sobie trochę pojęczeć.

— Wiem. I nie dlatego przyjechałam, ale przynajmniej mogłam posłuchać twojego jęczenia. — Janie wypła łyk soku pomarańczowego.

— A więc dlaczego przyjechałaś? — zapytał lekkim tonem, nie oczekując poważnej odpowiedzi.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Tak. — Tom ugryzł wielki kęs grzanki. Odstawiła szklankę i spojrzała na niego ponad stołem.

— Przyjechałam, ponieważ chciałam mieć pewność, że wszystko w porządku.

— Co? — Tom żuł swoją grzankę. — U mnie i u Taiły?

— Nie. Tylko u ciebie.

Przełknął grzankę, a potem uśmiechnął się.

— Spokojnie. Mógłbym to źle zrozumieć. Janie wzruszyła ramionami.

Tom sprawiał wrażenie zaintrygowanego.

— Gdybym nie znał cię tak dobrze...

— Ale znasz. Lepiej niż inni.

— Co ty mówisz?

— Nic. Zupełnie nic. — Janie uśmiechnęła się smutno. — Nie martw się, Tom. Nie zrobię nic głupiego. Zeszłej nocy niemal zrobiłam. Rozpaczliwie pragnęłam iść z tobą do łóżka. Przytulić cię i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

— Och, Janie... — Tom potrząsnął głową. — To bardzo miło z twojej strony, ale nie ma potrzeby...

— Daj spokój, Tom. Nie jestem miła, jestem egoistką. — Janie wypila kolejny łyk soku i wyjrzała przez okno. — Po prostu bardzo chciałam spędzić z tobą trochę czasu, to wszystko.

— Naprawdę?

— Przepraszam, nie powinnam nic mówić. Tom wziął głęboki oddech.

— Nie mówisz poważnie!

— Och, mówię.

— Ale nigdy nie wspominałaś... nie wiedziałem...

— A dlaczego miałabym to robić? Pippa była moją najlepszą przyjaciółką, a ty byłeś jej mężem.

— Ale zawsze byłaś taka...

— Nieuprzejma?

— No właśnie. Janie uśmiechnęła się.

— To była tylko zasłona dymna. Uwielbiałam cię. Tom potarł brodę.

— Och, Tom. Naprawdę nie ma żadnego powodu do zmartwienia. Nie będę ci się narzucać. Usiłujesz ułożyć sobie to wszystko w głowie, i ja również. Nigdy w życiu nie czułam się tak winna. Ale to nie moja wina, choć wygląda na to, że życzyłam jej śmierci. Nie było tak ani przez chwilę. Bardzo ją kochałam. Znasz to powiedzenie, że najgorszą rzeczą, jaka może ci się przytrafić, jest spełnienie marzeń?

Tom milczał.

— Cóż, tak właśnie jest ze mną. — Janie dopiła sok. — Lepiej już pojadę — powiedziała i wstała od stołu.

— Nie, poczekaj. Nie odchodź. — Wyciągnął rękę i chwycił ją za nadgarstek. — Usiądź na chwilę.

Janie odwróciła głowę i wtedy zobaczył, że ma łzy w oczach.

— Chryste, Janie, popatrz na mnie. Miss Twardego Orzecha... Powinienem napisać książkę pod tytułem *Piąć prostych sposobów na spieprzenie sobie życia*.

— Aż tyle?

Odwróciła się i zobaczyła, że Tom się uśmiecha.

— Przepraszam, ty stary draniu.

— Nie, nie przepraszaj. Bardzo mi schlebiasz, ale...

— Ale jesteś urażony?

— Nie, nie urażony. — Tom zamyślił się na chwilę. — Oszołomiony. I zażenowany. Minął dopiero rok.

— A jak długo zamierzasz być pograżony w żałobie? Tom odetchnął głęboko.

— Och, przepraszam. Powiedziałaś straszną rzecz.

— Nie. Chodzi o to...

— Co powiedzą sąsiedzi? Co powiedzą inni ludzie? Ile czasu powinno upłynąć, żeby wystarczyło? Dwa lata? Trzy? To tyle straconego życia.

Tom odwrócił się od zlewu.

— Janie, myślę, że powinnaś przestać, zanim powiesz coś, czego będziesz żałowała.

— Żałuję tych rzeczy, których nie mówię.

— A co z Tally?

— Nie wiem. Nie proszę cię, żebyś zrobił coś dramatycznego. Po prostu zastanów się nad tym, to wszystko. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że jeśli tęsknisz za odrobiną towarzystwa, wolałabym, abyś wybrał mnie, a nie kogoś innego.

Tom odwrócił się, jakby szukał jakiegoś wsparcia.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Och, Tom, przestań być dla siebie taki surowy. Wczoraj powiedziałeś, że rozpaczliwie pragniesz kogoś kochać.

— Byłem pijany.

— I tylko dlatego? A co z *in vino veritas*!

— To nie w porządku.

— W doskonałym porządku. Nie tylko straciłeś żonę, straciłeś również siebie. Swój sposób życia. Nie wiedziałeś, że żonaci mężczyźni żyją dłużej niż samotni? Kobiety potrafią radzić sobie same, a mężczyźni nie.

Tom uniósł brwi.

— Więc próbujesz przekonać mnie, że powinienem wejść w kolejny związek?

Janie potrząsnęła głową.

— Nie. Może masz rację. Jestem tylko głupią kobietą i wdałam się w rozmowę, której nigdy nie powinnam była zaczynać.

Tom podszedł do stołu i usiadł naprzeciwko.

— Przepraszam. Chodzi o to, że mam problemy i nie potrafię się od nich uwolnić. Robię małe postępy, ale to nie jest łatwe. Pippa odeszła, ciągle jednak jest tutaj. Widzę ją wszędzie, gdzie tylko spojrzę, w każdej filiżance i szufladzie, w ogrodzie. — Tom odwrócił się do okna. — Widzę ją czasami, jak klęczy wśród swoich ziół. A potem ogród jest znowu pusty, jej nie ma, aja jestem sam.

— I jest ci z tym dobrze?

— Nie, nie jest. Ale muszę być pewien, że wiem, co robię.

— Czy kiedykolwiek jesteśmy tego pewni? Wzruszył ramionami.

Janie wstała.

— Lepiej pojedę, zanim sąsiedzi zaczną gadać. Tom popatrzył na nią.

— Nie poznaję cię. Nigdy nie dbałaś o to, co o tobie mówią.

— Oczywiście, ale zależy mi na tym, co mówią o tobie. I o Tally.
— Nie sądzę, żeby Maisie cokolwiek zauważyła.
— Nie masz racji. Jest bystrzejsza, niż ci się wydaje.
— Co masz na myśli?
— Och, pewnego dnia ci powiem. W każdym razie to nic takiego, czym musiałbyś się przejmować.
Tom wstał i objął ją ramionami.
— Jesteś zabawna. Przez te wszystkie lata dawałaś mi popalić, a teraz coś takiego...
— Przykro mi.
— Przestaniez wreszcie mówić, że ci przykro? To tylko mały szok, nic więcej. A ja przecież nie jestem w twoim typie.
— Mogę sama o tym zdecydować?
— Sądzę, że ja też mam coś do powiedzenia w tej sprawie, prawda?
Opuściła wzrok.
— Tak. Głupia jestem, że o tym nie pomyślałam.

Stał w progu domu pogrążony w jakimś hipnotycznym transie, patrzył, jak Janie odjeżdża, i zastanawiał się, czy to wszystko mu się nie przyśniło. W roztargnieniu wyjął pocztę ze skrzynki: dwa rachunki, jedną ulotkę i list w kremowej kopercie. Charakter pisma był dziwnie znajomy. Tom otworzył kopertę i usiadł przy kuchennym stole:

*Drogi Tomie,
musiałam napisać ten Ust, bo wydaje mi się, że to dla nas jedyne możliwe wyjście. Peter i ja pracujemy z Tobą w „Pelicanie” już od wielu lat i byliśmy oczywiście głęboko zasmuceni ostatnimi wydarzeniami, zwłaszcza Twoją decyzją opuszczenia restauracji.*

Jesteśmy jednak przekonani, że powinniśmy dostać szansę odkupienia Twoich udziałów, ponieważ nie można pozwolić, by trafiły do kogoś obcego lub do osoby, która jest w naszej firmie zupełnie nowa. Kiedy Peter powiedział mi, że nie chcesz sprzedać nam udziałów, uznałam, że musimy zwrócić się do prawnika.

Jeśli się zastanowisz i uznasz, że nie jest to konieczne, będziemy bardzo usatysfakcjonowani i gotowi do negocjacji oraz polubownego załatwienia sprawy.

Proszę, odezwij się do mnie jak najszybciej.

Z poważaniem Rachel

Tom włożył list z powrotem do koperty, a potem podszedł do telefonu i zadzwonił do swojego prawnika.

— Co zrobiłaś? — zapytał Peter.

— Napisałam do niego.

— O czym?

— Że jeśli nie sprzeda nam swoich udziałów w „Pelicanie”, podejmiemy działania prawne. — Rachel siedziała przy wykonanym z chromu i drewna stoliku śniadaniowym w eleganckim apartamencie przy Cloisters numer 1. Wzięła kawałek suchej grzanki i pomyślała o swojej talii.

— Ty głupia kobieto! — krzyknął Peter.

— Nie mów do mnie w ten sposób. Tom nie miał prawa działać za naszymi plecami.

— On nie działał za naszymi plecami. Powiedział mi, co zamierza zrobić. Zapytał mnie nawet o zgodę. — Peter stał po przeciwnej stronie kuchni i popijał mocną czarną kawę z wielkiego kubka.

— I pozwoliłeś, by sprzedał swoje udziały tej Kate Monday.

— Lundy!

— Kogo to obchodzi? To nasza restauracja i powinniśmy robić z nią to, na co mamy ochotę.

— Błąd. To moja restauracja i to ja powinienem robić z nią to, na co ja mam ochotę.

Rachel odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

— Chyba nie mówisz tego poważnie.

— Cholernie poważnie.

— Nie ma powodu, żeby się złościć.

— Och, właśnie że jest. Jest wiele powodów, żeby się złościć.

— Cóż, jeśli tak się na to zapatrujesz, będę musiała znaleźć jakiś inny sposób, żeby to załatwić.

— Nie sądzę.

— Co masz na myśli?

— To mój interes, mój i Toma — odparł Peter. — Nie lwój. Jeśli chcesz mieć restaurację, idź i kup sobie jakąś.

— O czym ty mówisz?

— Słyszałaś. Kup ten lokal za swoje pieniądze. Albo swoich przyjaciół. Nie moje.

— Nie ma powodu, żebyś wpadał w jeden z tych swoich nastrojów.

Peter podchwycił jej spojrzenie.

— Nie wpadam, tylko po prostu ci mówię, co powinnaś zrobić.

Sto pięćdziesiąt trzy mile dalej, na zewnątrz domu stojącego na wzgórzu w zatoce Salcombe, Tally patrzyła, jak Alex i jego ojciec wyciągają z garażu małą żaglówkę. Był pierwszy poranek jej wakacji. W nocy spała dobrze, u rano obudziły ją krzyki mew.

Poprzedniego wieczoru prowadzili podczas kolacji przy-

jacielską i swobodną rozmowę, chociaż Tally wyczuła lekkie napięcie panujące między Alexem i jego ojcem. Nie potrafiła jednak odkryć jego przyczyny. Bardzo chciała zapytać o to Alexa, ale nie miała odwagi.

Poszli spać o jedenastej. Przed drzwiami jej sypialni przeżyli trudną chwilę, ponieważ Tally była pewna, że Alex zamierza pocałować ją na dobranoc, ale on uśmiechnął się tylko, bo jego rodzice i brat wciąż wchodzili i wychodzili z łazienki.

Rano wstała z łóżka, oparła się na parapecie i szeroko otworzyła okno, by wpuścić do pokoju świeże powietrze. Na jasnej błękitnej wodzie nie było jeszcze zbyt wielkiego ruchu. Słyszała daleki odgłos dzwonek na masztach i czuła na twarzy ciepło słońca. Wokół niej odbijały się echem krzyki kłócących się mew. Poczowała nagłe ukłucie pustki, która ogarnęła ją mimo blasku tego poranka i pięknego widoku. Poszła cichutko do łazienki, zamknęła drzwi i wzięła prysznic, by przygotować się do dnia, który na nią czekał. Dnia pełnego nadziei i strachu.

Włożyła szorty i koszulkę, a potem przewiązała włosy opaską, by nie spadały jej na twarz. Wyciągnęła z szafy parę sportowych butów, które kupiła specjalnie na te wakacje. Później przejrzała się w lustrze, wyciągając szyję, by sprawdzić, jak jej nogi wyglądają w szortach i butach. Miała nadzieję, że świetnie.

Przy śniadaniu Alex niemal jej nie zauważał. Skinął tylko głową i zdawał się całkowicie pochłonięty płatkami i mlekiem. Po chwili jednak uśmiechnął się do niej. Może nie był rannym ptaszkiem. Najwyższy czas się tego dowiedzieć.

Potem rozpoczęła się dyskusja na temat łodzi. David Blane-Pfizer powiedział, że spuszczą ją razem na wodę i Alex wraz z Tally będą mogli z niej korzystać, pod warunkiem jednak, że założą kapoki i będą ostrożni. Tally najchętniej poszłaby na spacer i zwiedziła miasto, ale nie chciała

rozczarować ani ojca, ani syna, więc uśmiechnęła się i powiedziała: — Wspaniale.

Spuszczaniu łódki na wodę towarzyszyło kilka ostrych słów skierowanych przez ojca do syna: „Nie! Uważaj na miecz! Łap tę cumę. Szybko!”.

Alex prawie się nie odzywał, ale robił wszystko, czego życzył sobie ojciec. Kilka razy spojrzał z zakłopotaniem na Tally, jakby chciał ją przeprosić za jego zachowanie. A ona robiła, co mogła, żeby nie wchodzić im w drogę.

Potem wypłynęli sami na wodę, a w uszach dzwonił im jeszcze głos Davida Blane-Pfitzera, który wołał coś do nich z pochylni.

Alex odetchnął z ulgą.

— Dzięki Bogu!

Tally uśmiechnęła się, mając nadzieję, że ojciec Alexa znajduje się już wystarczająco daleko, by tego nie usłyszeć.

— Przepraszam — powiedział chłopak. — Zawsze tak się zachowuje przy tej swojej łodzi. Jestem zaskoczony, że łak szybko nas puścił.

— Cudowny dzień. Alex spojrzał na niebo.

— Tak, ale wyszło trochę niezręcznie.

— W porządku.

— Będzie lepiej, jak wszyscy odpoczniemy, a Henry przeboleje, że nie mógł zaprosić swojego kumpla.

— Mówiłeś, że nie ma pokoi, a wygląda na to, że jest ich mnóstwo.

— Owszem, tylko mama nie przepada za Eddiem, więc powiedziała tak jego rodzicom.

— Ale ty twierdziłeś, że muszę szybko podjąć decyzję albo pojedzie z wami przyjaciel Henry'ego.

Alex zaczerwienił się; na jego twarzy malowało się poczucie winy.

— Powiedziałem tak, żebyś się pospieszyła. Bardzo chciałem, żebyś pojechała.

Tally uśmiechnęła się.

— Jesteś paskudny.

Alex odwzajemnił uśmiech.

— Pewnie tak. Masz coś przeciwko temu? Potrząsnęła głową i pomyślała, że teraz nareszcie wie, dlaczego tu się znalazła.

Rozdział 23

Drukarka szumiała, wypuszczając ze swojego wnętrza zadrukowane strony. Tom zebrał je i przejrzał, by upewnić się, czy maszyna właściwie wykonała swoją robotę — ostatnio bywała trochę kapryśna — a potem usiadł z powrotem na krześle i wyrzął przez okno gabinetu na kolorowy ogród i dalekie bladozielone wzgórza.

Przez ile lat oglądał ten widok? Szesnaście? Siedemnaście? Nigdy nie czuł się nim zmęczony, ale teraz było w nim coś przykrego. I w tym, że jego krzesło stało zawsze zwrócone w tym samym kierunku. Gruby maszynopis *Wywołując fale* leżał w czerwonej teczce na blacie małej komody. Spojrzał na słowo „Koniec”, a potem dołożył jeszcze ostatnie dwanaście stron, zamknął teczkę i włożył ją do szuflady. Skończone. Zrobione. Teraz mógł zacząć pisać nową książkę. Ta myśl go zaskoczyła. Tak długo koncentrował się na tej powieści, że nigdy nie wyobrażał sobie nawet, iż mógłby napisać coś innego. Ale tytuł miał już gotowy, a to oznaczało nowy początek.

Wstał z krzesła, podniósł róg biurka i przestawił je tak, że siało przodem do ściany. Niedobrze. Musiałby patrzeć w bok, by wyrzeć przez okno. Obrócił się na krześle i znowu spojrzął na znajomy widok. Tally nie było już od dwóch dni i poza jednym telefonem nie miał od niej żadnych wiadomo-

ści. Ale przecież zadzwoniłaby, gdyby coś było nie w porządku, prawda? Musi przestać tak się o nią martwić. I o Janie.

Podszedł do okna, wychylił się i głęboko odetchnął. Prawie nie miał odwagi zapytać sam siebie, co do niej czuje. Był zbyt przerażony. Szok po śmierci Pippy nadal był jeszcze świeży, chociaż... po raz pierwszy, od kiedy ją stracił, czuł, że nie jest całkiem samotny. Świadomość, że ktoś go pragnie, a może nawet kocha, była pocieszająca.

Jak mógł tak pomyśleć zaledwie po roku? Ale jak długo człowiek powinien przeżywać żałobę? Jak długo będzie musiał czekać, zanim poczuje w domu zapach kobiecych perfum, znajdzie torby z zakupami na kuchennym blacie, poczuje obok siebie w łóżku miękkie ciepłe ciało i usłyszy śmiech?

Potrzebował szopy. Maisie miała rację. Bernard Shaw miał rację. Spojrzał na zielnik. W dalszym narożniku ogródka było miejsce, gdzie stawiał land-rovera, kiedy coś w nim przerabiał. Teraz był tam wolny kawałek trawy — doskonałe miejsce na szopę. Tam nadal będzie częścią całego domu, lecz jednocześnie znajdzie odosobnienie sprzyjające pisaniu. Będzie to nowe miejsce, nie obciążone żadnymi wspomnieniami i może wreszcie pozwoli mu ruszyć do przodu. Przynajmniej odrobinę.

Zadzwonił do jednej z miejscowych firm. Tak, mają szeroki wybór różnych szop. Tak, może przyjechać i obejrzeć. Tak, mogą dostarczyć towar w ciągu tygodnia. Był na dobrej drodze.

W drugim dniu wakacji Tally nadal unikała telefonu di) ojca. Bardzo pragnęła do niego zadzwonić, ale postanowiła, że musi najpierw stanąć na własnych nogach. Gdyby dzwoniła zbyt często, prawdopodobnie oczekiwalby codziennych telefonów, a ona chciała być niezależna.

Drugiego dnia Alex zapytał rodziców, czy mógłby wraz z Tally zjeść śniadanie w letnim domku wychodzącym na zatokę. Czy mogliby wieczorem zrobić tam grilla? Ku zdziwieniu Tally rodzice nie sprzeciwiali się, ale mimo to zdenerwowała się, gdy Alex zaproponował, by spotkali się tam o wpół do dziewiątej następnego ranka. Martwiła się, że Blane-Pfizerowie uznają to za niezbyt uprzejme zachowanie, albo — co gorsza — pomyślą, że ona i Alex mają jakieś ukryte zamiary.

Alex był jednak bardzo przekonujący, a rodzicom najwidoczniej było to obojętne, więc w końcu ustąpiła. Wstała wcześniej, ubrała się i zeszła cicho do ogrodu prosto w słoneczny poranek. Przeszła po nierównych kamieniach, którymi wybrukowany był taras na tyłach domu, a potem przecięła niewielki spadzisty trawnik. Pokryta rosą trawa kłuła ją w bose stopy. Dotarła do pobielonego letniego domku i zobaczyła, że jest pusty. Już miała zawrócić, gdy tuż nad swoim ramieniem usłyszała czyjś niski głos:

— Cześć!

Odwróciła się i zobaczyła Alexa z paczką płatków w jednej ręce i butelką mleka w drugiej. Miał potargane włosy, które połyskiwały w porannym słońcu, jakby były przetykane złotymi nićmi. Ubrany był w spłóviałą koszulę do rugby w biało-czerwone pasy i szorty.

— Cześć! — odpowiedziała i zarumieniła się. Kiwnął głową w stronę drzwi.

— Możesz...?

— Tak, oczywiście.

Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Przeszedł obok niej i postawił pakunki na starym stole, przy którym stały dwa chyba jeszcze starsze krzesła, a tkanina, którą były wyściełane, była wypłóviała i popruta.

Patrzyła, jak podchodzi do małego kredensu, otwiera drzwi, a potem wyjmuje dwie miseczki i dwie łyżki.

— Skąd wiedziałeś...

Uśmiechnął się.

— Włożyłem je tam zeszłej nocy.

Wyjął również karton soku pomarańczowego i dwie szklanki. Tally uśmiechnęła się.

— Nie wiedziałam, że byłeś skautem.

— Patrol Mew. Ale byłem tylko zastępcą, a nie dowódcą patrolu.

— Cóż... to też robi wrażenie.

— Pewnie! — Odstawił szklanki oraz karton z sokiem i podszedł do niej. — Wyglądasz cudownie.

— A ty wyglądasz, jakbyś dopiero wstał.

— Bo dopiero wstałem. — Objął ją ramionami. — Ale za to śniłem o tobie.

Poczuła, że się czerwieni.

— Mam nadzieję, że to były miłe sny.

Pokiwał głową, a potem pochylił się i pocałował ją. Tally znowu poczuła ściskanie w żołądku. Objęła go i poczuła jego język w swoich ustach. Nie zrobiła nic, by go powstrzymać. Ręce Alexa powoli przesuwaly się wzdłuż jej talii, aż dotarły prawie do piersi. Podniosła dłonie, by je zatrzymać, i chwyciła mocno.

Alex natychmiast wycofał się.

— Przepraszam — powiedział cicho. Tally uśmiechnęła się i opuściła wzrok.

— Nie musisz.

Po chwili spojrzała na niego i zapytała z ożywieniem:

— A co ze śniadaniem?

Przez cały dzień czuła się, jakby fruwała w powietrzu. Ranek spędzili na łodzi; wpłynęli do ujścia rzeki i zatrzymywali się na małych skrawkach plaży, by zjeść kupione w sklepie kanapki i wypić colę. Po raz pierwszy od tych fatalnych wakacji we Włoszech Tally zabrała ze sobą aparat

i fotografowała zatokę oraz Alexa za sterem łodzi. Siedzieli na piasku, obserwowali inne łodzie kołyszące się na delikatnych falach i rozmawiali o wszystkim i o niczym. W pewnej chwili Alex zerwał się nagle i poprosił przestraszonego wczasowicza, żeby zrobił im zdjęcie — on obejmujący ją ramionami, ona lekko skrępowana. Od czasu do czasu całował ją, a ona jego, ale dłonie Alexa nie dotykały niczego poza jej ramionami i rękami.

Po południu zrobiło się gorąco, zdjęła więc koszulkę, pozostając w samym staniku z lycry.

— O kurczę! — krzyknął Alex.

— Za duże? — zapytała Tally z niepokojem w głosie.

— Nie. W sam raz — odparł i po chwili dodał, widząc jej uniesione brwi: — W porządku. Powinienem się kontrolować.

— Nie chcę, żebyś pomyślał, że...

— Ciii! Jest upał.

Alex również zdjął swoją koszulkę, odsłaniając szeroki tors opalony na złoty kolor i obsypany piegami. Tally odwróciła się zakłopotana i zaczęła obserwować łodzie pływające po kanale.

Usiadł przy niej i objął ją ramieniem.

— O czym myślisz?

— O tym, jaka jestem szczęśliwa.

— A nie smutna?

— Troszeczkę, ale nie za bardzo.

— Cieszę się. Odwróciła ku niemu twarz.

— Dziękuję, że mnie zaprosiłeś.

— Dziękuję, że przyjechałaś.

Zapadła cisza, ale nie była niezręczna ani krępująca. Tally pochyliła się i pocałowała go lekko w policzek.

— Co będziemy robić wieczorem?

— Ach, właśnie chciałem cię zapytać...

— O co?

— Mam tutaj kilku przyjaciół. Przyjechali w zeszłym tygodniu. Zastanawiałem się, czy chciałabyś ich poznać.

— Och... — Tally była trochę rozczarowana perspektywą dzielenia się nim z innymi, ale jeśli chciał, by spotkała się z jego przyjaciółmi, nie mogła odmówić. Może powinna potraktować to jako komplement. — Świetnie. W porządku.

— Jeśli nie masz ochoty, to nie.

— No cóż, zamierzałam tylko być trochę samolubna.

— To miłe.

— Nie, wcale nie. Bardzo chętnie poznam twoich przyjaciół.

Kłamała. Była zdenerwowana i spięta, chociaż przed chwilą po raz pierwszy od wielu tygodni czuła się odprężona i zrelaksowana. Zbeształa samą siebie, że jest tak nietowarzyska i że nie cieszy się możliwością poznania jego przyjaciół. Przez resztę popołudnia próbowała dobrze się bawić, lecz wizja spędzenia wieczoru z nieznanymi wisiała nad nią jak czarna chmura. Wydawało się, że Alex tego nie zauważa, a może był zbyt uprzejmy, by o tym wspominać.

Kiedy zadzwonił telefon, Tom był przekonany, że to Tally. Okazało się jednak, że dzwoni Peter, który chciał zapytać, czy może wpaść na drinka.

— Słuchaj, przepraszam cię — powiedział Tom — ale nie mam ochoty na spotkanie z tobą.

— Chciałbym ci tylko wszystko wyjaśnić.

— A co z listem Rachel?

Adwokat Toma powiedział, żeby nie przejmował się procesem, którym groziła Rachel, i czekał na rozwój wypadków.

— Och, pieprzyć ten list. I pieprzyć Rachel.

Toma zdziwiła ta ostatnia uwaga; był wprawdzie przyzwyczajony do przekleństw Petera, ale nigdy nie słyszał, by odnosiły się do Rachel. Powiedział Peterowi, żeby wpadł,

a potem odłożył słuchawkę i poszedł do lodówki po piwo. Telefon zadzwonił jeszcze raz. Teraz to musi być Tally, pomyślał. W końcu.

— Tom?

— Janie...

— Pomyślałam, że powinnam zadzwonić.

— Tak? — Domyślał się, co teraz nastąpi.

— Chodzi o to, że nie chciałam, abyś pomyślał...

— Że mówiłaś to poważnie?

— Nie. Że nie mówiłam tego poważnie. Tom zeszywniał.

— Mówiłam to poważnie — ciągnęła Janie — ale nie powinnam była tego mówić. Przepraszam. Nie miałam prawa. I beze mnie masz dosyć komplikacji w życiu. To chyba dobry pomysł, żebym przez jakiś czas trzymała się od ciebie z daleka.

— Janie!

— Nie. Naprawdę powinnam. Czuję się zażenowana. To tak, jakbym zawiodła Pippe. I Tally. I ciebie. Pewne rzeczy należy zatrzymać dla siebie i to była prawdopodobnie jedna z nich.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— Nic nie mów. Zadzwonię do ciebie za jakiś czas. Myślę po prostu, że byłoby lepiej, gdybym na razie nie przyjeżdżała.

— A co z Tally?

— Powiedz jej, że musiałam niespodziewanie wyjechać i że wrócę mniej więcej za miesiąc.

— Ale ona będzie chciała z tobą porozmawiać.

— Wcale nie chciałyby ze mną rozmawiać, gdyby wiedziały, co ci powiedziałam.

Tom szukał odpowiednich słów, nie udało mu się jednak znaleźć niczego właściwego.

— Jeśli jesteś pewna...

— Całkowicie.

— Dobrze — westchnął. — Tylko...

— Nie. Już nic więcej nie mów. Będę o tobie myśleć, wiesz o tym, ty stary draniu.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Janie już się rozłączyła. W tym momencie usłyszał pisk opon na żwirowym podejździe. Odłożył słuchawkę i zobaczył Petera biegnącego jak burza w stronę frontowych drzwi z miną przypominającą gradową chmurę.

— Daj mi piwo.

— Co?

— Daj mi to pieprzone piwo. Szybko!

Tom podszedł do lodówki, wyjął becka, otworzył i podał swojemu partnerowi. Potem oparł się o kuchenny blat i patrzył, jak Peter pije bezpośrednio z butelki.

— Słuchaj... — zaczął, gdy Peter odstawiał piwo, ale nagle zobaczył wyraz twarzy swojego współnika. Peter wyglądał na przerażonego i trzęsła mu się ręka, w której trzymał piwo. — O co do diabła chodzi?

— Zostawiłem ją.

— Kogo?

— Rachel. Mam już dość.

Tom popatrzył na niego, nie wiedząc, co powiedzieć — po raz kolejny tego dnia

— Próbowałem ją przekonywać, próbowałem zrozumieć jej racje, próbowałem nawet się kłócić, co przychodzi nam bez trudu. — Peter pociągnął łyk piwa. — Ja już po prostu tak dłużej nie mogę. Dlaczego, do cholery, pozwoliłeś mi się z nią ożenić? Nie odpowiadaj. Chryste, Tom, jestem wykończony. Już nie jestem sobą. Spójrz na mnie, ciągle wpadam w złość i tracę panowanie nad sobą. Nigdy przedtem taki nie byłem.

Tom miał co do tego pewne wątpliwości.

— Cóż, w każdym razie nie było aż tak źle jak teraz — mruknął Peter.

— Kiedy to się stało? — zapytał Tom, gdy udało mu się wreszcie dojść do głosu.

Peter spojrzął na zegarek.

— Siedemnaście minut temu.

— Rozumiem. Był jakiś szczególny powód?

— List do ciebie.

— Och...

— To była ostatnia kropla, która przepełniła czarę. Próbowałem z nią porozmawiać. Zapytałem, co sobie do cholery wyobrażała, pisząc do ciebie w ten sposób. To tak, jakbyśmy się w ogóle nie znali.

Tom spojrzął na niego pytająco.

— No dobra, punkt dla ciebie, bo teraz chyba prawie się nie znamy. Nie tak jak kiedyś. A dlaczego? Jedyłą przyczyną jest Rachel.

— Peter, nie sądzę...

— Nic nie mów. Nie przyszedłem winić cię za rozpad mojego małżeństwa. Przyszedłem cię przeprosić za to, co się stało, i powiedzieć, że to się już nigdy nie powtórzy. — Peter wyrzucił przez okno. — Chryste, Tom, kiedy pomyślę o tym, co mieliście razem z Pippą i co straciłeś, i o tym, w czym ja tkwię... tkwiłem...

— Nie jestem pewien, czy jakiegokolwiek porównania są dobrym pomysłem.

— Nie, ale zmuszają do myślenia.

— Nie pospieszyłeś się za bardzo? Peter odwrócił się twarzą do Toma.

— Dwa lata nazywasz pośpiechem?

— Ale przecież za nią szalałeś.

— Dopóki nie odkryłem, jaka jest naprawdę. A zabrało mi to jakieś dwa tygodnie. Nic dziwnego, że miała już dwóch mężów. Mówią, że ten drugi się zabił, i po dwóch latach spędzonych z Rachel całkowicie go rozumiem.

— Nie jestem pewien, czy powinieneś mi to mówić — powiedział cicho Tom.

Głos Petera się załamał.

— No a komu, do cholery, mam to powiedzieć?

Tom podszedł bliżej i położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

— Przepraszam.

Nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek ujrzy go w takim stanie. Jego współnik, pewny siebie, arogancki, lecz dobroduszny szef kuchni o krewkim, porywczym temperamencie i barwnym kuchennym słownictwie, teraz wyglądał na załamanego i samotnego.

Peter przetarł pięścią oczy, a potem opróżnił butelkę.

— Słuchaj, stary, przepraszam — powiedział łagodnie. — Bóg jeden wie, że i beze mnie masz mnóstwo na głowie.

— Nie, to żaden problem. To znaczy...

— W każdym razie powinienem być zadowolony, że już się z tego wyzwoliłem. A ty nie powinienesz myśleć, że masz z tym coś wspólnego. Byłeś jedynie wzorem do naśladowania.

— Co?

Peter odstawił butelkę.

— Kiedy widziałem ciebie i Pipę, zazdrościłem wam. Byliście wspaniałą parą. Nie dwa gruchające gołąbki, ale po prostu... tak, jak powinno być. Pasowaliście do siebie. Lubiliście się. Ja też chciałem lubić Rachel i nie mogłem. Była świetna w łóżku, nigdy nie miała dosyć. Ale małżeństwo musi opierać się na czymś więcej. Kiedy nie leżała na plecach, kupowała ciuchy albo snuła imponujące plany związane z następną restauracją.

Tom poczuł się trochę winny.

— Czy wiesz, że ona nigdy o nas nie mówiła? To znaczy o sobie i o mnie. A przynajmniej nie w taki sposób... wiesz, o rzeczach, które moglibyśmy razem zrobić, o miejscach, w które moglibyśmy pojechać. Wszędzie chodziła ze swoimi przyjaciółmi, z tymi ryczącymi, zarozumiałymi sukami i ich mężami o czerwonych pyskach. Pierwszy i jedyny raz, kiedy cokolwiek dla nas obojga zaplanowała, dotyczył tej cholernej

nowej restauracji. Nigdy jej nie chciałem, ale Rachel to w ogóle nie obchodziło. Peter zamilkł i popatrzył gdzieś w dal.

— I co teraz?

— Mmm...?

— Co teraz zrobisz?

— Cholera wie. Na razie ustawię łóżko na strychu w „Pelicanie”, a potem zobaczę, co dalej.

— Jesteś pewien, że chcesz odejść?

— Tak. Spaliłem za sobą mosty. Powiedziałem jej, żeby się odpieprzyła. Tylko że dom jest zapisany na nią, więc tego nie zrobi.

— Co...?

— Och, nie martw się. Restauracja należy do mnie, ale spodziewam się, że miną całe wieki, zanim wyciągnę z niej jakąś forszę, jeśli w ogóle mi się to uda. Co za pieprzona sytuacja. Ty i ja znowu samotni, ale z zupełnie innych przyczyn.

— Tak.

Peter otworzył drzwi, zamierzając wyjść.

— Słuchaj, przepraszam, że to wszystko tak wyszło. W każdym razie będziesz wiedział, gdzie jestem. I teraz będziesz miał do czynienia tylko ze mną i moją psią przyjaciółką Delią.

— Tak.

Peter podszedł do swojego samochodu.

— Do zobaczenia.

— Tak.

Kiedy zniknął w ciemnościach nocy, Tom przez długą chwilę stał w progu. Nigdy nie lubił Rachel, ale było mu przykro zarówno z jej powodu, jak i Petera. To z jego strony dość nagła decyzja, Tom wiedział jednak, że ostateczna. Peter nigdy do niczego nie wracał i nie zanosilo się na to, że zrobi to teraz.

Rozdział 24

Przygotowanie do wieczornego wyjścia zabrało Taiły więcej czasu niż zazwyczaj. Wykąpała się, umyła włosy, spędziła całe wieki nad makijażem, a podjęcie decyzji, w co się ubrać, trwało jeszcze dłużej. I wcale nie chodziło o to, że jej wakacyjna garderoba była taka zasobna i różnorodna. Kiedy pojawiła się na korytarzu w bawełnianej sukience w jasnobłękitne i białe paski na cienkich ramiączkach, Alex przywitał ją okrzykiem zachwyty.

— Co tutaj robisz? — zapytała.

— Czekam. — Rozejrzał się, by upewnić się, że nikogo nie ma, a potem delikatnie ją pocałował. — Nie mogę się doczekać, żeby cię pokazać.

— A więc tylko o to chodzi?

— Oczywiście. — Poprowadził ją w kierunku wąskich schodów. — Możesz w tych butach iść? — zapytał, gdy wyszli w domu.

— Zależy jak daleko. — Taiły spojrzała w dół na swoje sandałki z paseczków, a potem na strome wzgórze, z którego musieli zejść. — Nie zjedziesz na dół samochodem?

— Nie ma sensu, naprawdę. Drogi są wąskie i ktoś mógłby uderzyć w auto, gdy zaparkuję. Lepiej zostawić samochód tutaj.

— Nie widzujemy zbyt często twoich rodziców.

— Zawsze tak jest. Mama odwiedza przyjaciół, a tata jest zapatrzony w swoje łódki. Chce kupić coś większego, chyba jolkę.

— I dlatego pozwolił nam korzystać z tej małej?

— Pewnie tak.

Taiły milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

— Nie rozmawiałam z nim zbyt wiele.

— On mało mówi.

— Zauważyłam. Dlaczego tak jest? Jak sądzisz? Alex wzruszył ramionami.

— Chyba nie wie, jak to robić.

— Co masz na myśli?

— Jego ojciec zmarł, gdy tata był jeszcze malutki. Może nie zdążył się po prostu nauczyć, jak to się robi.

— Z moim tatą było tak samo, ale on ze mną rozmawia.

— Mój też ze mną rozmawia. Czasami. To jest takie... skomplikowane.

— Myślisz, że jak wychowuje cię tylko jedno z rodziców, to stajesz się kimś innym?

Alex popatrzył uważnie na Taiły.

— To trudne pytanie.

— Pewnie tak. Ostatnio ciągle spotykam ludzi, którzy stracili mamę lub tatę.

— I myślisz, że różnią się od tych, którzy mają dwoje rodziców?

— Przeważnie są bardziej zamknięci w sobie.

Taiły nie ciągnęła tego tematu. Wydawało jej się, że Alex nie ma na to ochoty, a może ma niewiele do powiedzenia. Poza tym nie chciała psuć wieczoru, chociaż i tak była już do niego zniechęcona.

— Więc dokąd idziemy?

— Umówiłem się ze znajomymi, że spotkamy się w „Wesołym Żeglarzu” i wtedy zobaczymy, na co będziemy mieli ochotę.

— A kim oni są?

— To moi dwaj kumple ze szkoły. Mark jest rudy, gra w rugby i jest świetnym skrzydłowym. A Raife ma ciemne włosy, wygrywa od przypadku do przypadku i zawsze robi trochę zamieszania wokół siebie. Będzie też Anna, siostra Marka, ale zupełnie do niego niepodobna — jest drobna i ma ciemne krótkie włosy. Na pewno ją polubisz. No i Clee, zdrobnienie od Cleone — ma długie blond włosy i od trzech lat kręci z Raifem albo z nim zrywa.

— Jaka ona jest?

— Moja mama mówi, że niestała. Może też być odrobinę ostra.

— Och...

— Polubisz ich. Są naprawdę zabawni.

— A gdzie mieszkają?

— W domu rodziców Marka, w East Portlemouth. To po drugiej stronie zatoki. Muszą wracać do domu promem o wpół do dwunastej albo utkną tu na całą noc.

— Przyjeżdżają co roku?

— Tak, zawsze w sierpniu. I na kilka weekendów w ciągu roku.

— Pewnie są dość zepsuci...

— Tak, wiem, ale próbuję się nad tym nie zastanawiać. Tally pomyślała, że Alex zaczyna się przyzwyczajać do

jej kpiącej dezaprobaty. Kiedyś sprawiał wrażenie zaskoczonego, a nawet zranionego, a teraz reagował na jej delikatną kpinę całkowicie naturalnie. Chyba jej się to podobało.

W „Wesołym Żeglarzu” kipiało od ludzi. Na wąskiej zatłoczonej ulicy słyhać było głośne rozmowy wydobywające się przez okno wraz z zapachem piwa i papierosowym dymem. Nie musieli wchodzić do środka. Alex zawołał do dwóch chłopaków, którzy schodzili po schodach z tacą pełną szklanek i frytek:

— Hej, wy tam!

Obaj młodzi ludzie odwrócili się w ich stronę. Jeden był wysoki, miał rumianą twarz i szopę rudych włosów, a drugi trochę niższy, o ciemnych włosach obciętych najęza, z okularami na czubku głowy.

— Siedzimy z tyłu, na moło. Chodźcie tędy — powiedział wyższy z chłopców, udając, że kuleje. Balansował tacą w jednej ręce i uśmiechał się idiotycznie.

— Nie zwracaj na niego uwagi — mruknął Alex do Tally. — Jest trochę pomyłony. O północy zamienia się w dynię.

— Albo w wilkołaka.

— Według życzenia!

Usiedli przy prowizorycznym stole, jakie często spotyka się w kawiarnianych ogródkach: kobiecie bardzo trudno usiąść przy nim z wdziękiem, ale zadziwiająco łatwo złapać oczko w pończosze. Tally przycupnęła na brzegu ławki. Alex dokonał prezentacji:

— To jest Tally. Tally — to Mark, Raife, Clee i Anna.

— Cześć — powiedział Mark i uśmiechnął się ciepło.

— Cześć — mruknął Raife. Zachowywał się z rezerwą, próbując zrobić wrażenie i jednocześnie nie wyglądać na kogoś, kto jest pod wrażeniem.

Clee pomachała ręką i zdobyła się na nikły uśmiech, a Anna powiedziała:

— Witaj, miło cię poznać. Dużo o tobie słyszeliśmy.

— Och... — Tally uśmiechnęła się nerwowo.

— Same dobre rzeczy — dodał Mark. — Nie bądź taka skrepowana. Jesteśmy do przyjęcia, nie licząc tych dwojga, którzy pokłócili się dzisiaj po południu i nie odzywają się do siebie. A raczej nie odzywali się, zanim przyszłaś, bo teraz będą udawać, że są wyjątkowo dobrze wychowani, i zadziwią cię błyskotliwą rozmową.

— Zamknij się, draniu! — zawołał Raife, a Clee wzniosła oczy do nieba.

Anna robiła wszystko, by Tally się rozluźniła.

— Daj im kilka minut i pół szklanki piwa, a będzie

OK — powiedziała, a potem zauważyła, że Alex i Tally nie mają szklanek. — Chłopaki, nie kupiliście dla nich nic do picia.

— Kupiliśmy — odparł Mark. — Proszę bardzo, oto kufel fostera dla Alexa, a dla damy smirnoff ice. W porządku?

— Dziękuję. — Tally była trochę zaniepokojona. Zastanawiała się, czy przyjaciele Alexa wiedzą, ile ma lat. Oni byli najwyraźniej kilka lat starsi, bardziej wyrafinowani i obcy.

— Alex, gdzie znalazłeś tę małą? — zapytał cicho Raife. Alex zignorował jego sarkazm.

— Poznaliśmy się w Axbury.

— Ach, w tym twoim wiejskim azylu.

— Zgadza się.

— A ty — zwrócił się Raife do Tally — złapałaś się na szybki samochód i miłe słówka...

Alex próbował się wtrącić, lecz Tally go ubiegła.

— Wcale nie — odparła. — Kiedy go spotkałam, pomyślałam sobie, że jest podskakującym małym gównem. A potem przekonałam się, że jest zupełnie inaczej.

Przy stole zapadła cisza. Clee opadła szczeka, a okulary Raife'a zsunęły się z głowy na nos niczym przyłbica. Brwi Marka zniknęły gdzieś pod włosami, a Anna odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się.

— Brawo, Tally!

Tally poczuła się zawstydzona i jednocześnie pewniejsza siebie. Zdawała sobie sprawę, że jeśli na początku nie zdobędzie odpowiedniej pozycji, potem będzie miała małe szanse. Ale żałowała, że nie była dość szorstka i brutalna. Na razie wyglądało jednak na to, że pierwsze lody zostały przełamane.

Raife znowu włożył okulary na czubek głowy.

— A więc pierwszy punkt dla Tally.

— Jak miło widzieć, że ktoś wreszcie pokazał ci, gdzie twoje miejsce, Raife — stwierdziła Clee. — Dzisiaj po raz pierwszy.

Mark wyczuł, że nadszedł czas, by zmienić temat, i włączył się do rozmowy.

— Więc co dzisiaj robiliście?

Alex, przy drobnej pomocy ze strony Tally, opowiedział o łodzi, o tym, że mają ją teraz do swojej dyspozycji, ponieważ ojciec szuka czegoś większego, i o swoich planach na najbliższe kilka dni.

Podczas gdy chłopcy rozmawiali, Anna nachyliła się i szepnęła Tally do ucha:

— Świetna robota. Ci faceci trochę za bardzo się rządzą, ale myślę, że przywołałaś ich do porządku.

— Dziękuję. Jestem trochę zdenerwowana.

— Wcale się nie dziwię.

Tally przyglądała się z uwagą drobniutkiej Annie ubranej w czarną sukienkę, jej opalonym ramionom i nogom.

— Jak długo tutaj jesteście? — zapytała.

— Mniej więcej miesiąc. Dla mnie to koniec przerwy w nauce. Muszę się rozwijać.

— A co robiłaś?

— Pracowałam w przedszkolu. Pełno małych gówierek, ale były słodkie. A ty?

Clee, której najwyraźniej nie podobała się rozmowa chłopców, odwróciła się do nich.

— Właśnie zdawałam egzaminy — odparła Tally. Clee uniosła brwi.

— Kurczę! — wycedziła z ironią w głosie.

Tally miała już swoją chwilę chwały za sobą i nie mogła wymyślić żadnej odpowiedniej repliki.

— To prawie jak odsiadanie wyroku — stwierdziła Anna.

— Och, no nie wiem — mruknęła Clee, sącząc wyzywająco swojego smirnoff ice.

— Daj spokój, Clee. Przestań się na nas bocyć tylko dlatego, że Raife się dzisiaj na ciebie wziął.

Clee odstawiła butelkę.

— Przepraszam, mam już po prostu dosyć tego wszystkiego. Muszę się jeszcze napić.

— Cóż, jeśli zdołamy oderwać chłopaków od rozmowy na temat łodzi i lasek, to może zdołamy zamówić jakieś drinki. Mark! Napijemy się jeszcze?

Mark mruknął coś, a potem wstał i poszedł do baru.

Zjedli w końcu w barze rybnym. Do tego czasu Mark zdążył się już nastroić sentymentalnie, Raife zrobił się milczący i zadumany, Anna miała szkliste spojrzenie, a Clee nie mogła przestać mówić. Opowiadała o chłopakach, butach i torebkach. Tally stwierdziła, że jest dość zabawna, chociaż odrobinę męcząca. Drinki pomogły jej się trochę odprężyć, ale po trzecim smirnoff ice przerzuciła się na sok pomarańczowy ku wielkiemu rozbawieniu Clee i ledwie skrywanej pogardzie Raife'a.

Alex nadal trzymał się prosto, zauważyła jednak, że chwilami kiwa się na boki, a jego „s” było trochę zbyt syczące. Jej rozmyślania przerwał nagle krzyk Anny:

— Boże, patrzcie, która godzina! Spóźnimy się na prom.

— Myślę, że ja już się spóźniłem — wymamrotał Raife. — Jutro wieczorem o tej samej porze?

Reszta towarzystwa wydała z siebie pomruk wyrażający zgodę.

Clee zniknęła pod stołem w poszukiwaniu buta, który zdjęła, by zilustrować swój punkt widzenia na temat pasków i klamerek, a Raife rzucił się w stronę drzwi.

— Pójdę i poproszę, żeby zaczekali — oświadczył. — Ruszcie się wreszcie. — W tym momencie najwyraźniej coś jeszcze przyszło mu do głowy, bo przycłapał do Tally, nachylił się i powiedział: — Do zobaczenia, księżniczko. — Pocałował ją w rękę i potoczył się z powrotem w stronę drzwi.

Clee popatrzyła na niego groźnie, a potem spojrzała na Tally.

— On jest mój — szepnęła ostrzegawczo i ruszyła pomiędzy stolikami pijackim szlakiem Raife'a.

Wszyscy nagle zniknęli, zostawiając Tally i Alexa z resztkami rybnej kolacji.

— Myślę, że powinniśmy już iść — stwierdziła Tally. Alex pokiwał głową.

— Chyba tak. W górę drzewiastego wzgórza do Bedfordshire...

Pomagała mu w drodze do domu. Objął ją ramieniem i próbował iść prosto.

Z trudem weszli po schodach, gdyż przez cały czas musiała go pchać. Zatrzymali się przed drzwiami jego sypialni. Spodziewała się, że będzie miała kłopoty z wytłumaczeniem mu, by poszedł do swojej sypialni, ale on uśmiechnął się tylko i powiedział:

— Dobranoc, Tally-Wally... — i nieomal runął przez próg. Cicho zamknęła za nim drzwi.

— Dobranoc, Alex — mruknęła i poszła do swojego pokoju.

Kiedy leżała w łóżku i obserwowała chmury przesłaniające księżyc szarą mgiełką, zastanawiała się, co powiedziałyby mama, gdyby mogła ją teraz zobaczyć.

Rozdział 25

— Ile? — zapytał Tom.

— Czterysta dziewięćdziesiąt pięć, proszę pana. Ta cena obejmuje również VAT.

— Chyba należy sądzić, że obejmuje również obsługę, prawda?

Mężczyzna w składzie surowców drzewnych wyglądał na nieugiętego.

— Cóż, takie są aktualne ceny.

— Ale za to mógłbym zbudować dom w jakiejś odległej części Lancashire.

— Być może, proszę pana. Nigdy nie byłem dalej niż w Chichester.

Tom podrapał się po głowie.

— Przecież to tylko konstrukcja z odrobiną papy na dachu. Przypuszczam, że sam bym to zrobił.

— Jak pan sobie życzy. Mamy tu dużo materiałów. — Mężczyzna wskazał kciukiem na wysokie sterty drewna.

Tom wziął byka za rogi.

— Chyba spróbuję. Potrzebuję szopy o wymiarach osiem stóp na dziesięć z oknami po jednej stronie i drzwiami po drugiej. Nic wymyślnego, ale musi być dobrze oświetlona.

— Ma pan pół godziny?

— Tak.

— Wobec tego zaraz coś wybierzemy.

Tak też zrobili. Tom załadował land-rovera deskami, do których przywiązał swoją czerwono-białą chustkę w kropki.

— Ta chustka nie jest zgodna z przepisami, proszę pana _ oświadczył pracownik składu. — Musi być trójkąt odblaskowy.

— Zaryzykuję — odparł Tom. Wrócił do domu bez żadnych problemów. Wyładował deski, drewniane podpórki, szkło, dwie rolki papy i złożył wszystko w stodole, a potem poszedł zmierzyć swoją parcelę budowlaną, czyli kawałek darni w rogu zielnika.

Z drugiej strony drogi dotarło do niego znajome „Ooooh!”. Odwrócił się i zawołał:

— Cześć, Maisie!

Pchała taczkę ze sztalugami i krzesłem.

— Cześć, Tom. Jak leci? Wszystko gra?

— Nie jest źle. A jak ci idzie z ogrodem?

Maisie potrząsnęła głową, a chwaściki na jej jasnoróżowym turbanie zadyndały wdzięcznie.

— Obawiam się, że nienadzwyczajnie. Myślę, że w zeszłym roku przeceniłam moc nawozu, bo teraz nie widzę niczego poza pokrzywami i jaskrami. Może potrzeba więcej, niż sądziłam. W przyszłym roku spróbuję czegoś innego. — Jej obrysowane czarnym tuszem oczy miały wyraz oczu psa gończego, który stracił swą zdobycz.

Letni strój Maisie był jeszcze bardziej dziwaczny niż konfekcja wiosenna. Różowy turban był stylowym dodatkiem do luźnej żółtej bluzki, pary turkusowych workowatych spodni oraz pomarańczowej jedwabnej szarfy. Na nogach miała stare klapki — jeden zielony, drugi niebieski — ze sztucznymi chryzantemami na wysokości wielkich palców. Wyglądała trochę jak lalka, którą ubrało małe dziecko.

Wskazała na drewno i papę ułożone pod ścianą stodoły.

— Coś nowego? — zapytała.

— Posłuchałem twojej rady, Maisie. Zbuduję sobie szopę. Maisie klasnęła w dłonie.

— Och, tak się cieszę. Jestem pewna, że odkryjesz w tym same plusy. Ta szopa może ci pomóc zacząć wszystko od nowa.

— Tak właśnie pomyślałem. A więc teraz wybacz mi, Maisie, chyba od razu wezmę się do roboty.

— Tak, tak, oczywiście. Cieszę się, że wszystko zaczyna się układać. Moja przyjaciółka — ta, która napisała do mnie list w sprawie pracy w czasopiśmie — mówi, że zrobiłeś na wszystkich wielkie wrażenie. Uwielbiają twoje artykuły.

Tom poczuł się winny, że próbował wywinąć się od rozmowy, bo przecież to Maisie pchnęła go na nową drogę życia.

— Och, to miłe — odparł, a potem dodał ciepłym głosem: — Dziękuję, Maisie. To naprawdę daje mi wiele radości. Sprawia, że myślę o... cóż, o innych rzeczach. Dzięki temu nie koncentruję się wyłącznie na sobie. Nie dokonałbym tego bez ciebie.

Maisie sprawiała wrażenie zakłopotanej. Zarumieniła się jak mała dziewczynka.

— Cieszę się, że mogłam pomóc — powiedziała i wycofała się w stronę Woodbine Cottage. — Też muszę już iść. Mam obraz do skończenia. Muszę ustawić sztalugi. Zabrałam się do malowania jaskrów, skoro już wyrosły. Szkoda, żeby się zmarnowały. Wkrótce porozmawiamy. Cześć!

Odeszła i tylko szelest jej ubrania ocierającego się o żywopłot z głogu wskazywał, gdzie teraz jest.

Tom zaczął szukać swoich narzędzi. Potrzebował jedynie piły i młotka, by nadać tej stercie właściwy kształt.

Pod koniec dnia był zaskoczony rezultatem swojej pracy. Stał już prawie cały szkielet, położył też podłogę i jeszcze zdążył przyciąć drewno na dwa boki szopy.

Przygotował sobie kąpiel, nalał kieliszek białego wina i zanurzył zmęczone ciało w kojącej wodzie. Jego myśli błądziły wokół wszystkich dobrze znanych spraw: widział Pippeę, słyszał ją, ale jej głos wydawał się już bardziej daleki, niczym wspomnienie jakiegoś starego filmu. Widział również Janie i uśmiechnął się do siebie. Sączył wino i próbował oczyścić umysł z tej gmatwaniny myśli. Kiedy tak leżał w wodzie, pozwalając, by pachnąca piana wchodziła mu do uszu, czuł wewnątrz jakieś niezwykle ciepło. Zastanawiał się, a myślał o tym prawie w każdej minucie, co robi teraz jego córka. Zawsze mógł zadzwonić do niej na komórkę, ale przypuszczał, że nic by z tego nie wyszło. Taiły zadzwoni do niego, gdy sama będzie gotowa. Musi po prostu się z tym pogodzić.

O ile to w ogóle możliwe, kolejny dzień Taiły był nawet lepszy niż poprzedni. Przez cały ranek świeciło słońce. Zacumowali łódkę na przystani i wspięli się stromą ścieżką do Bolt Head. Tam usiedli pośród traw i zarośli i patrzyli na morze.

— Co sądzisz o wczorajszym wieczorze? — zapytał Alex.

— Polubiłam Marka i Annę.

— A tamtych dwoje nie?

— Nie bardzo.

— Ale nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy dzisiaj znowu wyszli?

— Pod warunkiem, że niektóre wieczory spędzimy sami.

— Spędzimy. Nie chcę dzielić się tobą przez cały czas, wiesz o tym. Pomyślałem tylko, że mogłabyś się trochę nudzić, gdybyśmy byli zawsze tylko we dwoje.

Przechyliła głowę.

— A ja myślałam, że zawsze jesteś wyluzowany i pewny siebie.

— Obawiam się, że to tylko pozory. Jestem tak samo nieporadny w takich sytuacjach, jak każdy inny facet.

— Ale masz przewagę, jeśli chodzi o samochód.

— Tylko dlatego, że tata mi go kupił. Tally milczała przez chwilę.

— Kupuje ci drogi sportowy samochód, czego nie zrobiłaby większość ojców, ale nie spędza z tobą czasu, co robi większość ojców... Dlaczego?

— Mówiłem ci, on ma z tym trudności. Przypuszczam, że ten samochód to jego sposób, by pokazać mi, że mnie kocha.

— Dość zabawny.

— Chyba tak. Ale czy możemy już przestać mówić o moich stosunkach z tatą i zająć się naszymi sprawami?

— Przepraszam, byłam po prostu ciekawa. Nigdy nie znałam żadnego ojca prócz własnego. Przypuszczam, że każdy jest inny.

— Pewnie tak.

W południe słońce schowało się za gęstymi chmurami. Zeszli do przystani, zjedli lunch w kawiarni na moło i wrócili domu. Zastali tam Henry'ego, który wściekał się, że wyczerpały się baterie w jego grze komputerowej. Alex wskazał ruchem głowy na ogród. Wyciągnęli z letniego domku dwa stare leżaki, by poczekać, aż znowu wyjrzy słońce. Położyli się przy niskim kamiennym murku, podziwiali krajobraz i czytali. Ona zagłębiła się w powieści Freyi North, a on w książce Johna Grishama. W pewnym momencie Tally zorientowała się, że Alex spogląda na nią znad swojej lektury.

— Widzę, że na mnie patrzysz — oświadczyła.

— No cóż... nie powinnaś wyglądać tak cudownie. Po raz pierwszy nie zarumieniała się.

— Tak myślisz?

— Mmm.

Słońce zdążyło już musnąć jej ramiona i nogi, lecz dzięki zdrowemu rozsądkowi wpojonemu przez matkę nie żałowała kremu z filtrem i jej skóra była złotobrązowa, a nie czerwona. Alex był mniej ostrożny i chociaż już przedtem zdążył się opalić, zauważyła, że ma zaczerwienione ramiona.

— Zaczynasz się przypiekać — stwierdziła. — Powinieneś posmarować się kremem.

— Zrobisz to za mnie? Uśmiechnęła się.

— Ale tylko ramiona.

— Psujesz całą zabawę.

Rzucił jej butelkę Ambre Solaire. Złapała ją, wstała, wycisnęła trochę kremu na dłonie, a potem zaczęła wcierać go w jego kark i ramiona. Była zaskoczona, że jest taki spięty i że ma tak gładką skórę. Poczuli się trochę winna, że sprawia jej to przyjemność i może odrobinę dłużej niż to konieczne upewnia się, czy krem jest dobrze rozsmarowany. Kiedy go nacierała, pochylił się do przodu.

— Ale przyjemnie...

— Tylko się do tego nie przyzwyczajaj. No już, zrobione. — Rzuciła mu butelkę na kolana z wysokości trzech stóp.

— Au!

— Przykro mi.

— Na pewno nie — mruknął i zdjął okulary. — Chcesz, żebym ciebie również posmarował?

— Nie, dziękuję, już to sama zrobiłam.

— Znowu psujesz zabawę.

Prawie było jej go żal, gdy siedział tam z potarganymi włosami i wspaniałym ciałem, usiłując robić wszystko, co tylko mógł, by zachowywać się przyzwoicie. Zastanawiała się, czy potrafi go powstrzymać przed nadmierną intymnością, rozmyślała nad tym, jak długo będzie w stanie odpierać jego awanse, a potem, czy dojdzie do czegoś więcej. W koń-

cu wzięła książkę i próbowała o tym nie myśleć. Dopiero po kilku chwilach zauważyła, że trzyma ją do góry nogami.

Tego wieczoru znowu spotkali się w „Wesołym Żeglarzu”. Mark i Anna byli tak samo przyjaźni jak poprzednio, Clee przestała okazywać rozgoryczenie i nawet Raife był mniej zgryźliwy, a na powitanie mrugnął figlarnie do Tally.

— Słuchajcie, ludzie, może zrobimy sobie przyjęcie na plaży? — zaproponował Mark. — Poprosiłem tatę o klucze do łódki, więc możemy popłynąć kawałek w górę rzeki, a potem wrócić, żeby zdażyć na prom.

— Jesteś pewien, że potem będziesz w stanie odprowadzić łódkę? — zapytał Alex.

— Będę trzeźwy jak niemowlę. Wy, łobuzy, możecie się zaprawić, a ja zawiozę was do domu.

Anna spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— No, może tylko kilka drinków, ale będę uważał.

— Nie jesteśmy odpowiednio ubrane — stwierdziła Anna. Miała na sobie kolejną czarną kreację, Clee — długą

lnianą sukienkę, a Tally — krótka białą spódniczkę i bluzeczkę na ramiączkach, odsłaniającą jej złocistą opaleniznę. — A co będziemy jeść? — zapytała Clee.

— Chipsy albo coś w tym rodzaju. Orzeszki.

— Tak, orzeszki! — podchwycił Raife.

— Delikatesy są jeszcze otwarte — powiedziała Anna. — Możemy zrobić tam zakupy. Chłopaki wybiorą coś do picia, a my jedzenie i spotkamy się na łodzi za... — spojrzała na zegarek — ...piętnaście, dwadzieścia minut. OK?

Alex spojrzał na Tally.

— W porządku?

— Świetnie.

Rozdzielili się. Tally z Clee i Anną poszły poszukać czegoś

bardziej treściwego niż chipsy i orzeszki, a Alex i jego koledzy mieli kupić piwo, smirnoff ice i sok pomarańczowy.

Bez towarzystwa chłopców Clee wydawała się bardziej otwarta i od razu zajęła się swoim wyglądem. Tym razem tematem dnia był szampon, a dokładniej znalezienie takiego, który poradziłby sobie z rozjaśniającym działaniem słońca i sprawił, by włosy były zawsze gładkie i błyszczące. Temu problemowi Clee poświęcała wiele czasu i uwagi, przeprowadzając naprawdę poważne eksperymenty.

— A dlaczego nie używasz vosene? — zapytała Anna.

— Co? Tego obrzydlistwa? Do moich włosów! To śmierdzi jak męska toaleta.

— Nie sądziłam, że kiedykolwiek tam byłaś.

Anna podchwyciła spojrzenie Tally i obie z trudem stłumiły śmiech.

Znalazły delikatesy i kupiły gotowane przepiórcze jaja, kanapki z wędzonym łososiem, kruche ciasto i brzoskwinie, a potem poszły ulicą w kierunku portu. Chłopcy byli już na miejscu i machali do nich z małej niebiesko-białej łódki, która nazywała się *Miss Ice*. Na jej dnie leżało kilka toreb wypełnionych po brzegi różnymi butelkami i puszkami.

Łódka przechyliła się odrobinę, gdy Tally postawiła na niej stopę, więc Alex podał jej rękę. Potem pomógł również Clee, która najpierw zdjęła swoje sandały. Mimo to potknęła się i Alex musiał ją chwycić za ramię, by nie wypadła za burtę. Gdy pomagał jej wstać, Tally również zdjęła buty, chwytając się ramienia Raife'a, by utrzymać równowagę. Poczula, że jego dłoń przesuwają się delikatnie po jej brzuchu. Najpierw pomyślała, że jej się zdawało, ale kiedy spojrzała na chłopaka, zobaczyła, że się uśmiecha. Przesunął okulary na czubek głowy, a jego ciemne brązowe oczy błyszczały w wieczornym słońcu. Uśmiechnęła się słabo, niepewna, czy Raife z nią flirtuje, czy tylko jej dokucza. Potem poszła na dziób i usiadła obok Alexa, który chwycił jej rękę i już nie puścił.

Mark włączył silnik.

— W porządku, odbijamy, Raife. W górę rzeki, panowie.

Ruszyli powoli, manewrując pomiędzy różnymi łodziami przycumowanymi do kołyszących się na wodzie białych i pomarańczowych boi, a potem wypłynęli na środek rzeki, gdzie Mark dodał gazu. Tally popatrzyła do tyłu na spieniony półksiężyc połyskującej białej wody, która wirowała za rufą.

Rozmowy urwały się, bo silnik wszystko zagłuszał, a piętnaście minut później Mark zwolnił i skierował łódkę w stronę małej samotnej plaży oddalonej może milę od portu.

— Tu będzie dobrze — oświadczył i ustawił łódź dziobem w stronę piasku. Potem wyłączył silnik i nacisnął guzik, by go podnieść. *Miss Ice* z cichym chrzęstem przybiła do plaży.

Wyciągnęły się chętne do pomocy ręce, ale tym razem Tally bardzo uważała, by chwycić dłoń Alexa. Gdy wszyscy znaleźli się bezpiecznie na plaży, chłopcy przesunęli łódź poza zasięg przypiływu.

— Gdzie jest piwo? — zapytał Raife. — Trzeba zatankować.

Mark podał mu puszkę fostera, a drugą rzucił Alexowi.

— Możesz obsłużyć dziewczyny, Raife? Chcę się upewnić, że łódź nigdzie nie odpłynie.

— Nie ma problemu.

Raife zajął się drinkami, a w tym czasie Anna, Tally i Cleo rozpakowały dwie torby z delikatesów. Mark rzucił im kilka samochodowych dywaników, na których rozłożyły jedzenie. Potem zdjęły buty i usiadły, by podziwiać widok na port.

— Każdego roku robicie takie rzeczy? — zapytała Tally.

— Przeważnie — odparła Anna.

— Ja tylko wtedy, kiedy jestem zaproszona — mruknęła Cleo.

Raife przyniósł aluminiową tackę, „pożyczoną” z „Wesołego Żeglarza”, na której stały trzy plastikowe kubeczki ze smirnoff ice.

— Wasze drinki, szanowne panie — powiedział i podał je im. — A może chcecie więcej?

— Tylko kilka — oświadczyła Anna. — Ostatnia noc jeszcze daje mi się we znaki.

— Przez cały ranek walczyłam, żeby pozbyć się kaca — mruknęła Cleo. — Dla mnie dzisiaj nie za dużo.

Tally uśmiechnęła się i wypła łyk ze swojego kubeczka. Po gorącym dniu na słońcu smirnoff ice smakował wyśmienicie, a im więcej piła, tym bardziej czuła się odprężona.

Usiedli w kręgu, opowiadając sobie wakacyjne historie, jedząc i pijąc. Alex obierał dla Tally przepiórcze jajka, zanurzał je w soli selerowej, a potem karmił ją nimi, sam pogryzając od czasu do czasu. Objął ją ramieniem i jego * dłoń raz czy dwa musnęła delikatnie jej piersi. Miała dziwne wrażenie, że cały świat do niej należy.

Gdy zapadł zmrok, rozmowa stała się bardziej hałaśliwa, a Tally uświadamiała sobie, że ona również dość dużo mówi. Ale pozostali się śmiali, więc chyba musiało być wszystko w porządku. Zasmakowała w smirnoff ice i kiedy Mark zaproponował zabawę w chowanego, zgłosiła się jako pierwsza, nie dając nikomu szansy. Nigdy nie sądziła, że może się tak dobrze bawić.

Zdjęła buty, podczas gdy pozostali zamknęli oczy i zaczęli liczyć, a potem po cichu wymknęła się z plaży. Przeszła przez cierniste krzewy i wysoką trawę, minęła falujące wierzbowki i przywiedle naporstnice i schowała się za sękatym drzewem, opierając się o jego pień. Kręciło jej się w głowie, ale była zadowolona, że znalazła takie dobre miejsce. Była przekonana, że w gasnącym świetle będzie niewidoczna. Zapomniała, że jest ubrana na biało.

— Sto! Idziemy, nieważne, czy jesteś gotowa, czy nie. Rozległ się śmiech, a potem odgłosy szeleszczących liści i łamanych gałązek, jeden z lewej strony, a dwa inne z pra-

wej, gdzieś poniżej miejsca, w którym się ukryła. Odetchnęła głęboko, wciągając w płuca zapach morza. Była to dość bogata mieszanka, więc zakręciło jej się w głowie. Przywarła do pnia, żeby się podeprzeć. Gdy trochę doszła do siebie, spojrzała na ścieżkę. Nikogo nie było. Pewnie jej nie zauważyli. Oparła się o pień drzewa.

— Znalazłem cię!

Podskoczyła ze strachu, bo szepczący głos rozległ się tuż przy jej uchu. Odwróciła się i zobaczyła Raife'a, który jednym ramieniem obejmował pień i uśmiechał się od ucha do ucha.

Zaśmiała się nerwowo.

— Ale mnie wystraszyłeś.

— Przepraszam.

— W porządku. Lepiej już chodźmy i znajdziemy resztę.

— A co z moją nagrodą?

— Co masz na myśli?

— To, że cię znalazłem. — Raife uśmiechał się chytrze, jego oczy płonęły dziwnym blaskiem.

— Jaka to nagroda?

— Pocałunek za odnalezienie księżniczki.

Nie miała nawet czasu, by cokolwiek powiedzieć, a nawet się ruszyć, bo przyparł ją do pnia drzewa. Gdy nabierała powietrza, by zacząć krzyczeć, jego wargi znalazły się na jej ustach, a język wdzierał się do środka. Uniosła ramiona, żeby go odepchnąć, ale był silniejszy i unieruchomił ją jedną ręką. Drugą poczuła na swojej talii. Jednocześnie wciąż wpychał język do jej ust. Myślała, że się udusi. Potem włożył rękę pod jej bluzkę i sięgnął do lewej piersi, złapał ją i zaczął ścisnąć. Poczowała twardość z przodu jego ciała. Nie miała siły, żeby się wyrwać, i zaczęła płakać, z trudem łapiąc oddech.

Nagle Raife odskoczył od niej i zobaczyła, że Alex trzyma go za kołnierz. Po chwili przewrócił go na ziemię i zaczął okładać pięściami. Nic nie mogła zrobić; stała tylko przytulona do pnia drzewa i szlochała.

— Hej, człowieku! Hej! — krzyczał Raife pomiędzy uderzeniami. — To była tylko zabawa! — W tym momencie ostatnie uderzenie wylądowało na jego szczęce, rozcinając mu wargę. Zabawa była skończona.

Powrotna podróż upłynęła w całkowitym milczeniu. Raife spoglądał gdzieś za burtę i trzymał się za szczękę, Mark sterował łodzią z ponurą twarzą, a Clee siedziała z głową ukrytą w dłoniach. Tally robiła, co mogła, by stłumić łkanie, a Alex kołysał ją w ramionach. Gdy wysiadali z łodzi, by przesiąść się w porcie na prom, nikt nie odezwał się ani słowem. Kiedy się odwróciła, zobaczyła smutek na twarzy Anny. Było jej przykro, że ich krótka przyjaźń skończyła się tak nagle i w tak głupich okolicznościach.

Kiedy wrócili, dom był cichy i ciemny. Tally objęła się ramionami, jakby próbowała ochronić swoje ciało i zatrzymać w nim ciepło. Alex otworzył drzwi, pomógł jej wejść po schodach, a potem zaprowadził do pokoju. Tally usiadła na brzegu łóżka. Trzęsła się cała ze zdenerwowania.

— Tak mi przykro, tak mi cholernie przykro—powiedział Alex, a ona zaczęła płakać. —Naprawdę nie sędzę, żeby Raife chciał cię skrzywdzić, po prostu przestał nad sobą panować.

Kiwała głową, nie przestając szlochać.

— Boże! Mógłbym go zabić. Powiedz mi, co mam zrobić, co powiedzieć, żeby wszystko było dobrze.

Tally pociągnęła nosem.

— To nie twoja wina.

— Właśnie że moja! Do cholery, powinienem był zauważyć, co on wyprawia.

— Ale nie mogłeś tego widzieć.

— Wtedy może nie. Ale powinienem zauważyć, co robi z twoimi drinkami. Powinienem to sobie uświadomić, gdy zaczęłaś się upijać. A ja myślałem, że po prostu dobrze się bawisz.

— Co masz na myśli?

— Do twojej szklanki nalewał więcej wódki. Odkryłem to, gdy sprzątaaliśmy.

Tally opadła na łóżko.

— O Boże! Dlaczego jestem taka głupia? Podłożył ramię pod jej plecy i podniósł ją.

— Nie jesteś głupia. Jesteś najmądrzejszą dziewczyną, jaką znam. Po prostu padłaś ofiarą najstarszej sztuczki świata. To ja jestem głupi, że od razu nie zorientowałem się, co się święci.

— Aleja mam siedemnaście lat. Dostałam pozwolenie, by sama pojechać na wakacje, ponieważ powiedziałam tacie, że może mi zaufać, i obiecałam mu, że będę uważać na to, co się dzieje. A tymczasem dałam się złapać w krzakach jakiemuś facetowi i gdyby nie ty, Bóg jeden wie, co by się stało.

— Nic by się nie stało. Raife to głupi gnojek, ale nie jest... No, w każdym razie nie doszło do tego.

Była niepokieszona i zrozpaczona. Jej twarz była mokra od łez.

— Proszę — powiedział Alex i podał jej garść chusteczek, które wyjął z pudełka stojącego na nocnym stoliku.

— Dziękuję. — Tally wytarła nos i oczy. — Muszę wyglądać okropnie.

— Trochę. Ale nadal jesteś cudowna.

Siedzieli w milczeniu przez kilka minut, aż Tally przestała się trząść, a potem Alex objął ją ramieniem.

— Pewnie teraz chciałabyś wrócić do domu. Spojrzała na niego.

— Nie jestem pewna. Chcę zadzwonić do taty, ale nie chcę się poddawać. Nie chcę być nieudacznikiem.

— Nie musisz dzwonić do taty. Pozwól, że się tobą zaopiekuję.

— Tak jak dzisiaj?

— Wiem, że to nie jest najlepsza reklama moich usług. A jeśli obiecuję, że będę się bardziej starać?

— Nie wiem... Ścisnął jej rękę.

— Obiecuję, że spróbuję. Prześpij się trochę, ja też się położę. Zobaczymy się rano i zdecydujemy, co dalej robić. Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

Skinęła głową, przyciskając do twarzy garść chusteczek. Pocałował ją delikatnie w czoło i wstał. Podszedł do drzwi, ale po chwili się odwrócił i spojrzał jej w oczy.

— Nie mów rodzicom o tym, co się stało, dobrze? Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym, żebyśmy sami to rozwiązali.

Jeszcze raz kiwnęła głową, a Alex wyszedł z pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi.

Było za późno na prysznic. Mogłaby obudzić resztę domowników. Zdjęła ubranie, umyła się od stóp do głów przy umywalce, wyczyściła zęby, włożyła czystą koszulkę i wślizgnęła się do łóżka.

Co powiedziałby tata, gdyby ją teraz zobaczył? Nagle zapragnęła znaleźć się w domu. Tata posiedziałby w nogach łóżka, zmierzwiłby jej włosy, które właśnie uczesała, czym zawsze doprowadzał ją do wściekłości, a potem powiedziałby, że wszystko będzie dobrze. W końcu zasnęła, choć w jej głowie bębniło tysiące bębenków.

Rozdział 26

Ktoś bezlitośnie odrąbał czubek jej głowy. Jedyne tym można było wytłumaczyć ten okropny ból. Uniosła rękę i delikatnie przesunęła nią po czaszce. Potem podniosła głowę, ukryła twarz w dłoniach i jęknęła z rozpaczą:

— Ojej!

Po kilku minutach odkryła, że jeśli będzie poruszać się bardzo wolno, utrzyma przynajmniej równowagę. Wstała ostrożnie z łóżka, powlokła się na drugi koniec pokoju i oparła o wieszak do ręczników zamocowany przy umywalce. Starła się nie oddychać zbyt szybko, by krew w jej głowie nie pulsowała w rytmie utworu z płyty *Meat Loaf: Największe przeboje*.

Pół godziny później wyszła przez salon do ogrodu. Miała na sobie luźne szorty i koszulkę. Musiała zmrużyć oczy, chociaż chronił je daszek czapki baseballowej i okulary przeciwsłoneczne. Po chwili stwierdziła, że ogród jest pusty, więc poszła do kuchni, by poszukać czegoś, co powstrzyma łomot w jej głowie.

— Cześć. Późno wstałaś.

Ściągnęła okulary na czubek nosa, spojrzała ponad nimi i stwierdziła, że stoi twarzą w twarz z ojcem Alexa.

— O Boże! Ciężka noc? — zapytał.

Kiwnęła głową i zaraz tego pożałowała, bo sekcja in-

strumentów perkusyjnych głośnej orkiestry w jej głowie zagrała nadprogramowy utwór. Skrzywiła się z bólu i zamknęła jedno oko. David Blane-Pfizer uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— I ty masz dopiero siedemnaście lat!

Tally poczuła się winna. No tak, zaprosił do swojego domu dziewczynę syna, a ona okazała się alkoholiczką.

— Ja nie... to znaczy... nie miałam...

— Nie musisz się tłumaczyć. — Ojciec Alexa przyjrzał jej się z uwagą. — Bardzo boli?

Skinęła głową i bębny znowu zagrały.

— No dobrze. Usiądź tam, w cieniu drzewa, a ja przygotuję coś, co postawi cię na nogi.

— Ja naprawdę nie sędzę...

— Bez dyskusji. Idź powoli, żadnych nagłych ruchów, i połóż się na leżaku.

Zrobiła tak, jak jej kazał. Kiedy się nie ruszała, bębnienie ustawało.

Po kilku minutach przyszedł ze szklanką w ręce i podał ją Tally.

— Proszę bardzo. Wygląda wstrętnie, smakuje jeszcze gorzej, ale czyni cuda.

Tally otworzyła jedno oko, spojrzała na brązowożółtą miksturę, a potem popatrzyła błagalnie na gospodarza.

— Pij! — rozkazał. — Do dna. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz chora przez cały dzień.

Wzięła szklankę i wypila jej zawartość, krzywiąc się niemiłosiernie. Potem oddała ją i zacisnęła usta, by przełknąć to coś, czymkolwiek było. Smakowało surowymi jajkami i sosem Worcester, lecz inne jego składniki pozostawały tajemnicą.

Tata Alexa usiadł na leżaku obok Tally i pochylił się, opierając ręce na kolanach.

— Nie widywaliśmy się zbyt często, od kiedy przyjechałaś. Dobrze się bawisz? A może nie powinienem o to pytać?

— Tak, dziękuję panu. Jest bardzo miło. — Stwierdziła, że boli o wiele mniej, gdy w ogóle nie porusza głową.

— Nie było mnie, bo chciałem kupić łódź.

— Alex mi mówił.

— Pomyślałem, że już najwyższy czas, by miał swoją łódkę. Nawet ją lubię, ale on miał już dosyć moich krzyków podczas wspólnego żeglowania. To naprawdę zabawne. Normalnie nie jestem krzykaczem, tylko na wodzie. — David Blane-Pfitzer uśmiechnął się. — A dziś poprosiłem Alexa, by pomógł swojej mamie w zakupach. Nie kwapił się do tego, ale powiedziałem mu, że nie spuszczę cię z oka. Powinien wrócić w każdej chwili. Wydawał się bardzo zaniepokojony, martwił się, czy wszystko z tobą w porządku, i w ogóle nie miał ochoty jechać.

Taity nie sądziła, że ojciec Alexa jest właśnie taki. Z jego słów wynikało, że to zimny, nieprzystępny człowiek pozbawiony humoru, który nie ma czasu dla swojego syna. Był wysoki, miał ciemne włosy i pobrużdżoną opaloną twarz. Był raczej atrakcyjny niż przystojny, nosił koszulę polo, szorty i stare buty podobne do butów Alexa. Chciała zapytać, jak mu się układa z synem, dlaczego kupił mu samochód i dlaczego panuje między nimi taka napięta atmosfera, nie był to jednak odpowiedni moment.

— Po raz pierwszy wyjechałaś gdzieś sama? — zapytał trochę głośniejszym głosem, niż było to konieczne.

— Tak.

— I dobrze się czujesz? To pewnie trudny okres

— Tak.

— Cóż, za kilka dni przyjedzie twój tata. Wrócisz z nim czy zostaniesz?

Była zdziwiona jego pytaniem.

— Nie wiem. Nie jestem pewna. To znaczy... czuję się tu cudownie... Chodzi o to, że...

— Za szybko i za długo?

— Tak. W pewnym sensie.

— Domyślam się, że tęsknisz za ojcem?

— Tak.

— Bardziej, niż myślałaś?

— Tak — odparła Tally i uśmiechnęła się do niego.

— Myślę, że tak właśnie jest z córkami — powiedział o wiele ciszej niż przed chwilą.

— A z synami nie?

— Och, w inny sposób.

— Jaki inny? Wzruszył ramionami.

— Synom nie wolno tęsknić za ojcami. Muszą sobie sami radzić. Są przygotowywani do tego, by robić swoje.

— To brzmi trochę brutalnie.

— Bo tak jest. — Milczał przez chwilę, a potem dodał: — Nigdy nie znałem swojego ojca. Umarł, kiedy miałem kilka

miesięcy. — Zamyślił się. — To zabawne być tatą, zwłaszcza syna. Nigdy nie jesteś całkiem pewien, jak bardzo cię potrzebuje, a on nigdy tego ci nie powie. Ta niezależność przechodzi z pokolenia na pokolenie.

Tally miała wrażenie, że ojciec Alexa mówi sam do siebie, ale słuchała go z uwagą. Nie spodziewała się takiej rozmowy

i czuła się odrobinę nieswojo, lecz jednocześnie schlebiało jej, że obdarzył ją zaufaniem, jakiego nigdy nie okazał Alexowi.

— Z córkami jest inaczej. Tak myślę, chociaż nie mam w tej kwestii żadnego doświadczenia. Przypuszczam, że wobec córki można być opiekuńczym w bardziej oczywisty sposób, podobnie jak wobec żony.

— Przecież córki również muszą stanąć na własnych nogach.

— Tak, ale wszyscy ci wybaczą, jeśli będziesz próbował je powstrzymać. I możesz dać im więcej czasu na dorastanie. Z chłopakiem jest jakoś trudniej. Zawsze masz świadomość, że musisz pozwolić mu być odrębną osobą. Próbujesz dawać mu to wszystko, czego sam nie miałeś, a jednocześnie

powinieneś uważać, by go nie tłamsić. Bardzo trudno zachować w tym wszystkim właściwą równowagę. Nie jestem pewien, czy Alex i ja nie straciliśmy jej. Staram się trzymać z dala od jego spraw i pozwalać mu stanowić o sobie, ale naprawdę lubię jego towarzystwo. Klepnął się dłońmi w kolana i wstał.

— Słuchasz tych moich wynurzeń, a przecież masz kaca. Zostań tutaj, dopóki moja mikstura nie zacznie działać. Gdy poczujesz się głodna, idź do domu i zjedz dwie suche grzanki. Potem będziesz świeża jak wiosenny deszczyk. W porządku? Muszę teraz wyskoczyć do miasta i wrócę za dzień lub dwa. Do zobaczenia... mam nadzieję.

Kiedy odszedł, Tally popatrzyła na srebrzącą się w dole zatokę, świadoma, że czeka ją kilka dni niepewności.

Pół godziny po odejściu ojca wrócił Alex wraz z matką i Henrym. Poszedł prosto do ogrodu.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

— Mniej więcej. Twój tata doprowadził mnie do porządku.

Z twarzy Alexa odpłynęła cała krew.

— Powiedziałaś mu o wczorajszym wieczorze?

— Obawiam się, że to było dla niego całkiem oczywiste, biorąc pod uwagę mój stan.

— Chodzi mi o... no wiesz?

Tally potrząsnęła głową. Po raz pierwszy mogła to zrobić, nie odczuwając bólu.

Alex usiadł obok niej, a jego matka i brat układali w tym czasie zakupy w kuchennych szafkach i w lodówce. Henry wrócił do domu z nowym oprogramowaniem do swojego komputera.

— I co postanowiłaś? Chodzi mi o to, czy zostaniesz.

— Nie jestem pewna.

— Chciałabyś wracać w sobotę?

— Jeszcze nie wiem... Tylko...

— Tak?

— Czy możemy teraz spędzić trochę czasu razem? Tylko ty i ja?

— Jasne. Jakoś poradzę sobie bez paliwa.

— Ja też. Chociaż po tym, co dał mi twój tata, starczy mi pewnie na dziesięć tysięcy mil.

— Och, mam nadzieję, że nie dał ci jednej z tych swoich mikstur, które stosuje „dzień po”?

— Chyba tak.

— I masz to jeszcze w środku?

— Na razie tak.

— To więcej, niż ja byłbym w stanie znieść.

Tally wstała, podeszła do niskiego muru otaczającego ogród i wsłuchiwała się w szum liści poruszanych ciepłą bryzą. Alex stanął tuż obok niej.

— Rozmawiałam dzisiaj z twoim tatą.

— O czym?

— O synach i córkach.

— Ale on nie ma córki.

— Wiem, myślę jednak, że prawdopodobnie chciałby mieć.

Gdy drugi panel dachowy znalazł się na swoim miejscu, Tom poczuł się bardzo zadowolony z siebie. Przykręcił go, a potem zabrał się do przybijania papy. Małe drobiny piasku wpadały mu za ubranie, jego dłonie zrobiły się chropowate, a słońce sprawiało, że papa wydzielala drażniący zapach smoły. Niedługo jego szopa będzie w stanie znieść każdą pogodę. Wkrótce będzie miała drzwi i okna, a tylko dwa dni pracy od świtu do zmroku starczyły, by pokazać, że będzie doskonale spełniała swój cel.

Poczuł nagle, że coś ociera się o jego nogi. Spojrzał w dół

i zobaczył Wendy. Jej wąsy drgały od nieprzyjemnego zapachu smoły. Skoczyła ostrożnie na podłogę, a potem ruszyła wolno przed siebie, jakby podziwiała efekty jego pracy. Tom wyprostował się, położył ręce na biodrach i obserwował, jak kotka bada teren.

— I co o tym myślisz? — zapytał.

Wendy spojrzała na niego, po czym odwróciła się i weszła do kartonu wypełnionego ścinkami drewna, który stał w rogu szopy.

— Tak chyba nie jest zbyt wygodnie. Poczekaj... Wziął stary sweter, który miał na sobie, zanim zrobiło mu

się ciepło i położył go pod Wendy. Poudeptywała go trochę, a potem umościła się na nim, zamknęła oczy i zaczęła głośno mruczeć.

— Cóż, myślę, że już sobie wybrałaś miejsce. Przy odrobinie szczęścia jutro będziemy mieć drzwi i okna i poczujesz się zupełnie jak w domu.

Spojrzał na zegarek. Za piętnaście siódma. Czas na kąpiel. Zawsze czekał na nią i na jej kojące działanie, ale i obawiał się jej, bo dawała mu zbyt wiele czasu na myślenie. Stała się częścią codziennego rytuału, sposobem oczyszczenia nie tylko ciała, lecz także umysłu. Leżał w wodzie i myślał o Pippie. Wspominał różne rzeczy. Pamiętał jej ostatnie słowa: „Tak się cieszę, że cię spotkałam”. A potem przychodziła pustka — bolesna ciemność — i świadomość, że wymknęła mu się. „Wymknęła się” — takie dziwne, tajemnicze słowo. Nie wymknęła się, odeszła na zawsze. Ale przecież była tak blisko, w jego duszy. Wciąż była z nim, ukryta gdzieś głęboko w jego wnętrzu. Miał jednak wrażenie, że coś zaczyna zagradzać mu dostęp do niej, jakaś niewidzialna bariera, która paraliżowała zmysły i przeszkadzała we wspomnianiu miejsc ich minionej bliskości.

Uświadomił sobie, że mówi na głos:

— Co się ze mną dzieje? Dlaczego cię nie czuję? To znaczy czuję, ale nie tak, jak mógłbym czuć. Dokładnie

pamiętam, jak to było: szedłem przez podwórze, słyszałem muzykę płynącą przez otwarte drzwi, wchodziłem do kuchni i widziałem, jak tam stoisz i uśmiechasz się do mnie. Nadal czuję twój zapach i dotyk. Pamiętam, jak cię obejmowałem i całowałem. Jak kochałem się z tobą. Dokładnie pamiętam, jak to było, ale... nie czuję tego. Nie chcę, żeby to odeszło, żeby mi umknęło. Nadal tak bardzo cię pragnę...

Rozdział 27

Tego wieczoru po kolacji Tally zadzwoniła do ojca.

— Jak tam jest? Co robiłaś? Jak się czujesz? Czy on zachowuje się przyzwoicie?

Tally roześmiała się.

— Na które pytanie mam najpierw odpowiedzieć?

— Na wszystkie.

— Jest świetnie. Pływaliśmy łodzią i wychodziliśmy coś zjeść poza domem. Wszyscy są bardzo mili, oprócz Hen-ry'ego, który od początku powiedział do mnie może ze dwa słowa. Alex jest za to prawdziwym dżentelmenem. — Tally wróciła pamięcią do wieczoru na plaży i szybko zmieniła temat: — A co u ciebie? Co porabiasz?

— Och, jestem bardzo zajęty! — odparł z niezbyt szczerze brzmiącym zapalem. — Właśnie skończyłem *Wywołując fale*.

— Ojej! Dobra robota! Jesteś zadowolony?

— Och, chyba tak. Ale odłożyłem to do szuflady i zaczynam następną powieść.

— To świetnie.

— I doszedłem do wniosku, że potrzebuję jakiegoś miejsca do pisania, więc zacząłem budować szopę.

— Co?

— Szopę dla pisarza. Na tym kawałku trawnika przy

zielniku. Podarowałem sobie nowy początek: nowe otoczenie.

— Czy to działa?

— Nie wiem, jeszcze się nie przeniosłem. Ale już prawie skończyłem.

— O kurczę!

— Tak. O kurczę!

— A co z Wendy? Jak się sprawuje?

— Muszę przyznać, że wspaniale. Przeprowadziła się do szopy, jeszcze zanim wstawiłem drzwi. Większość czasu spędza w kartonie, śpiąc na moim starym swetrze.

— To zabawne.

— Nie dla mnie. Lubię ten sweter.

— Nie, mam na myśli to, że nie wiesz, co zbudowałeś.

— Szopę. Właśnie to zbudowałem

— Wcale nie. Zbudowałeś dom dla Wendy. Tom roześmiał się.

— Pewnie tak.

— Będę musiała nazywać cię Piotrusiem Panem.

— Wolę raczej po prostu „tato”. Zapadła chwila milczenia.

— Tęsknię za tobą — powiedziała Tally.

— Ja też za tobą tęsknię, kochanie.

— Kiedy przyjedziesz?

— Wyjadę w sobotę rano, więc powinienem być u ciebie już w porze lunchu. Myślisz, że to będzie pasowało Blane-jak-im-tam?

— Tak, jestem pewna. Tutaj wszyscy są bardzo wyluzowani. — Tally wstała z ogrodowego murku i zajrzała do domu, by sprawdzić, czy nikt jej nie usłyszy. — Prawie nie widuję mamy Alexa, bo przez cały czas odwiedza razem z Henrym swoich przyjaciół. To jest akurat plus. Ale rozmawiałam z jego tatą.

— Jest miły?

— Bardzo, chociaż dość dziwny.

— Dlaczego dość dziwny?

— Och, nic takiego. Powiem ci później. A co u Maisie?

Opowiedział jej o ogrodzie pełnym gigantycznych pokrzyw i jaskrów, a potem rozbawił opisem dziwnego kostiumu Maisie.

— A są jakieś wieści w sprawie restauracji?

— Cóż, kilka.

— Mów.

— Peter rzucił Rachel.

— Cholera!

— Taiły!

— Przepraszam. Chciałam powiedzieć „jejku”.

— Tak lepiej — stwierdził Tom i zdał córce relację z wydarzeń ostatnich kilku dni.

— No i gdzie on teraz mieszka? Co zamierza robić? Czy jest jakaś inna kobieta? Jak myślisz?

— I kto teraz zadaje tyle pytań? Odpowiadam po kolei: nad restauracją, nie wiem, nie sędzę.

— Rozmawiałeś z Janie?

— Wpadła tylko na chwilę. Pracuje i nie jestem pewien, gdzie teraz jest.

— Przecież możesz zadzwonić do niej na komórkę.

— Och, byłem trochę zajęty, a poza tym nie chcę jej przeszkadzać.

Tally była zaintrygowana. W głosie ojca było coś dziwnego, ale nie potrafiła tego sprecyzować. Nie był może największym plotkarzem na świecie, ale myślała, że powie jej coś więcej na temat Janie. Chyba jednak rzeczywiście był zajęty tą swoją szopą, i w ogóle. Postanowiła pominąć ten temat.

— No dobrze. Ale nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

— Ja też, skarbie. Cudownie słyszeć twój głos.

— A zatem do zobaczenia w sobotę.

— To zależy od ciebie i od woli Boga.

— Nie mów tak.

— Przepraszam. Do zobaczenia w sobotę.

— Kocham cię.

— Ja też cię kocham, Tal. I powiedz temu Alexowi Blane--coś-tam, żeby się tobą opiekował, bo inaczej wypruję mu flaki.

— Cieszę się, że to cię obchodzi.

— Do zobaczenia wkrótce.

— Cześć.

Tally nacisnęła czerwony guzik na swojej komórce i włożyła ją do kieszeni szortów. Podciągnęła kolana pod brodę i spojrzała na wodę. Nie powiedziała ojcu, że zamierza wrócić z nim w sobotę do domu. Może w ten sposób zostawiała sobie otwartą furtkę. Z południowego zachodu napływały ogromne szare chmury. Będzie padać, zanim przyjdzie czas, by położyć się do łóżka.

Tom patrzył na Janie. Opierała się o bramę i uśmiechała. Jej lśniące ciemne włosy muskały opalone ramiona. Wyciągnął rękę, żeby ich dotknąć, i wtedy się obudził — bez tchu, zlany potem. Oparł się o brzeg łóżka, z trudem łapiąc powietrze, i spojrzał na zegarek stojący na nocnym stoliku. Trzecia nad ranem. Opadł na poduszkę. Ten sen był taki realny. Był zły na siebie, że nie ma odwagi przyznać się do uczuć, które żywi dla Janie. Czuł się również winny, że był tak zimny i oschły, gdy powiedziała, że go kocha.

Co za przekłety bałagan. Opłakiwał kobietę, którą kochał przez siedemnaście lat, tęsknił za nią i próbował przeboleć jej stratę, i jednocześnie oglądał się za inną kobietą... Ale czy kiedykolwiek mógłby pokochać kogoś innego tak bardzo jak Pippe? Jeszcze nie, z całą pewnością. Nie czternaście miesięcy po śmierci Pippy. To zbyt szybko. Na pewno to nie miłość. Może tylko pożądanie.

Przypomniał sobie, co jego matka mówiła o mężczyznach

i ich potrzebach: „Mężczyźni są bezradni bez kobiet. Nie potrafią sobie sami poradzić. Są nieporadni jak dzieci. Muszą mieć kogoś, kto będzie ich kochał i opiekował się nimi". Czy Janie nie powiedziała dokładnie tego samego?

Tak, może. Ale jeszcze nie teraz. Poświęci się pracy. Spróbuje o wszystkim zapomnieć. Nie może kręcić się bez końca w tym emocjonalnym kręgu. Musi ruszyć w zupełnie innym kierunku. Zacząć nową powieść. Nabrać dystansu do przeszłości.

Wstał, ubrał się i zszedł do szopy. Tej nocy twardy sen Maisie był mu bardzo na rękę. Nie słyszała stukania młotkiem, które dochodziło od Wilding's Bara, i dzięki temu do rana szopa dla pisarza była gotowa.

Do piątkowego wieczoru chmury zdążyły otulić Salcombe szarym całunem. Poprzednio wszyscy pocili się nawet w szortach i koszulkach, a teraz chodzili w długich spodniach i wełnianych swetrach. Prognozy długoterminowe nie były zbyt ponure, ale musieli poczekać dzień lub dwa na następny front wysokiego ciśnienia.

Obfite opady zmusiły ich, by schronili się w domu. Tally i Alex grali w scrabble albo w monopol i kłócili się, kto powinien mieć Mayfair, a kto Park Lane. Nawet Henry oderwał się od swojej gry komputerowej, zwabiony perspektywą porządnej awantury. Ale wszystko przebiegało w pokojowej atmosferze, a skończyło się turlaniem po podłodze i wyrywaniem sobie ciemnoniebieskich kart.

O ósmej trzydzieści chmury nieco się przerzedziły i kosy zaczęły swoją wieczorną pieśń. Alex rozejrzał się po pokoju. Henry przykleił się do telewizora, matka przygotowywała w kuchni kolację, a ojciec jeszcze nie wrócił z Londynu. Alex wstał, podszedł do szklanych drzwi wychodzących do ogrodu i zawołał:

— Tally, spójrz, słońce na wodzie! Podeszła i stanęła tuż przy nim.

— Jejku!

— Uwielbiam to twoje Jejku"!

— Przepraszam. Mój tata zawsze mówi, że to oznaka ubogiego słownictwa.

— Mój też. Ale twoje „jejku” ma o wiele więcej wyrazu niż jakiegokolwiek inne. — Alex otworzył drzwi. — Masz ochotę na spacer?

Tally spojrzała w górę na gęstniejące chmury.

— To chyba będzie musiał być szybki spacer.

— A więc chodźmy.

Wziął ją za rękę i zaprowadził w odległy kraniec ogrodu. Usiedli obok siebie na niskim murku i patrzyli na wodę pokrytą smugami mułu gorejącymi w zamierającym świetle wieczoru.

— Czy to nie wygląda cudownie? — zapytała Tally. — Jakby się paliło.

Nagle zadrżała i Alex objął ją ramieniem. Chmury zakryły słońce i płomienna woda zamieniła się w atramentową czerń. Gdy spadły pierwsze krople deszczu, Tally spojrzała w górę.

— O Boże... Padało coraz mocniej.

— Szybko, chodź tutaj! Wrócimy do domu, kiedy się trochę przejdzie — powiedział Alex i wciągnął ją do letniego domku, a potem zamknął drzwi.

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

— To był tylko wybieg, żeby mnie tutaj zaciągnąć, prawda?

Spojrzał na nią niewinnym wzrokiem.

— Myślisz, że zrobiłbym coś takiego?

— Mam nadzieję.

Objęła go ramionami, uniosła głowę i pocałowała go w usta. Odpowiedział pocałunkiem, przesuwając palcami po jej włosach.

Uwolniła się na chwilę z jego objęć, a potem położyła mu głowę na piersi.

— Naprawdę chcesz jechać jutro do domu? — zapytał. Skinęła głową.

— Dlaczego?

— Ponieważ jest tak cudownie.

— Ale jeśli jest tak cudownie, to dlaczego nie zostaniesz? Popatrzyła mu w oczy.

— Ponieważ boję się, że mogłoby się wydarzyć zbyt wiele i zbyt szybko.

Wyglądał na zranionego.

— Jak możesz wyjeżdżać, skoro jest tak dobrze?

— Bo tak powinno zostać. Wtedy nic nie pójdzie źle.

— I już nie chcesz mnie więcej widzieć?

— Nie, głuptasie. Chcę cię ciągle widywać. Ale muszę się po prostu upewnić, że to przetrwa. Jesteś moim pierwszym prawdziwym chłopakiem i chciałabym, żebyśmy zawsze mogli być razem. Nie chcę, żebyś się mną znudził.

— Albo ty mną?

— To nie moje zmartwienie. Spojrzał na nią poważnie.

— Naprawdę jestem twoim pierwszym chłopakiem?

— Pierwszym prawdziwym. Przez chwilę był ktoś inny.

— Blip?

— Skąd wiesz? — zapytała ze zdziwieniem.

— Dziewczyny gadają.

— Tak, wiem — westchnęła.

— Jaki on jest?

— Bardzo miły.

— Ale...?

— Ale to czasem nie wystarcza.

— No cóż... Mogę ci coś powiedzieć?

— To zależy co.

— Nigdy przedtem tak się nie czułem.

Tally położyła dłoń na jego ustach i przycisnęła je palcami.

— Ciii... nic nie mów. Proszę.

Odsunął się od niej, usiadł na jednym z wytartych krzeseł i oparł brodę na rękach.

— Przepraszam.

Tally oparła się o szklane drzwi i obserwowała krople deszczu padające na wysuszoną trawę.

— Ja też nigdy tak się nie czułam.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy, po czym podeszła do niego bez słowa i podała mu dłonie. Ujął je i wstał. Przysunęła się bliżej, spojrzała mu w twarz, a potem delikatnie uniosła jego ręce i położyła je na swoich piersiach.

Pochylił się i pocałował ją. Poczowała jego język poruszający się w jej ustach, ale całował bardzo łagodnie, czule i zmysłowo _ zupełnie inaczej niż niezdarny, szorstki Raife. Jęknęła cichutko, gdy dotykał jej piersi. Czowała mrowienie na skórze, gdy przywarł do niej mocno całym ciałem. Powoli opuścił jedną rękę i zaczął pieścić ją przez materiał dzinsów.

Oboje ciężko oddychali. Kiedy Alex odsunął się od niej, zobaczył wyraz oczekiwania w jej oczach i usłyszał urywany oddech. Ściągnął z niej sweter i koszulkę, rzucił je na podłogę, a potem przyciągnął ją do siebie. Przebiegł dłonią po gładkich plecach Tally, czując na szyi jej oddech.

Zacząła odpinać jego koszulkę i po chwili przytuliła się do nagiego torsu Alexa. Żar bijący od jego ciała zaparł jej dech w piersiach. Zaczął całować ją jeszcze namiętniej — po szyi, po jędrnych, okrągłych piersiach — a jego dłonie wędrowały coraz niżej, aż w końcu znalazły się pomiędzy jej nogami. Westchnęła i krzyknęła cicho.

— Przepraszam... — wymamrotał. Potrząsnęła głową i pocałowała go w ramię.

— Ty nigdy...? — zapytał. Uśmiechnęła się.

— Jeszcze nie.

Stali przytuleni do siebie tak długo, aż ich oddechy uspo-

kończyły się i wyrównały, a chłodne wieczorne powietrze sprawiło, że Taity zaczęła drżeć. Alex pomógł jej się ubrać.

— Nie masz nic przeciwko temu? — zapytała cicho. Alex pokręcił głową.

— Ale chłopcy podobno są niecierpliwi.

— Ja jestem niecierpliwy.

— Prawdopodobnie będziesz musiał trochę poczekać.

— To bez znaczenia.

— I może się okazać, że nie warto...

— Zaryzykuję.

— Wszystko może pójść źle i możemy nigdy tego nie zrobić.

— Nadal chciałbym zaryzykować. Spojrzała na niego badawczym wzrokiem.

— O co chodzi? — zapytał.

— Nie wiem, czy to powiedzieć...

— Co? — Popatrzył na nią, a w jego oczach był strach i nadzieja.

— Widzisz, jedynym mężczyzną, któremu to powiedziałam, jest mój tata.

Zobaczył, że z jej oczu płyną łzy, i delikatnie unióś jej głowę. Minęło kilka chwil, zanim powoli i bardzo cicho szepnął jej do ucha:

— Kocham cię.

Opuściła wzrok, kiwnęła głową, a potem szepnęła:

— Ja ciebie też.

Rozdział 28

Tally zadzwoniła do Toma na komórkę, gdy był w drodze do Salcombe.

— Tato?

— Tal! Tak?

— Obiecasz, że nie będziesz wściekły?

— Dlaczego? Co zrobiłaś?

— Nic. Tylko... myślisz, że mógłbyś zabrać mnie ze sobą do domu?

— Dlaczego? O co chodzi? Co się stało?

— Absolutnie nic. Wszystko w porządku. Jest naprawdę świetnie. Tylko... myślę, że powinnam wyjechać, dopóki mam przewagę. No a poza tym stęskniłam się za tobą.

Usłyszała jego westchnienie.

— Jeśli tak chcesz... W porządku, moja maleńka, zabiorę cię do domu. Pod warunkiem, że dostanę filiżankę herbaty, gdy dojadę na miejsce.

— Tato, tylko...

— Tak?

— Możesz nie mówić, że to nagła decyzja? Spróbujesz dać im do zrozumienia, że wiedziałeś, że chcę dzisiaj wracać do domu?

— Oczywiście, jeśli tak sobie życzysz. Ale dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

— Och, nie chciałam cię martwić. Przyjechałbyś od razu, bo myślałbyś, że jestem nieszczęśliwa, a wcale nie jestem.

— W porządku, kochanie. Słuchaj, muszę kończyć. Jest duży ruch i zaczynają się korki. Wiesz, jak tu jest. Do zobaczenia wkrótce, dobrze?

— Dziękuję, tato. Jesteś cudem.

— Prawda? Buziaki, cześć.

Tally usiadła na walizce i usiłowała ją zamknąć. Potrzebny był jednak większy ciężar, jej drobne ciało nie ważyło wystarczająco dużo. Sprawdziła szafę i szuflady komody, żeby upewnić się, czy zabrała wszystkie swoje rzeczy. Z tyłu, w lewym kącie górnej szuflady znalazła trójkąt czarnego jedwabiu. Popatrzyła na niego przez chwilę, a potem wtknęła go do walizki i poszła poszukać Alexa, by pomógł jej ją zamknąć.

David Blane-Pfitzer wrócił poprzedniej nocy, gdy wszyscy byli już w łóżkach. Teraz siedział w kuchni z całą swoją rodziną — Helen zmywała naczynia, Henry narzekał, że nie ma mleka do płatków, a Alex gapił się bezmyślnie w okno.

— Jesteś gotowa do wyjazdu? — zapytał David, gdy Tally weszła do kuchni.

— Prawie. Ale potrzebuję kogoś silnego do zamknięcia mojej walizki.

— No to na pewno chodzi o ciebie, Alex.

Alex podniósł wzrok. Ojciec uśmiechnął się do niego i skinął głową w stronę Tally.

— Tak. Oczywiście. Przepraszam, byłem daleko stąd. Ruszył za nią po schodach, a potem korytarzem prosto

do jej pokoju. Zamknięcie walizki zabrało mu kilka sekund.

— Jesteś trochę smutny — powiedziała Tally.

— A ty nie?

— Ja też.

— Jesteś pewna, że nie chcesz zostać? Pokiwała głową.

— Mogę cię o coś zapytać? Spojrzał na nią.

— To naprawdę nie moja sprawa i nie powinnam się wtrącać.

Prawdopodobnie pomyślisz, że jestem głupia, ale...

— O co chodzi?

— O twojego tatę.

— A co z nim?

— Mógłbyś go poprosić, by popływał z tobą tą małą łódką?

— A po co, u licha?

— Och... myślę tylko, że on by tego chciał. Pokręcił głową i uśmiechnął się.

— Będę za tobą tęsknić... Tal.

— A ja za tobą. Nawet nie wiesz jak bardzo. — Pochyliła się i pocałowała go delikatnie. Pachniał... Alexem.

Godzinę później przyjechał ojciec Tally, wypił obiecaną herbatę i podziękował Blane-Pfizerom za opiekę nad córką. Było mu przykro, że Tally musi wyjechać już po tygodniu, ale okazało się, że pewne sprawy w domu wymagają jej obecności. Wyraził również nadzieję, że gospodarze nie mają nic przeciwko temu. Tally wyglądała na zdenerwowaną, a Alex i jego ojciec uśmiechali się ze zrozumieniem. Pani Blane-Pfizer skonfiskowała Henry'emu grę i powiedziała, by poszedł pobawić się do ogrodu, zamiast zachowywać się tak niezdolnie.

Podczas gdy rodzice wymieniali uprzejmości i obietnice, że kiedyś znowu powtórzą taki wspólny wyjazd — „Nie było z nią żadnego kłopotu. Prawie jej nie widywaliśmy” — Tally żegnała się z Alexem w głębi ogrodu przy letnim domku.

Pocałowali się czule.

— To jest jak sen, naprawdę. Nie wiedziałem, że może tak być. Myślałem, że czyta się o tym tylko w książkach. Myślisz, że jestem za miękki?

— Nie. — Czują, że wzbiera w niej panika, bo nadchodziła chwila pożegnania. — Rozumiesz, dlaczego wyjeżdżam, prawda?

— Myślę, że tak.

— Zadzwoń do mnie? — Ścisnęła dłoń Alexa i popatrzyła na niego.

— Obiecuj, że do mnie zadzwonisz.

— Tak. Będę dzwonić codziennie.

— Przynajmniej wyślij wiadomość.

— Przynajmniej.

Puściła jego rękę, a niechęć do rozstania się z nim, którą teraz odczuwała, była o wiele bardziej dotkliwa niż kiedykolwiek przedtem. Zaczęła iść, nagle jednak zatrzymała się, odwróciła i jeszcze raz spojrzała mu w oczy.

— *Arrivederci, amore mio.*

Uśmiechnął się do niej, westchnął i bardzo powoli powiedział:

— *Guardati a dietro.*

Serce na moment zamarło jej w piersi.

— Skąd znasz włoski? Wzruszył ramionami.

— Moja babcia mieszka we Florencji.

Podróż do domu upłynęła w nietypowej ciszy. Tom nie mógł się doczekać, by dowiedzieć się wszystkiego o tygodniu, który córka spędziła z dala od niego, ale szybko zrozumiał, że nie jest to najlepszy czas na pytania. Od czasu do czasu spoglądał na Tally; wyglądała przez okno, nieobecna i daleka. Tylko raz położyła dłoń na jego ręce i ścisnęła ją, ale zaraz wycofała się i położyła dłoń z powrotem na swoich kolanach.

Dopiero w domu, gdy zaczęła rozpakowywać walizkę, poczuł, że może ją zapytać, jak minął tydzień.

— Było cudownie.

— Ale chciałaś wrócić do domu?

— Tak.

— Rozumiem. Tally zdawała sobie sprawę, że ojcu należą się jakieś wyjaśnienia. Przysiadła na brzegu łóżka i spojrzała na niego.

— Było tak wspaniale, że nie chciałam tego zepsuć. Naprawdę świetnie się zgadzaaliśmy, więc nie chciałam ryzykować, że wszystko się zepsuje.

— Tak po prostu?

— Tak po prostu.

— I nie muszę się martwić?

— Nie. Alex jest cudowny i... bardzo go lubię.

— No dobrze. A reszta rodziny? Byli w porządku?

— Tak, byli bardzo mili. Prawie nie widywałam jego mamy i Henry'ego, ale rozmawiałam z tatą.

— Mówiłaś mi o tym. — Tom oparł się o framugę drzwi, udając obojętność.

— Ta-a-ato?

— Ten trójtonowy „tata” to wstęp do jakiegoś podchwytliwego pytania, co?

— Myślisz, że jest różnica między byciem ojcem dziewczyny a byciem ojcem chłopaka?

— Tak. Ogromna. A dlaczego pytasz?

— Na czym ona polega?

— Od czego chcesz zacząć?

Tally oparła się na swojej poduszce.

— Od czegokolwiek.

— A ile masz czasu?

— Tyle, ile będzie trzeba.

— Cóż, przypuszczam, że tak naprawdę wszystko ma związek z przyszłością. I rywalizacją.

— Rywalizacją?

— Tak. Myślę, że w przypadku ojców i synów zawsze istnieje pewien element walki... o sukcesję, dziedzictwo. Przypuszczam, że tak to można nazwać. Przywódca stada wie, że pewnego dnia zostanie wysadzony z siodła.

Tailey oparła się na łokciach.

— Ale to takie prymitywne. Widziałam to w programach przyrodniczych, no wiesz, lwy i tygrysy. Czy na pewno dotyczy to również ojców i synów?

— Och, myślę, że tak. To tkwi gdzieś głęboko w podświadomości. A poza tym są jeszcze te wszystkie rzeczy związane z tym, że syn nosi rodowe nazwisko i zaspokaja niespełnione ambicje rodzica. Ojciec nie chce stracić twarzy w oczach syna, a syn nie chce zawieść ojca. Jeśli się nad tym zastanowić, jest to cholerne obciążenie dla nich obu.

— Myślisz, że niektórzy ojcowie są lepsi dla córek niż dla synów?

— Pewnie w większości przypadków tak. Zresztą mężczyźni zazwyczaj mają lepsze relacje z kobietami niż z innymi mężczyznami. Dlaczego w rodzinie miałyby być inaczej?

— Ponieważ niektórzy mężczyźni są lepsi dla kobiet niż inni.

— Tak myślisz?

— Wiem to. Zanim pojechałam na wakacje, zapytałeś mnie, kiedy miałam okres.

— No to co? Pomyślałem, że to ważne.

— Niektórzy ojcowie nigdy by o to nie zapytali, a na pewno nie tak jak ty, praktycznie i rzeczowo. Są zażenowani nawet wtedy, gdy muszą przyznać, że coś takiego istnieje.

— Być może, ale sądzę, że wszystko jest kwestią doświadczenia. Ojcowie córek mają poważniejsze problemy.

— Jakie?

— Myślę, moja kochana, że prawdopodobnie znasz jeden z nich, przynajmniej ten ostatni - odparł Tom i odwrócił się, zamierzając wyjść z pokoju. - A przy okazji... Nosiłaś może ten mały trójkącik? — zapytał od progu. — Ten z czarnego jedwabiu?

— Nie.

— Och, to dobrze.

Gdy wyszedł już na korytarz, Tally dodała półszepceniem:

— Nie potrzebowałam.

Rozdział 29

Alex dotrzymał słowa. Dzwonił do niej codziennie, a rano i wieczorem przysyłał wiadomości. Czowała się chciana, pożądana i kochana w taki sposób, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyła. Jednocześnie gdzieś tam czaiła się świadomość, że każdy związek jest czymś ogromnie kruchym i delikatnym. Pomagała ojcu przenosić niektóre meble z gabinetu do szopy, która bardzo jej się spodobała: pachniało w niej świeżym drewnem, a okna wychodziły prosto na zielnik. Wendy również ją polubiła i stało się jasne, że wybrała już sobie nową rezydencję.

Tom codziennie stukał na swoim laptopie, a Tally czytała, marzyła, zaczęła też nawet wyrywać chwasty spośród mięty i pietruszki, świadoma, ile to znaczy dla ojca. Teraz wiedziała już, dlaczego tak wytrwale dba o ten zielnik. W ten sposób pokazywał, że zależy mu na jej mamie.

Nadal przyglądała się ojcu z wielką uwagą, ale próbowała także zająć się własnym życiem. Była jednak świadoma, że ojciec nie powinien poczuć się odrzucony. Od kiedy nie pisał już w swoim gabinecie i zaczął drugą powieść, wydawał się szczęśliwszy. Nadal jednak potrzebował opieki i miłości.

Zastanawiała się, w jaki sposób go rozweselić. Wiele o tym myślała i doszła do wniosku, że Tom potrzebuje

towarzystwa. Czasami dopuszczała do siebie myśl, że ojciec znajdzie sobie kogoś nowego. Czytała, że niektóre dzieci odchodzą od owdowiałego rodzica, kiedy na scenie pojawia się kolejny partner. Postanowiła, że przygotuje się na taki rozwój wypadków, który pewnego dnia prawdopodobnie stanie się faktem. Ale jeszcze nie teraz.

Podczas podróży do Axbury, gdy odbierała zdjęcia z wakacji, pomyślała o Janie i przypomniała sobie dość mętne wyjaśnienia ojca, dlaczego nie może się z nią skontaktować.

Usiadła na ławce w cieniu katedry i wybrała numer komórki swojej chrzestnej matki.

— Giorgioni — usłyszała w odpowiedzi.

— Janie? Tu Tally.

— Kochanie, jak się masz, u licha?

Tally opowiedziała o wakacjach, zaspokajając ciekawość Janie na temat „tego faceta”.

— Zastanawiałam się, czy nie przyjechałabyś do nas na kolację. Nie widziałyśmy się od wieków, a tacie dobrze zrobiłaby odrobina radości.

— Pytałaś go?

Tally pragnęła tylko, by Janie poczuła się mile widziana, więc odparła:

— Oczywiście.

— I nie miał nic przeciwko temu?

— Naturalnie, że nie.

Gdyby Tally powiedziała „A dlaczego miałby mieć coś przeciwko temu?”, Janie mogłaby podejrzewać, że wcale go o to nie pytała. To drobne kłamstwo upewni ją, że Tom wyraził zgodę na jej wizytę.

— Ale tylko pod warunkiem, że jesteś przekonana, że mój przyjazd ucieszy twojego tatę.

— Wiem, że nie może się doczekać, żeby cię zobaczyć. Ustaliły, że Janie przyjedzie za dwa dni, i Tally rozłączyła się. Była bardzo zadowolona z siebie. Potem spotkała się

z Emmą i razem poszły na ciastka i colę. Nie było to jednak tak radosne spotkanie, jak się spodziewała.

Jej przyjaciółka siedziała po drugiej stronie stołu i wyglądała na przygnębioną.

— Co się u licha stało? Emma przygryzła wargę.

Tally natychmiast zrozumiała problem.

— Czy ty...

Emma opuściła wzrok.

— O Boże! — Tally zamilkła na moment, a potem zapytała: — Niezbyt dobrze?

— Okropnie.

Tally wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni przyjaciółki. Kelnerka przyniosła ciastka i colę. Tally zaczęła jeść, a Emma spoglądała bezmyślnie przez okno.

— Chcesz o tym porozmawiać?

— Nie bardzo. Chciałabym tylko cofnąć czas i zacząć wszystko od nowa.

Tally siedziała w milczeniu.

— Byłam niemal pewna, że nie chcę, ale wypiliśmy kilka drinków. Wtedy wydawało mi się, że to bez znaczenia. Po prostu zabawa.

— Czy on... no wiesz... czy miał...

— Och, tak. Pod pewnym względem było z tego powodu jeszcze gorzej. Bez tego nie zgodziłabym się, ale to sprawiło, że wszystko było takie... prymitywne. Myślałam, że tego rodzaju doświadczenie powinno być czymś niezwykłym. A wszystko poszło tak szybko... Skończyło się, zanim zdążyłam się zorientować. Żadnych wrażeń oprócz bólu. Czułam się wykorzystana, jakbym w ogóle nie brała w tym udziału... — wykrztusiła przyjaciółka i położyła dłonie na kolanach.

— Och, Em!

— Wiem. Byłam głupia, ale nie mogę tego cofnąć. Straciłam coś i już nigdy tego nie odnajdę — powiedziała Emma, a jej oczy napełniły się łzami.

— Hej, daj spokój. To jeszcze nie koniec świata.

— Prawie. — Emma wytarła nos i zmieniła temat: — A jak tobie poszło?

Tally spojrzała na nią przepaszająco.

— Świetnie. Było cudownie.

— I niczego nie próbował?

— Troszeczkę.

— Ale ty...

— Nie, chociaż mnie kusiło.

— Masz więcej rozumu.

— Niezupełnie. Bardziej się bałam.

— No cóż, wobec tego bój się dalej. To dobry mechanizm obronny. —

Emma wypła łyk coli i ukroiła kawałek ciastka. — Kiedy się znowu zobaczycie?

— Nie wiem. Jeszcze nie zdecydowaliśmy. On jest ciągle » w Devonie.

— A dlaczego ty nie zostałaś?

— Ponieważ nie chciałam tego popsuć. Pragnęłam, żeby to było coś wyjątkowego.

Emma spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Ale skoro było tak dobrze, jak mogłaś to skończyć?

— Nie wiem. Naprawdę. Wiem tylko, że to była słuszna decyzja. Chcę go kochać... Kocham go... ale mam egzaminy, a on wyjeżdża na uniwersytet do Edynburga. Jak będziemy się wtedy widywać?

— A więc Miss Zdrowego Rozsądku po prostu odeszła?

— Nie. Po prostu bardzo się boję, że zostanę zraniona. To cała prawda. Mam dosyć bólu... dręczy mnie już od tak dawna.

— Ja też.

— Co zrobiłaś?

— Zaprosiłam ją na kolację. Nie widziałyśmy się od wieków, a poza tym pomyślałam, że musisz oderwać się trochę od swoich myśli.

Ojciec wyglądał na zdenerwowanego.

— Powinnaś mnie zapytać.

Tally była zaskoczona i odrobinę urażona.

— Pomyślałam, że będziesz zadowolony.

Tom zdawał sobie sprawę, że robi z igły widły, ale musiał znaleźć jakąś wymówkę, by nie spotkać się z Janie.

— A co z jedzeniem i w ogóle?

— Tato, nie przesadzaj. Przecież ja mogę zrobić zakupy, jeśli jesteś zajęty pisaniem. Nie chcesz zobaczyć Janie?

— Tak, oczywiście, że chcę... Chodzi o to, że... — Wiedział, że został przyparty do muru. Cokolwiek teraz zrobi lub powie, zwróci to uwagę Tally i wzbudzi w niej podejrzenia.

— Słuchaj, tato, myślę, że potrzebujesz odrobiny damskiego towarzystwa.

Zaskoczyła go jej otwartość.

— Mam damskie towarzystwo. Ciebie.

— To co innego.

— No ale dlaczego właśnie Janie?

— Bo tak dobrze się razem czujecie. A poza tym ona cię rozśmiesza.

Zastanawiał się, czy w jakiś sposób nie dowiedziała się o wszystkim. Może toruje drogę do... Do czego? Nie, nie. Usiłował pozbyć się tej myśli, czuł jednak, że Tally nalega na przyjazd Janie. Może próbowała mu to ułatwić. Kochana Tal, robi, co może, by poprawić samopoczucie swojego taty. Ale on nadal czuł się nieswojo i zastanawiał się, jak czuje się Janie.

— Ucieszyła się, że ją zaprosiłaś?

— Jasne.

— No dobrze. Zrobisz zakupy?

— Mogę nawet coś ugotować, jeśli chcesz. To moje przyjęcie.

Czuł, że zaczyna brakować mu odwagi, lecz mimo to powiedział:

— Świetnie. A więc zostawiam wszystko tobie.

Tego wieczoru, gdy Tom wciąż jeszcze dochodził do siebie po wiadomości o przyjeździe Janie, zadzwonił telefon. Była to Kate Lundy.

— Chciałam tylko powiedzieć, że mój adwokat może już podpisać umowę i jutro rano będzie rozmawiał z twoim adwokatem. W porządku?

— Doskonale.

— Masz wolne pół godziny?

— Tak.

— Nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybym wpadła na chwilę? Jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać.

— Będę czekać.

Miał nadzieję, że nie poprosi go, by angażował się w sprawę „Pelicana”. Chciał wreszcie zacząć wszystko od nowa i zostawić za sobą ten kawałek przeszłości.

Kiedy przyjechała Kate, Tally była na górze. Tom powiedział, że potrzebuje pół godziny na rozmowę o interesach, ale to nie powstrzymało jej przed wyglądnaniem zza firanek. Chciała przyjrzeć się kobiecie, która przejmuje „Pelicana”. Okazało się, że w ogóle nie jest taka, jak wyobrażała sobie Tally. Była drobna i ładna.

Tom wpuścił Kate i odwzajemnił jej pocałunek w policzek.

— Jak sobie radzisz? — zapytał.

— Bardzo dobrze — odparła, ale wyglądała na zaniepokojoną, a nawet zakłopotaną.

— Jesteś pewna?

— Tak.

Usiłował sprawić, by się odprężyła i poczuła jak w domu.

— Kieliszek wina?

— Nie, dziękuję. Chciałam ci o tym powiedzieć, zanim dowiesz się od innych... Chodzi o to, że Pete i ja...

Tom poczuł narastającą panikę.

— Czy coś poszło nie tak? — zapytał ostrożnie.

— Nie — odparła i uśmiechnęła się. — Zamieszkaliśmy razem.

Tom był zaskoczony i nie potrafił tego ukryć.

— Rozumiem.

— Och, wiem, że dopiero się rozwiodłam. Pewnie myślisz, że to powinno mnie czegoś nauczyć, prawda? Ale cóż, stało się. Stwierdziliśmy po prostu, że lubimy być razem.

— Rozumiem. A... jak długo to trwa?

— Och, wiesz... najpierw Pete rozstał się z Rachel. To znaczy była już między nami jakaś chemia i myślę, że oboje o tym wiedzieliśmy, ale nic z tym nie robiliśmy.

— A gdzie teraz...

— Na razie u mnie, ale zamierzamy kupić mieszkanie w Axbury, gdzieś w pobliżu „Pelicana”.

Tom uśmiechnął się lekko.

— To wszystko stało się tak nagle.

— Och, to zupełne szaleństwo. Chyba zbzikowałam. Ale niecodziennie spotykasz kogoś, z kim czujesz się jak w niebie, prawda? Trzeba ryzykować i chwytać swoją szansę, dopóki można. Raz zostałam zraniona, więc teraz zamierzam mieć oczy szeroko otwarte. Pete tak samo. Oboje wiemy, że może się nie udać, ale chcemy spróbować i nie zamierzamy marnować więcej czasu. Jeśli lubisz z kimś przebywać, to chyba nie możesz z tego zrezygnować z powodu... powszechnie przyjętych norm czy czegoś w tym rodzaju. Kogo ma to zadowolić? Tylko hipokrytów.

— Chyba tak.

— W każdym razie nie będę dłużej marnować twojego czasu. Chciałam tylko, żebyś dowiedział się o tym ode mnie, a nie z plotek.

— Dziękuję.

— Dobrze sobie radzisz?

— O, tak. Mam dobrą opiekę — odparł Tom i wskazał spojrzeniem sypialnię Tally. — Prawdopodobnie aż za dobrą.

— Nie przyzwyczajaj się do tego. Ona opuści gniazdo, zanim się zorientujesz, może nawet już wkrótce.

— Mam nadzieję, że nie. Słuchaj, jesteś pewna, że nie chcesz szklaneczki wina?

— Z przyjemnością. Nie byłam pewna, jak przyjmiesz wiadomość o Peterze i o mnie. Myślałam, że weźmiesz mnie za intrygantkę.

— Och, przestałam już osądzać ludzi.

Otworzył butelkę białego wina i nalał do dwóch kieliszków.

— A zatem za ciebie i za Pete'a.

Kate uśmiechnęła się z lekkim poczuciem winy.

— Na zdrowie — powiedziała i wypić duży łyk schłodzonego wina.

— Potrzebowałam tego. Nie masz pojęcia, jaka byłam zdenerwowana, gdy tutaj jechałam.

— Jestem takim potworem?

— Nie, wcale nie. Chodzi raczej... cóż... o okoliczności.

— Och, nie martwiłbym się o to. Nic na to nie poradzisz. — Chciał, żeby Kate zmieniła temat, ale nie miał szczęścia.

— Tom... — zaczęła niepewnie.

— Tak?

— Nie bardzo wiem, jak o to zapytać...

— O co?

— Czy... Chodzi o to, czy byłbyś zainteresowany... Mam samotną przyjaciółkę, też rozwiedzioną.

Tom szukał przez chwilę odpowiednich słów, a potem powiedział:

— Och, w tej chwili nie odczuwam potrzeby poznawania kogokolwiek.

— Za szybko? Westchnął.

— Tak. Cóż, nie, chyba nie. Nie wiem, Kate. Jest ktoś, ale nie jestem pewien...

— Nie czuj się winny.

— Ale tak właśnie się czuję.

— Nie musisz. To się zdarza.

- Tak, ale...
- Słyszałeś teorię, że...
- Ostatnio słyszałem wiele teorii. O którą chodzi?
- Przepraszam. Powiadają, że im bardziej ktoś kochał partnera, którego stracił, tym bardziej prawdopodobne, że się znowu zakocha.
- No cóż, to dość wygodna teoria.
- Uważam, że to prawda. Jeśli bardzo kochałeś, nie stłumisz nagle całej tej miłości, którą masz do zaoferowania.
- Można ją ukierunkować inaczej — mruknął Tom.
- Masz na myśli Tally? Pokiwał głową.
- To nie ten sam rodzaj miłości.
- Masz na myśli, że to miłość ojcowska, a nie ten drugi rodzaj?
- Wiesz, że tak jest.
- Tak. Ale dlaczego ktoś ma oczekiwać, że znajdzie inną osobę, którą pokocha, skoro już ją kiedyś znalazł? Miłość nie zawsze oznacza szczęście.
- Nie musisz mi o tym mówić. Kochałam mężczyznę, który nie kochał mnie tak bardzo, jak ja jego. Wiem, że to bardzo trudne. Jednak wydaje mi się, że takie powstrzymywanie się w sytuacji, gdy wiesz, że twoja miłość jest odwzajemniona, to wielkie marnotrawstwo.
- Zwłaszcza jeśli powstrzymujesz się ze względu na ogólny szacunek i poważanie.
- Właśnie. I źle pojęte poczucie winy. Tom wypił kolejny łyk wina.
- Dokładnie to przemyślałaś, prawda?
- Miałam dużo czasu. Myślę po prostu, że popełniasz błąd, jeśli nie chcesz pokochać innej osoby, ponieważ wydaje ci się, że to brak poszanowania dla pamięci człowieka, którego straciłaś. To ogromna strata.
- Cóż, dziękuję ci za troskę.
- Chyba za dużo powiedziałam. Przepraszam.

— Nie ma za co. Dobrze tak sobie pogadać. Ale wydaje mi się, że te wszystkie rady nie bardzo teraz do mnie docierają. Kate odwróciła się w drzwiach.

— Zasługujesz na szczęście, Tom. Jesteś dobrym człowiekiem. Nikt nie będzie ci zazdrościć odrobiny czyjegoś towarzystwa.

Wsiadła do swojego starego, poobijanego volkswagena golfa i odjechała.

Następnego dnia Tom nie był w stanie na niczym się skupić. Próbował pisać, doszedł jednak do wniosku, że słowa które przychodziły mu do głowy, nic nie znaczą. Zrobił wypad do ogrodu, ale kolendra i pietruszka obrosły już nasionami, a mięta przejmowała kontrolę nad majerankiem. Pippa poradziłaby sobie o wiele lepiej.

Słuchał śpiewu Tally, która przygotowywała w kuchni kolację. Już od dawna nie słyszał, żeby śpiewała. Pragnął zobaczyć Janie, ale obawiał się tego spotkania. Czy Janie będzie zachowywać się z rezerwą? Nie. To nie w jej stylu. Może otoczy się pancierzem drwin i obelg, które rezerwowała specjalnie dla niego aż do tego ranka, kiedy się przed nim otworzyła. Czy powinien zareagować wówczas z większą wrażliwością? Przyznanie się do swoich uczuć na pewno wymagało od niej wiele odwagi, a on je odrzucił. Janie często pojawiała się teraz w jego snach. A on ciągle czuł się winny. O szóstej po południu wziął kąpiel, po czym włożył eleganckie spodnie i czystą koszulę i zszedł na dół do salonu. Było zbyt zimno, by jeść na dworze, więc Tally nakryła do stołu w kuchni, a później zabrała się do przygotowywania sałatki i przystawki z wędzonego łososia.

Kiedy na podjeździe rozległ się chrzęst opon, Tom był zdenerwowany jak uczeń przed gabinetem dyrektora. Wziął głęboki oddech i podszedł do drzwi, aby przywitać Janie.

Poobijanego golfa GTi zastąpił nowszy model, był jednak tak samo pokryty brudem i kurzem. Janie stanęła na podjeździe — jej ciemne włosy lśniły, a skóra była jeszcze bardziej opalona. Miała na sobie ciemnoniebieskie spodnie i białą bluzkę. Zamknęła drzwi samochodu i powiedziała:

— Witam cię.

— Ja ciebie też — odparł.

Podeszła, żeby się przywitać, i pocałowała go w policzek.

— Miło cię widzieć — powiedział Tom.

— Ciebie również.

Czekał na jakieś przezwisko, ale się nie pojawiło. Nie było „ty stary draniu” tylko zwykłe „ciebie również”. Tally wypadła z domu przez frontowe drzwi i zawołała:

— Janie! *Come stai?*

— *Molto bene, grazie.*

— Słuchajcie — wtrącił się Tom — jeśli zamierzacie przez cały wieczór *parlare Italiano*, to poczuje się zignorowany.

Tally uśmiechnęła się.

— Fajnie trochę poćwiczyć.

— Jak się miewasz, aniołku?

— Świetnie.

— A co z twoim tatą?

— Coraz lepiej, ale jest jeszcze dużo do zrobienia. Pomyślałam sobie, że mogłabyś pomóc.

Siedzieli we trójkę przy kuchennym stole udekorowanym grubymi, krótkimi świecami, które rzucały pomarańczowy blask na ich twarze, i rozmawiali o wakacjach Tally, szopie Toma i ogólnej sytuacji w kraju. Zarówno Tom, jak i Janie poczuli się bardziej zrelaksowani i odprężeni i od czasu do czasu rzucali sobie porozumiewawcze spojrzenia. Tymczasem Tally podawała wędzonego łososia, makaron z bekonem i ziołami, a na koniec maliny ze śmietaną. W pewnej chwili

Tom położył rękę na dłoni Janie i uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech, a potem cofnęła rękę, gdyż Tally właśnie zaczęła podawać kawę.

— Cóż, muszę powiedzieć, panienko, że była to najlepsza kolacja, jaką jadłam od wieków — oświadczyła Janie.

— Cieszysz się, że przyjechałaś? — zapytał Tom.

— Bardzo.

Może przywiązywał do tego zbyt wielką wagę, ale wydawało mu się, że powiedziała to z większym uczuciem, niż oczekiwał.

— Co teraz porabiasz? — zapytał, gdy pili kawę.

— To i owo. Teraz jest mały zastój. A jak twoje pisanie?

— Od kiedy mam tę moją szopę, idzie mi naprawdę nieźle.

Tally wstała od stołu.

— Za chwilę wrócę. Idę tylko na górę.

Tom odczekał, aż córka znajdzie się poza zasięgiem słuchu, a potem zapytał łagodnie:

— A jak naprawdę się czujesz?

— Dość kiepsko.

— Pomyślałem, że możesz być zdenerwowana. Chodzi o moją reakcję. Nie byłem zbyt zachęcający, prawda?

nie _ Janie uśmiechnęła się smutno. — Ale to przecież wyłącznie moja wina.

— Byłaś uczciwa, to wszystko.

— To właśnie mój problem. Tom zawahał się.

— Chciałem powiedzieć... Cóż, nie chcę, żebyś myślała, że ja nie czuję... cóż...

— W porządku. Naprawdę. Czy myślisz, że twoja córka...

— Nie jestem pewien.

Usłyszeli kroki Tally na schodach, i odwrócili się, gdy wchodziła do kuchni. Trzymała ręce za plecami.

- Mam coś dla ciebie — powiedziała do ojca.
- Co to takiego?
- Obiecuj, że się nie zdenerwujesz.
- A dlaczego miałbym się zdenerwować?
- No bo mógłbyś. Ale pomyślałam, że chciałbyś to mieć.
- Co?
- To...

Tally wyciągnęła rękę zza pleców i podała mu fotografię. Przedstawiała Toma i Pippe, którzy leżeli obok siebie na leżakach. Mieli zamknięte oczy i trzymali się za ręce.

Tally poszła spać o jedenastej, zostawiając Toma i Janie po przeciwnych stronach stołu.

— Cholera — zakląła Janie. — Cholera, cholera, cholera! Tom oparł się wygodniej na krześle.

— Ale strzał.

— Właśnie. Myślisz, że to był strzał ostrzegawczy?

— Tamta fotografia? Janie kiwnęła głową.

— Nie, w żadnym wypadku. To nie w stylu Tally. Nagle przypomniała sobie, że odebrała zdjęcia, wiedziała, że chciałbym je zobaczyć, i zadziałała pod wpływem impulsu.

— Nic więcej?

— Nic. Cokolwiek by można o niej powiedzieć, na pewno nie jest wyrachowana, nie w taki sposób. I nie jest również okrutna.

— Też tak sędzę.

— Są dwa sposoby rozwiązania tej sytuacji...

— To o jeden więcej, niż ja widzę — mruknęła Janie i wypła łyk wina.

— Albo cofniemy się tam, gdzie byliśmy przedtem, i spróbujemy od nowa wspinać się po tej drabinie, albo zaciśniemy zęby i zaczniemy od tego miejsca, w którym jesteśmy teraz.

Janie opróżniła kieliszek.

— To znaczy...?

— Nie potrafię czynić cudów, ale nie chcę cię stracić.

— Nie stracisz mnie. Zawsze będziemy przyjaciółmi.

— Myślałem o czymś więcej niż przyjaźń.

— Nie. Wolałabym, żebyś nie mówił takich rzeczy po kilku kieliszkach, a rano żałował, że je powiedziałeś.

Tom wskazał na swój kieliszek. Był pełen. Potem uniósł szklanę z wodą.

— Chciałem zachować trzeźwość umysłu. Janie przesunęła dłonią po włosach.

— Co mi próbujesz powiedzieć, Tom? Proszę cię, bądź cholernie ostrożny, kiedy będziesz odpowiadał.

— Usiłuję powiedzieć ci wiele rzeczy, ale może nie we właściwej kolejności.

Janie utkwiała w nim spojrzenie. W jej oczach czał się strach.

— Człowiek, który przechodzi przez to, co ja, zbyt wiele myśli. Bywają dni, kiedy oddałabyś wszystko tylko za to, by przestać myśleć. Twój umysł krąży bezustannie wokół tych samych spraw i kończysz w rezultacie w tym samym miejscu, w którym zaczęłaś. Ale nie możesz przestać. To coś w rodzaju rytuału, przez który musisz przejść — jak chodzenie do kościoła i odmawianie miliona *Zdrowaś Mario* w akcie pokuty. Nie ma w tym absolutnie żadnego sensu, robisz to jednak, ponieważ wiesz, że musisz, nawet jeśli to niczego nie rozwiąże.

Janie słuchała z uwagą, niepewna, dokąd zmierza Tom.

— Kiedy pojawi się najmniejsze światełko nadziei, jest jeszcze gorzej, bo wtedy mówisz sobie, że tracisz grunt i swoją stanowczość. To, co robisz, żeby jakoś to wszystko przetrwać, nagle staje się twoim sposobem na życie. Trzymasz się tego tak mocno i tak długo, że później nie widzisz żadnej innej drogi. Smutek jest twoim jedynym źródłem ukojenia. — Tom zamilkł na chwilę. — Czy to ma sens, czy brzmi od rzeczy?

— Mów dalej — powiedziała Janie.

— Kiedy cierpienie zniknie, może być jeszcze gorzej, bo przynajmniej ono jest czymś stałym w twoim życiu. A już nigdy więcej nie potrafisz uwierzyć, że możesz kiedyś być znowu szczęśliwy.

— To nieprawda.

— Teraz o tym wiem, ale zrozumienie tego zajęło mi wiele czasu i nie jestem pewien, czy kiedyś nie nastąpi nawrót.

— Nie będziesz mieć nawrotów pod warunkiem, że osoba, która da ci szczęście, nigdy cię nie zawiedzie.

— Tak, a co z innymi sprawami? Na przykład czynniki zewnętrzne.

— Masz na myśli śmierć?

— Tak.

— Na to nie możesz nic poradzić, Tom. To ryzyko, które musisz podjąć.

— Wiem. Już je podjąłem.

— I nie chcesz zrobić tego jeszcze raz?

— Byłbym szalony, gdybym się na to zdecydował.

— Więc?

— Czy mogę przyznać się do szaleństwa?

— Co masz na myśli?

— Chyba pytam cię, jak poważnie to traktujesz.

Janie spojrzała na niego i przez kilka chwil siedziała w milczeniu. A potem odezwała się bardzo cichym, spokojnym głosem:

— Nigdy w życiu nie traktowałam niczego bardziej poważnie.

Tom westchnął.

— Czy to nie jest odrobinę przerażające?

— Jestem przerażona jak cholera.

— Ja też.

— Ale wydawałeś się taki zaskoczony... gdy ci powiedziałam.

— Bo byłem. I za bardzo się bałem, by się do tego przyznać.

Janie oparła się o krzesło.

— Cóż... noc nam się już zrobiła.

— Myślisz, że mógłbym wypić teraz kieliszek wina?

— Pod warunkiem, że ja dostanę brandy. Zobacz! — Janie podniosła rękę. Jej dłoń się trzęsła.

— Chodź do mnie — powiedział Tom i wyciągnął ramiona.

Janie podniosła się i podeszła do niego.

— To takie głupie...

— Co?

Ujęła jego prawą dłoń i położyła na swojej lewej piersi. Przez białe płótno jej bluzki poczuł gwałtowne uderzenia serca. Czuł również miękkie ciepło jej piersi i pochylił się, by ją pocałować. Kiedy oderwał się od jej ust, zobaczył, że ma oczy błyszczące od łez.

— Myślę, że teraz rozumiem — szepnęła.

— Mmm...? — mruknął, głaszcząc jej włosy.

— Pamiętasz, jak powiedziałeś, że szczęście może być przerażające? Myślę, że rozumiem, co miałeś na myśli.

Pocałowali się w kuchni na dobranoc i Janie spędziła noc w osobnym pokoju. Żadne z nich nie spało. Oboje leżeli, gapiąc się w sufit, rozdzieleni ścianą. Tom mógł myśleć tylko o tym, jak przekazać tę wiadomość Tally. Janie mogła myśleć tylko o tym, jak Tom przekaże tę wiadomość Tally.

Przed siódmą oboje byli już na dole. Tally nie dawała na razie znaku życia. Tom właśnie robił kawę, gdy usłyszał, że Janie schodzi do kuchni. Obejrzał się z niepokojem: może będzie zmartwiona, bo zmieniła zdanie albo doszła do wniosku, że to dzieje się zbyt szybko?

Janie również wyglądała na zaniepokojoną. Obawiał się najgorszego.

— Wszystko w porządku?

— Tak. A u ciebie?

— Naprawdę w porządku? Uśmiechnęła się.

— Pod warunkiem, że nie zmieniłeś zdania.

— Dzięki Bogu. — Podeszedł do niej i uściskał ją mocno. — Tak się bałam, że obudzę się rano, a ciebie nie będzie.

— Nic podobnego. Pocałowali się czule.

— Och, jak cudownie cię dotykać — szepnął.

— I ciebie...

— To znaczy, że już więcej nie będę starym draniem?

— Dla mnie zawsze będziesz starym draniem.

— A zatem wszystko w porządku. Przez kilka chwil trzymał ją w ramionach.

— Czyli pozostaje nam tylko...

— Tak.

— Jakieś propozycje?

— Absolutnie żadnych.

— Więc możemy udawać, że nic się nie stało, lub delikatnie poruszyć temat i zobaczyć, jak Tally zareaguje.

— Czy kawa jest już gotowa?

— A może jeszcze trochę poczekamy? Chodzi o to, że jeszcze nic się nie stało. Wiesz, co mam na myśli...

— Tak. Ale wybacz, nie wiem, jak długo utrzymam ręce z dala od ciebie.

Po twarzy Toma przemknął lekki uśmiech.

— Ani ja.

Ich rozmowa została przerwana odgłosem otwieranych drzwi. Tally wyszła z sypialni. Tom i Janie spojrzeli na siebie, gdy schodziła po schodach.

— Cześć!

Tom zajął się przygotowywaniem kawy.

- Cześć, kochanie! Dobrze spałaś?
- Nie bardzo. Miałam zbyt wiele spraw do przemyślenia.
- Jakich spraw? — zapytała Janie.
- Och, wiesz. To i owo.
- Kawy?
- Nie, dziękuję. Tylko płatki.
- Janie patrzyła, jak Tally w obszernej koszulce z napisem: „Nie wtrącaj się do innych” zalewa mlekiem swoje płatki. Zaczęła jeść i zapytała:
- Co dzisiaj robicie?
- Janie i Tom odpowiedzieli zgodnym chórem.
- Co masz na myśli? Tally roześmiała się.
- Mam na myśli tylko to, o co zapytałam: co dzisiaj robicie? Jest sobota. Wiecie, początek weekendu. Czas wolny!
- Och, jeszcze się nie zastanawiałem — odparł Tom. Janie wzruszyła ramionami.
- Nie wiem.
- Pomyślałam, że pojedę na jeden dzień do Emmy. Muszę ją rozweselić.
- W porządku — odparł Tom.
- Ta-a-ato?
- Tak?
- Mogłabym zostać tam na noc?
- Tak. Chyba tak.
- Świetnie. — Tally skończyła jeść i zaczęła wchodzić po schodach.
- Nie chcę wam po prostu przeszkadzać.
- Mogę cię o coś zapytać? — odezwał się Tom, gdy odwoził Tally do Axbury.
- Oczywiście.
- Ostatniej nocy, gdy pokazałaś mi to zdjęcie...
- Tak. Przepraszam. To było niewłaściwe z mojej strony.

— Jak możesz tak mówić?

— Ponieważ pora była nieodpowiednia. Zdałam sobie z tego sprawę w tym samym momencie, w którym to zrobiłam. Czułam się strasznie głupio.

— Ale to cudowne zdjęcie.

— Wiem. Powinnam jednak pokazać ci je później.

— A gdy dzisiaj powiedziałaś, że...

— Tak?

— Co miałaś na myśli?

— Och, myślę, że wiesz.

— Nie!

— Tato, widzę to, nawet jeśli ty nie widzisz.

— Co?

— Ty i Janie, dobrze wam razem.

— Tak, ale...

— Mama?

— Tak.

Spojrzała na niego z ukosa.

— Jesteś zbyt dobry, żeby się marnować, tato. Tom zatrzymał samochód na poboczu.

— A co z tobą?

— Jestem twoją córką.

— Właśnie to mam na myśli.

Pochyliła się i pocałowała go lekko w policzek.

— I zawsze będę twoją córką.

Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Odetchnął głęboko, a potem głośno pociągnął nosem.

— Ale pod jednym warunkiem... — powiedziała Tally.

— Jakim?

— Że zawsze będziesz moim tatą.

Rozdział 293

Jest kilka rzeczy, które powinniście wiedzieć o Tomie Drummondzie. Po pierwsze, zdawał sobie sprawę, że życie z córką nigdy nie będzie spokojne i wygodne. Ale nadal próbuje sobie z tym poradzić. Janie przyjeżdża do niego w każdy weekend, Tom jednak nadal stara się zbyt wiele nie oczekiwać i wystrzega się złudzeń. Ukończona powieść — *Wywołując fale* — jeszcze nie doczekała się wydania. Tom z rezygnacją kolekcjonuje wszystkie odmowne odpowiedzi, ale w następnym tygodniu ma spotkanie z agentem literackim. Dzięki temu zyska przynajmniej pewność, że jego maszynopis zostanie przeczytany, zanim ktoś go odrzuci.

Teraz pracuje nad piętnastym rozdziałem swojej nowej książki pod tytułem *Racjonalne zachowanie*.

Janie jest tak samo porywczą jak zawsze. Prawie. Jej język nie jest już tak barwny jak kiedyś, ponieważ ma świadomość, że nie powinna dawać Tally złego przykładu, chociaż przyznaje się do tego z wielką niechęcią. Wydaje się jednak o wiele spokojniejsza i nauczyła się cierpliwości. A wszystko w imię wyższych racji.

Maisie zrezygnowała z ogrodnictwa, bo doszła do wniosku, że dzikie kwiaty są o wiele piękniejsze. Jej garderoba wciąż zdumiewa i zaskakuje. Nigdy nie przyznała się Tomowi, że list, który znalazła w swojej kuchennej szufladzie,

dostała od Janie. Ale Maisie zawsze potrafiła dochować tajemnicy.

„Pelican” nadal serwuje dobre jedzenie, niektórzy jednak twierdzą, że obsługa nieco się pogorszyła. Kate i Peter wprowadzają się do siebie i wyprowadzają z regularnością graniczącą z nudą, lecz w końcu przebywanie takich dwóch kulinarnych osobowości pod jednym dachem musi wywoływać jakieś eksplozje. Rachel znalazła sobie podobno nowego mężczyznę. Menedżera bankowego.

A Tally? Zdała egzaminy końcowe — na czwórkę z angielskiego, trójkę z nauk ogólnych i piątkę z włoskiego. Teraz ma rok przerwy w nauce i zastanawia się nad wyjazdem do Florencji.

Alex nadal pozostaje miłością jej życia. Spotykają się tak często, jak tylko mogą, ale Edynburg jest bardzo daleko od Susseksu. Tally przygotowuje się na to, co nieuchronne, nie jest jej jednak dzięki temu wcale łatwiej. Piszą do siebie często, zdecydowani nie tracić ze sobą kontaktu. Można mieć tylko nadzieję, że im się to uda.

Dzisiaj Tally siedzi w oknie swojej sypialni i spogląda na wzgórza, wspominając wyprawy na zakupy, które urządzały razem z mamą, i wakacje w Devonie. Pogodziła się ze związkiem, który łączy Janie z jej ojcem, chociaż chwilami jest to dla niej bardzo trudne. Sama jednak także jest zakochana, więc potrafi rozpoznać miłość w innych ludziach. Bardzo stara się nie martwić o tatę, ale poddaje go próbie. Może pewnego dnia Tom przyzna się do swoich uczuć i będzie szczęśliwy. Dopóki tak się nie stanie, ona będzie przy nim zawsze, kiedy będzie jej potrzebował.

Och, no i oczywiście jeszcze Wendy... Urodziła właśnie kociaki. Tom nie wie, kto jest ich ojcem, ale prowadzi w tej sprawie śledztwo.